

JÓZEF ŁUSZCZKIEWICZ

DOBRY CHŁOPIEC

JÓZEF ŁUSZCZKIEWICZ

DOBRY CHŁOPIEC

Wydanie drugie

Kraków 2023

Wznowienie książki Józefa Łuszczkiewicza *Dobry chłopiec* (Kraków 1884) z dodatkiem rozdziału publikowanego w dwutygodniku „Przyszłość”, 1883, nr 15–16 (15 VIII).

ISBN 978-83-959767-1-1

Wydawca: Marek Zgórniak
Kraków 2023

Opracowanie i skład: Marek Zgórniak (L^AT_EX)

W pierwszym rzucie tego wydania wydrukowano 9 egzemplarzy.

Spis treści

Od wydawcy	7
Dobry chłopiec	13
Część pierwsza	14
Część druga	55
Część trzecia	73
Część czwarta	127
Urywek	142
Zamiast posłowania: Józef Łuszczkiewicz w Czytelni Akademickiej	148

Od wydawcy

Dobry chłopic, powieść z życia krakowskich studentów z roku 1883, napisana przez jednego z nich, zatrzymana przez prokuraturę i zakazana przez sąd z powodu rzekomej obrazy moralności, przybliży zapomniany rozdział z historii *Almae Matris* i Krakowa okresu przemian ideowych poprzedzających epokę Młodej Polski.

Autorem powieści, ukrytym za kryptonimem Eł. Jot., był Józef Łuszczkiewicz (1862–1909), student III roku medycyny, syn znanego historyka sztuki i malarza Władysława Łuszczkiewicza, udzielający się w grupie uzdolnionych kolegów w studenckiej organizacji o nazwie Czytelnia Akademicka. Działalność ta, a zwłaszcza otwartość młodych ludzi na nowe prądy społeczne i naukowe, była przedmiotem troski rektora i senatu, profesorów-stańczyków, krakowskiej dyrekcji policji, a także Namiestnictwa we Lwowie. Odczyty w Czytelni i artykuły publikowane w studenckim piśmie „Przyszłość” (1883), dotyczące pozytywizmu i oświaty ludowej, Darwina i Marksa, wydawały się krakowskim konserwatystom zbyt wywrotowe, o czym świadczą reakcje „Czasu” i innych organów prasowych. Łuszczkiewicz został nawet aresztowany pod zarzutem udziału w tajnym stowarzyszeniu socjalistycznym, ale sąd karny uwolnił go od oskarżenia.

Powieść *Dobry chłopic*, która miała być publikowana w „Przyszłości” na przełomie lat 1883 i 1884, to *Bildungsroman* przedstawiający te wydarzenia w formie nieco przetworzonej, ze skłonnością do groteski. Bohaterem jest młody człowiek, przybywający na studia medyczne do miasta Xów (niem. Xau) i gromadzący doświadczenia. Choć zastrzeżenia sprawozdawcy „Czasu” budziły kwestie

światopoglądowe¹, to powodem lub pretekstem dla urzędowego i sądowego zakazania książki był wątek romansowy, odgrywający w niej dużą rolę. Po zatrzymaniu drugiego odcinka przez prokuraturę sąd krajowy karny jako prasowy w listopadzie 1883 orzekł, że w szczególności arkusze 3, 4, 5 i 6, wydane jako dodatek do 21 numeru „Przyszłości”, mieszczą w sobie znamiona występku z § 516 ustawy karnej², zatwierdził konfiskatę, zabronił rozpowszechniania i nakazał – w przypadku uprawomocnienia orzeczenia – zniszczenie nakładu³. W apelacji redakcja broniła się przed zarzutami okolicznością, że zakończenie miało przedstawić zgubność postępowania bohatera i służyć za odstraszący przykład dla młodzieży. Sąd jednak (przewodniczący A. Lubaszek, asystenci I. Łobaczewski i F. Matyas) na tajnej rozprawie w styczniu 1884 odrzucił sprzeciw, „przychylając się do zdania prokuratorii, że skonfiskowane arkusze zawierają zarzucony im występki przeciw moralności, gdyż wydawane periodycznie mogą ujemnie wpłynąć na moralność młodzieży, dla której przede wszystkim są przeznaczone, jako dodatek do «organu poświęconego młodzieży»”⁴.

¹ „Na powierzchni tego błota pływają idealni pozytywiści, zarysowani mglisto, otoczeni tajemnicą w swych dążeniach”. *„Dobry chłopiec” przed sądem*, „Czas”, 1884, nr 13 (16 I), s. 3.

² „§ 516. Kto rycinami lub sprośnymi czynami narusza obyczajność i wstydlivość rażąco i w sposób publiczne zgorzenie wywołujący, staje się winnym przekroczenia i będzie skazany na ścisły areszt od ośmiu dni do sześciu miesięcy. Jeżeli jednak takiego naruszenia dopuszczono się drukiem, należy je karać jako występki ścisłym aresztem od sześciu miesięcy do roku”. *Ustawa karna austriacka [...] z dnia 27 maja 1852 [...]*. Przełożył [...] J. Przeworski, Warszawa 1924, s. 307. Z przebiegu sprawy wynika, że nie stosowano kar przewidzianych w ustawie.

³ *Wyroki prasowe*, „Gazeta Lwowska”, 1883, nr 275 (1 XII), s. 6.

⁴ *„Dobry chłopiec” przed sądem*, op. cit.

Dobry chłopiec nie jest jedynym beletrystycznym utworem z kluczem o krakowskiej Czytelni Akademickiej. Późniejszy rozdział z jej historii, z lat 1889–1891, opisał dwudziestosześcioletni Wilhelm Feldman w dwutomowej powieści pt. *Nowi ludzie* (1894)⁵. Feldman po przybyciu do Krakowa związał się z socjalizującą grupą studentów, którzy od kwietnia 1889 wydawali pismo „Ognisko. Organ uczącej się młodzieży polskiej”; już w pierwszym numerze ukazała się tam jego nowelka. Było to wkrótce po uchyleniu przez ministra spraw wewnętrznych (21 III) orzeczenia Namiestnictwa z października 1884 o rozwiązaniu stowarzyszenia Czytelnia Akademicka⁶. W wyniku wyborów w reaktywowanej Czytelni zarząd objęli redaktorzy „Ogniska”. Zaniepokojone władze Uniwersytetu, policja i prokuratura przeprowadziły podobną akcję jak w czasach Łuszczkiewicza: wobec studentów wszczęto postępowanie dyscyplinarne i trzech z nich relegowano⁷, w lutym 1890 Namiestnictwo znowu rozwiązało Czytelnię⁸, a pod koniec roku prokuratura oskarżyła kilku studentów i Feldmana o przynależność do tajnej organizacji socjalistycznej. W efektywnym procesie w lipcu 1891 wszyscy zostali uniewinnieni⁹.

⁵ W. Feldman, *Nowi ludzie. Studium psychologiczno-społeczne*. Nakładem Księgarni Polskiej, Lwów 1894.

⁶ Archiwum Narodowe w Krakowie, 29/247/0/-/138: C.K. Dyrekcja Policji w Krakowie, Czytelnia Akademicka, s. 353–355 (K. Badeni do dyr. K. Englischa, 4 IV 1889, L. 3268).

⁷ Archiwum UJ, S II 713: Akta dyscyplinarne studentów 1870–1890, passim.

⁸ *Rozwiązanie czytelni akademickiej*, „Ognisko. Organ uczącej się młodzieży polskiej”, 1890, nr 1, s. 107 (numer skonfiskowany, dostępny w Jagiellońskiej Bibliotece Cyfrowej).

⁹ J. Dąbrowski (pseud. J. Grabiec), *Wilhelm Feldman jako publicysta i działacz społeczny*, w: *Pamięci Wilhelma Feldmana*, red. J. Baudouin de Courtenay, Kraków 1922, s. 76–80; L. Rath, *Proces „Ogniska” w Krakowie*,

O tych właśnie wydarzeniach pisze w swojej powieści Feldman. Książka zaczyna się podobnie jak *Dobry chłopiec Łuszczkiewicz*: wjazdem kolei na dworzec uniwersyteckiego miasta; tym razem jest to „Raków”, ale dźwięk hejnału rozstrzyga wątpliwości. Inaczej niż u Łuszczkiewicza, pociągiem przybywa nie jeden, lecz trzech młodych ludzi, których losy następnie się splatają. Opisy studenckich zebrań i komersów wykazują wiele podobieństw do wcześniejszej książki, natomiast treść przemówień i dyskusji odzwierciedla nieco już inny po paru latach stan politycznej świadomości studenckich działaczy. Identyfikację kilku postaci ułatwia podobieństwo nazwisk (np. „komisarz Jänner” to Jüttner, „Karol Nowocki” to F. Nowicki etc.). Niektóre wypowiedzi mogą się odnosić do wydarzeń z lat poprzednich, na przykład wezwanie profesora-kuratora „klubu” (Czytelni), by młodzież nie ulegała „chorobliwym prądom, które wieją z Genewy... i znad Newy!”¹⁰ Autor sięga też do wydarzenia z epoki Łuszczkiewicza, w którym sam nie uczestniczył, a mianowicie do wystąpienia Pawła Popiela, który 29 listopada 1884 podczas nabożeństwa w kościele Dominikanów niefortunnie protestował, gdy młodzież śpiewała religijno-patriotyczne pieśni. W powieści nestor krakowskich stańczyków (nie wymieniony z nazwiska) jest nazwany „spróchniałą ekscelencją” i spotykają go gniewne życzenia formułowane po łacinie¹¹, którą chętnie po-

„Wiadomości Literackie”, 1938, nr 49, s. 2; J. Myśliński, *Czytelnia Akademicka i Ognisko*, w: *Studia z dziejów młodzieży Uniwersytetu Krakowskiego od oświecenia do połowy XX wieku*, red. C. Bobińska, t. 1, Kraków 1964, s. 165–191; J. S. Miś, *Idea niepodległości w myśli politycznej Wilhelma Feldmana*, w: *Twórcy polskiej myśli politycznej. Zbiór studiów*, Wrocław 1978, s. 109–113 (Polska myśl polityczna XIX i XX wieku, t. 2).

¹⁰ Feldman, op. cit., t. 2, s. 121.

¹¹ Feldman, op. cit., t. 1, s. 95, 100–101. Użycie łaciny podczas manifestacji przed domem Popiela („pereat Popiel”) potwierdza korespondent warszawskiej „Prawdy” (1884, nr 50 (13 XII), s. 598). Sprawę omawiały

służyli się też bohaterowie książki Łuszczkiewicza¹². Przesłanie powieści Feldmana jest optymistyczne: w końcowym rozdziale weteran powstania styczniowego widzi w pokoleniu swoich dzieci „nowych ludzi” czystego i mocnego charakteru¹³.

Książka Wilhelma Feldmana, reklamowana przez autora w „Dzienniku Krakowskim”, była w wielu egzemplarzach przemykana do Królestwa i wywarła wpływ na młodzież uniwersytecką i gimnazjalną w Warszawie i na prowincji. Józef Dąbrowski, autor biografii Feldmana, niegdyś uczeń i uczestnik „Kółka samokształceniowego” w gimnazjum w Radomiu, wspomina, że powieść ta, którą uważa za „jedną z lepszych”¹⁴, „pisana żywo i malująca typy dodatnie działaczy socjalistycznych i ludowcowych”, popularyzując ich hasła i programy, cieszyła się dużą popularnością „wśród «kółkowiczów» i ogółu sztubackiego”¹⁵.

Skonfiskowana i zniszczona powieść Łuszczkiewicza pozostała natomiast nieznaną. Obecna publikacja ma na celu przypomnienie tego dokumentu, literackiej próby dwudziestojednolatka. Edycja

polskie pisma od Petersburga poprzez Tarnów do Paryża: „Kraj”, 1884, nr 50 (21 XII), s. 16; „Pogoń”, 1884, nr 25 (7 XII), s. 3; „Kurier Polski w Paryżu”, 1884, nr 24 (15 XII), s. 10. Zob. też: *Tryumfujemy na całej linii*, „Ognisko. Organ uczącej się młodzieży polskiej”, 1890, nr 1, s. 91–94.

¹² Łacina jako język protestów była wtedy w modzie: *pereat* wykrzykiwali np. studenci wiedeńskiej Politechniki (1879) i Uniwersytetu (1883), ci ostatni jako zwolennicy niemieckiego centralizmu, demonstrując – podobnie jak większość profesorów – przeciw swemu liberalnemu rektorowi. Zob. P., *Pereat*, „Prawda”, 1883, nr 27 (7 VII), s. 313–314.

¹³ Feldman, op. cit., t. 2, s. 286.

¹⁴ Recenzje odnotowane w bibliografiach zawierają bardziej wyważoną ocenę: *Nowi ludzie* to powieść lepsza od poprzedniej (*W okowach*, 1890), ale nierówna. Zob. I. Suesser, *Nowi ludzie*, „Przegląd Poznański”, 1894, nr 31 (28 X), s. 4–6; „Świat”, 1894, nr 22 (15 XI), s. 531; K. Bartoszewicz, „*Nowi ludzie*” Wilhelma Feldmana, „Kraj”, 1895, nr 46 (28 XI), s. 12–13.

¹⁵ Dąbrowski, op. cit., s. 80–81.

jest oparta na niekompletnym, jedynym znanym mi egzemplarzu zachowanym w Bibliotece Jagiellońskiej¹⁶, wydanym w Krakowie nakładem redakcji „Przyszłości” z datą 1884, ale – jak zanotowano na karcie starego katalogu – dostarczonym do biblioteki w roku 1883, a więc zapewne w okresie, gdy prokuratura zatrzymała publikację. Tomik *in octavo* liczy 192 strony, czyli 12 arkuszy. Uzupełniam go *Urywkiem* drukowanym kilka miesięcy wcześniej w „Przyszłości”, który mógł być projektowanym jednym z ostatnich rozdziałów powieści¹⁷. Zgodnie z zasadami zmodernizowano w tekście pisownię, interpunkcję i graficzny układ dialogów, ale pozostawiono większość językowych archaizmów.

Zamiast posłowania zamieszczam artykuł wydany w roku 2022 w księdze pamiątkowej prof. Adama Małkiewicza. Omawiam w nim dzieje Czytelni Akademickiej z epoki Łuszczkiewicza i wspominam o jego prasowych publikacjach, dotyczących m.in. problematyki poruszanej w powieści.

¹⁶ Eł. Jot., *Dobry chłopiec*. Nakładem Redakcji „Przyszłości”. W drukarni Związkowej, Kraków 1884. BJ 57364 I.

¹⁷ Idem, *Urywek*, „Przyszłość. Organ poświęcony młodzieży polskiej”, 1883, nr 15–16 (15 VIII), s. 3–5.

DOBRY CHŁOPIEC.

Napisał

EŁ. J O T.



KRAKÓW.

NAKŁADEM REDAKCYI „PRZYSZŁOŚCI“.

1884.

Część pierwsza

Dzieci wychylając się przez okna głośno dziwiły się kolorowym lampom zapalonym na dworcu, kobiety poprawiały kapeluszy podnosząc obie ręce do góry, jakiś stary pan, który do nikogo przez całą drogę się nie odzywał, zażył spory niuch tabaki, kiedy pociąg zatrzymał się, a donośny głos konduktora dał się słyszeć: „Xów, 15 minut przestanku! Xau 15 Minuten Aufenthalt!“

Powoli zaczęto opuszczać wagony, zostawiając w nich tylko podeptane skórki od pomarańcz i zatłuszczone kawałki szarej bibuły.

Biegania służby kolejowej nawołującej się o zmroku, żałosne głosy dzieci, które w tłumie różnobarwnym podróżnych, pakunków i urzędników odłączyły się od rodziców, widok kobiet, które oczekując na znajome sobie osoby, obojętnie przeglądały zbitą masę pasażerów — wszystko to odurzało młodego podróżnika, Karola Rewskiego, który po raz pierwszy puszczał się w odległą podróż i w nieznanym a większym mieście miał zamieszkać.

Przybierając wyraz wygodnej nudy, dla pokrycia wzruszenia, które każdy (jak mniemał) chciał na nim zobaczyć, podążył za innymi przez wąską szyję sklepionej sieni, obok budki opasłego kontrolera biletów, na szeroki plac położony przed dworcem. Widok żółtych tramwajów z zielono odzianymi konduktorami, klnących i wrzeszczących fiakrów, których powozy lśniły odblaskiem czerwonych promieni słońca chyłającego się za gęste drzewa skweru, cały zgiełk wielkomiejski, pełen dysonansów, impertynencji i jakiegoś ruchu, sprawiły,

że bezwiednie pozwolił wziąć swój worek włóczkowy i w popielate płótno obszyty kuferek obdartusowi z opaloną twarzą i prowadzić się na los szczęścia do hotelu.

Przez szerokie ulice obsadzone w środku drzewami, po asfaltowym chodniku szedł za swym obarczonym przewodnikiem... Życie miejskie, jakby dla niego, wystąpiło z całą swą krasą. Październikowe, ciepłe powietrze wywabiło na przechadzkę tysiące mieszkańców. Przed oczyma Karola przesuwwały się służące z koszykami, zalotnie uśmiechające się spod jasnych grzywek, studenci w swych niebieskich czapeczkach, ujęci pod ramiona, z rękami w kieszeniach od kamizelki, starcy w poważnych kołnierzykach aż po same uszy, popychani w czarnych wózkach przez ogolonych lokajów, kobiety z czerwonymi parasolkami, płynące rozkosznym, łabędzim ruchem po żwirowych alejach w towarzystwie mężów, dzieci biegające za wolantem z taką swobodą, że widać było ich białe pończoszki i obszyte koronkami majteczki.

Tysiące nieznanych szczegółów, drobiazgów, wrażeń, uderzało go niezwykle. Minawszy ludniejsze strony dostał się w szereg ulic przedmiejskich, a za chwilę rozglądał się po zielonym pokoiku hotelowym, położonym na drugim piętrze.

Znalazł się nareszcie sam. Zrzucił z siebie wierzchnie okrycie, otrzepał się z kurzu, przemył oczy zimną wodą i mimo woli, jakby chcąc wszystkiego dotknąć rękami, namacalnie, pocisnął metalowy, błyszczący guzik elektrycznego dzwonka, a odprawivszy pod błahym pozorem wezwanego garsona, przejrzał się w lustrze, przyglądał włosy i idealny ślad wąsików... i przystanął, jakby nie wiedząc co czynić.

To się przechadzał wzdłuż orzechowo malowanej podłogi, to zaglądał do szafy, to przysłuchiwał się pocieraniu zapalek przez niewidzialnego sąsiada, aż wreszcie nie mając ochoty do wyjścia, rzucił się na niski fotel i pograżył w dumaniach.

Przez otwarte okno dolatywały go pomieszane, stłumione echa miejskiego życia. Turkot odległych powozów, to wolny, to spieszny, mieszał się z dźwiękami katarynki, wygrywającej raz po raz rozmarzającą melodię wiedeńskiego walca; jakieś głosy, to męskie, ochryple, to dźwięczne, świeże, jakieś zmieszane śmiechy, wykrzykniki, zagłębiały go coraz bardziej w zadumę. Wreszcie wieczór ogarnął go swą ciszą.

Przed oczyma snuły mu się chaotyczne obrazy podróży, tłumne, pomieszane. Przechodził myślą rozmowy prowadzone z sąsiadami w coupé. Z jakimś starym emerytem spieszącym do prowincjonalnego miasteczka, który opowiadanie co chwila przerywał i wielką kolorową chustką obcierał oczy, podniósłszy do góry wielkie okulary, — z jakimś Niemcem, nieogolonym, bez krawata, który prawił szeroko o sławnej swej przygodzie z rosyjskim bojarem w Odessie, a śmiał się często i głośno, zadzierając przy tym w tył głowę. Przypomniawszy sobie wyjazd z rodzicielskiego domu, błogosławieństwa matki, uściski drobnych siostrzyczek, które prosto z łóżeczka wybiegły na ganek uściskać Lola, i obiecywały do niego pisywać listy, „o! takie duże!” potem wsiadł do bryczki, ciągniętej przez dwa kare wałachy i przez piaszczysty wawóz, koło figury św. Rocha, minawszy pokręcone wierzby, wyjechał na szosę, a jakieś dziwne muchy kręciły mu się w oczach, zasłaniając widok na siniejące z dala pagórki... Przypomniawszy sobie rozmowę w gabinecie z ojcem

prowadzoną wieczorem przed wyjazdem. Stary wyprostowany chodził wzdłuż tureckiego dywanu i pociągał spieszenie z fajki lub szarpał siwe obwisłe wąsy. Dużo się wówczas nasłuchiwał o narodowych ideałach, o poczciwości dziedzicznej, o obowiązkach, które człowieka wiedą po twardym gościńcu życia.

Ojciec mówił szeroko, poważnie, jakby z równym sobie, często przed nim się zatrzymywał. Czuł wówczas jakieś dziwne ciepło w sobie, a postać w tabaczkowej czamarze rosła przed nim wysoko. Przypomniał sobie, że ojciec mówił mu o swych wybrykach młodzieńczych, o wątpliwościach religijnych, o zawodach i troskach, aż w końcu dodał: „zawsze miałem swoje zdanie, nigdy cudzych Bogów nie szukał ani magnackich przedpokojów nie wycierał i dziś siedzę na czterech folwarkach, kiedy moi koledzy noszą teki, lub krociami sypią za granicą; ale nikt nie powie, że stary Rewski to kiep”.

Potem, po kolacji, dostawszy od ojca papiery potrzebne i 100 złr. na drogę, poszedł na drugi koniec dworu do swego pokoiku i zaczął pakować rzeczy, a Szczepanek z ogromną czupryną przyszedłszy mu ściągnąć buty, zagadał: „że Marynie owczarce warto by dać na korale, bo ino beczy i beczy za paniczem i powiada, że się duchem utopi, jak panicz odjedzie...”. Tu poważne słowa ojca ustąpiły myślom innym, o świecie, na który się wyrwał, o życiu rozkosznym, w upojeniu, w stosunkach z kobietami o długich rzesach a jedwabistych rączkach, o długich balach przy jasnym blasku gazowych kinkietów, o hucznym życiu studenckim. Dziś świat ten przesunął się przed nim i oczarował go ale i onieśmielił, gdy z bliska nań spozrzał. Snując dalej myśli przypomniał

sobie życie w konwikcie, gdzie czarni ojcowie tak się łagodnie z uczniami obchodzili, długie śpiewy kościelne w maju, kiedy według wzrostu ustawieni w mrocznym kościele śpiewali pieśni o Maryi, a biały posąg spośród topieli kwiatów i liści słodko się do niego uśmiechał; przypominał sobie jak wówczas roił o tej kobiecie z pięknymi licami i jak ją wielbił w półsennym upojeniu ciepła, woni i śpiewów i niewinności dziecinnej. Przypominał sobie wzruszenia pierwszej spowiedzi i pierwszej komunii, gonitwy po szerokim placu, przechadzki po ogrodzie, na których rycerze, śpiewy historyczne, Robinson, snuły się na przemiany. Jak wyrwawszy się z lekcji z młodym Z. przyszłym ordynatem, skuleni za belkami schnącymi pod murem, palili przemycane ostrożnie z miasteczka cygara, a towarzysz z dziwnie rozpaloną twarzą prawił mu rzeczy, o których dobrzy ojcowie ani słowa nie wspominali, a o które za nic w świecie ojca, ani matki, ani wuja Alfonsa nie byłby się pytał; jak Z. nieraz ukradkiem zakreślał mu z książeczki przepisanej do spowiedzi nieznanne grzechy, których czytanie rozpalało mu krew i na całe godziny robiło go niezdolnym do niczego. Błady ojciec Teofil pytał go wówczas, co mu jest, a on żalił się przed nim na ból głowy, spowodowany chodzeniem bez kapelusza po słońcu. Przyszły mu na myśl późniejsze czytanie książek, z których jedna schwytała była powodem wydalenia z konwiktów ubogiego ucznia i nagany młodego ordynata; owe nocne wycieczki na miasto, pod zasłoną ciemności i potajemne lekcje tańców u Arnolda Klingmana, który przy zamkniętych okiennicach pozwalał im z młodymi damami o wschodnich rysach tańczyć o wiele swobodniej, niż dopuszczał w klasztorze stary,

trzęsący się Letron, mistrz salonowej gimnastyki. Przypominał sobie, że na parę miesięcy przed końcem każdego roku szkolnego liczył dni do egzaminu, do wyjazdu na wieś, dopóki z cenzurą w kieszeni nie zjechał z głównego traktu na piaszczystą leśną drogę, wiodącą do domowej strzechy. Biegał wówczas do stajni i na bułanym ogierku przetrząsał całą okolicę lub lekkim wózkiem z ekonomskim synem Walusiem puszczał się do gaju, gdzie w rzece kąpali się i po całych godzinach nago wylegali na rozpalonym żwirze. Wieczorami grywał z matką na cztery ręce w różowym salonie, a potem wychodził razem z nią i z siostrami na gumno, oczekując na ojca, który zmęczony szedł krok za krokiem prowadząc za ude siwą klacz z opuszczoną głową. Przy jaskrawym świetle zachodu, pośród kłębow kurzu przebiegały beczące owce, a żółte, włochate pieski ze spiczastą mordą zabiegały im z boku skowycząc urywkowo. Potem ciągnęli powoli rataje, krokiem ciężkim, a każdy mijając państwo zdejmował włóczkową czapkę i dotykał nią spieczonej ziemi. Po herbacie ukradkiem chodził po ogrodzie i ciekawie zaglądał przez białe firanki, jak panna Mary, Niemka młoda z pruskiego Śląska, niby bona a niby nauczycielka, rozbierała się do snu i powoli czesała kasztanowate włosy, patrząc w lustro zawieszone nad orzechową komodą. Przypominał sobie jak nieraz podczas trzydniowego deszczu, gdy kapuśniaczek chłostał ziemię, a koło okien dworu przechodzące kobiety miały głowy nakryte spódnicami lub workami, wertował bibliotekę ojca i leniwie przerzucał poważne foliały encyklopedii rolniczej i starych poetów, szukając chciwie fraszek Kochanowskiego lub wierszyków Węgierskiego Kajetana.

Jak znowu pewnych wakacji przyjechał kuzyn Oleś z lipskiego uniwersytetu i wieczorami leżąc na łóżku z papierosem w ręku brał go na egzamin z religii, dowodząc mu, że Bóg nie może być równocześnie sprawiedliwym, wszechwiedzącym i nieskończenie dobrym, bo te własności pogodzić się nie dadzą, że nieśmiertelność duszy to genialny wynalazek moralistów, ale nie uzasadniony naukowo, mówił mu o książkach z dziwnie brzmiącymi tytułami, których treść bogata kształci umysł, wyrabia samodzielność i tłumaczy tajemnice natury, uwalniając swych zwolenników od ślepej wiary w dogmat. Nauki te w nowy świat prowadziły Karola; przypominał sobie, że wyniki więcej go zajmowały od opisu doświadczeń i że pragnął być tak mądrym jak Oleś, mieć takie wasy i tak zręcznie robić błyszczącym rapierem. Nauki młodego uczonego dziwnie godziły się z jego sposobem myślenia, dawały mu klucz do tłumaczenia sobie wielu rzeczy i pragnął je w czyn wprawić jak najspieszniej. Po zgazowaniu lampy próbował okryć się kołdrą na głowę i usnąć bez pacierza, ale próżno zwijał w ręku poduszkę, obracał ją na chłodną stronę, próżno nogi nagle kurczył i znów wyprężał się cały, sen uciekał mu z oczu; widział wówczas przed sobą proboszcza siwego z sakramentem podczas Bożego Ciała błogosławiącego gnące się jak zboże tłumy kmiotków, widział ojca przebierającego różaniec, matkę modlącą się nad jego łóżkiem, kiedy chorował na szkarlatynę — i pod nawałem tych wspomnień cień Olesia malał, a Karol po cichu klękał i szeptał Ojcze nasz i Zdrowaś i Wierzę i bił się w piersi... ale druga, trzecia noc minęła bez tych udręczeń i nowe nauki zwyciężyły. Oleś polecał mu dużo czytać i pracować, badać

samemu, wyrabiać sobie nową moralność i nową etykę, ale on nie chciał tego rozumieć i ograniczył się na rzuceniu starych pojęć. Przypomniawszy też sobie Karol, jak raz zgromił go Oleś, gdy wróciwszy w nocy od komornicy chorej na tyfus został śmiechem ironii przyjęty przez ucznia, który szydził z jego sentymentalności. Z rozplomienioną twarzą prawił Oleś swym dźwięcznym głosem o niedouczonej wartości, którzy wstydem okrywają zasady naukowe, jeżeli się do nich przyznają, o wielkich obowiązkach, do których nakłaniać powinno hołdowanie postępowym hasłom, o walce z sobą, o poświęceniach... a on tymczasem słuchał półuchem i zasnął nie dosłuchawszy opowieści... Przyszła mu na myśl Mania, córka starosty z powiatowego miasteczka, różowa i wysmukła jak brzoza dziewczeczka, która często w niedzielę po południu wolantem z matką przyjeżdżała do ich wioski i dziwnie się rumieniła, kiedy wracając z wycieczki do dębowego lasu, w ciepły wieczór prowadził ją pod ramię i z daleka zostawiwszy za sobą towarzystwo całe, szedł obok niej milczący, patrząc to na wieś rysującą się w dole wśród wieczornego zmroku, to na różowe obłoki, to na jej popielatą sukienkę z jasnymi wstążkami... Jakieś dziwne ciepło, którego gwałtem chciał się pozbyć, ogarnęło go powoli wśród tych marzeń bezładnych, pragnął razem zostać w mieście i lecieć w swe strony rodzinne, rozerwać się na sto części, a każdą częścią to płakać, to całować, to śmiać się, to wybuchać bez miary, kiedy nagle lekkie stukanie do drzwi zbudziło go z tego stanu. Zerwał się, niechętnie przyzwolił i za chwilę wszedł służący hotelowy z zapytaniem czy podać czego sobie nie każe. Ochłonawszy z rozmarzenia przypomniał sobie

nie zaspokojony głód podróżny i kazał sobie podać kolację. Odpędziwszy marzenia, z dymiącym talerzem uwinął się szybko, a w godzinę potem przytulony do poduszki odwrócił się na prawy bok i regularnie oddychając pograżał się powoli w kamiennym śnie.

Nazajutrz wyszedłszy na miasto i rozglądając się po nim ciekawie, zaszedł do cukierni przy ludnym placu i zasiadł pod szeroką płócienną markizą w czerwone pasy przy żelaznym stoliku. Przerzucając humorystyczne dzienniki poprawne w czarne teki ze złoconymi napisami, rozglądał się ciekawie po wchodzących, wychodzących i siedzących gościach. Obok niego siedziało trzech młodzieńców. Dwóch pochylonych nad stołem, z rękami na łokciach, słuchało ciekawie opowiadania trzeciego, który w rozpiętym surducie, przechyliwszy się w tył wraz z krzesłem na dwóch tylko nogach opartym, prowadził rozmowę. Mimo woli nadstawił uszu i łowił treść ożywiająca jego sąsiadów.

— Jak uniwersytet uniwersytetem, takich szopek nie było, jak te co się gotują. Klerykały powiadam wam gotują byczą opozycję. Z prowincji napłynęło wielu młodzieniaszków po maturze, a każdy rad by się wmieszał w nasze parlamentarne życie. Jaki taki dostaje się w klerykalne ręce, paniczne ładnie mu nadskakują, nazywają kolegą, a rusticus bierze wszystko za dobrą monetę i gotów bić się za wszystko, co mu „kolega z trzeciego roku“ wskaże. Wczoraj widziałem Kulickiego w piwiarni z czterema takimi numerami. Posilając się bryndzą i piwem na koszt przyszłych wyborców, prawil im baśnie o koleżeńskim życiu, o solidarności, o tradycyjnym sztandarze, o obowiązkach narodowych, dowodząc, że

po stronie przeciwnej same tylko durnie się gromadzą, albo warchoły, a na ucho szeptał im, że Garibaldi, który zwykle w krwi niemowląt nogi sobie moczy, pisał do Walikowskiego. „A któż to ten Walikowski“, pyta go jeden z tych kibiców. „Dla Boga! nie wiesz młodzieniaszku, to główny infamis, który śpiewa plugawe pieśni, zaczynające się od słów: «Weder Gott, noch Kaiser...»“. Przyznam się wam, że miałem wielki gust, unikczemnić go wówczas lub kazać mu się wypchać, ale sobie pomyślał, że nie wart ręki porządnego medyka...

— A niech go flanela ogarnie — zauważył sąsiad bliżej Karola siedzący — dobrześ Daukszo zrobił, żeś go poniechał, nie tobie w tym błocie się walać. Antek! daj no włoskie, a żeby dobrze ciągnęło! — zawołał na garsona. — To lokaj, który gogom skrypty przepisuje, a nocami w karty ich ogrywa; z takimi się nie gada na boku, tylko w nic zmienia na zgromadzeniu.

— Mój bracie kochany — po chwili dodał kiwając głową — obskurantyzm u nas większy, niżesmy marzyli. Pamiętam zeszłego roku ową nocną wędrówkę do dębowego lasu, kiedyśmy się za ręce ścisnęli i ślubowali jak ongi Mazepa „śmiechem i zgiełkiem napełnić świat cały“, klerykalny, dodaje w nawiasie. Rozgłosić nowe hasła postępu i zebrać koło siebie paczkę dzielnych pionierów, wrogów przesądu i prywaty. Co się stało? Ciebie szykanują i czernią, ze mną niejeden się i wdawać nie chce, a Stacha na miękko by ugotowali w smole. Niech ich tam znudzi. Bracie! koleżkowie nasi wolą być głupi jak młode bogi, byle się nie narażać starszym i światłodawcom.

Trójka spuściła na dół głowy, a Dauksza palcami znacznymi w rozlanej herbacie malował na stole współśrodkowe koła, patrząc na nie z zajęciem.

— Pereant! — dodał wreszcie i zabierał się do dalszej roboty, kiedy stanął przed nim Karol i z ukłonem zagadnął:

— Przypadkowo poznałem, że szanowni panowie jesteście słuchaczami wydziału lekarskiego, ja jestem Karol X. i przybyłem właśnie wczoraj do Xowa w celu zapisania się na tenże sam wydział, i znajduję się w prawdziwym kłopotcie, bo rady sobie w miejscu nieznanym dać nie mogę, nie wiem jak się wziąć do zapisu do...

— O! witamy z całego serca nowego aspiranta do naszego zawodu — zawołał Dauksza — jeśli wam chodzi o zapisy, to was możemy z wszelką łatwością $n + 1$ razy zapisać. Ale przede wszystkim dajcie spokój tym „panom szanownym“, a uważajcie nas i nazywajcie kolegami. Ja jestem Szymon Dauksza, główny pijak na medycynie, to mój kolega Michał Szulski, najgłówniejszy idiota pomiędzy nami, podczas gdy ten trzeci, który jak kolega widzi jest wcieloną parodią człowieczeństwa, zowie się Stanisław Mrzyk cechujący się w wysokim stopniu połączeniem przymiotów moich i Szulskiego. Wicie cośmy zacz, więc siadajcie z całą swobodą, właściwą młodemu wiekowi i referujcie wasze kłopoty.

Niezwykły sposób wyrażenia się u młodego znajomego onieśmielił chwilowo Karola. Siedział więc zakłopotany, nie wiedząc od czego zacząć.

— A więc kolega — zapytał Dauksza — na medycynę? pewno przyrodnik, Darwinista, chodzący po błotach i łąkach przez całe wakacje. Hej! hej! przypominam sobie i ja takie

wędrówki, kiedy to człowiek całe godziny czyhał na ciąg słońek i patrzył w górę na rumiane niebo... — i machnął ręką odpędzając wspomnienia.

— O nie, proszę pana... tj. chciałem powiedzieć kolegi. Darwinistą właściwie jestem, a niby nie, bo studiów tj. niby badań nie prowadziłem własnych... na medycynę ciągnie mnie przede wszystkim nadzieja przyszłej swobody i niezależności w życiu.

— A jakże się koledze nasza stolica podoba, owe pamiątki odwieczne, na których mech sędziwy świetnej przeszłości bujnie wieki zaznacza — ciągnął z przesadną wyniosłością inkwirent — bo to wy nic poza tym nie widzicie.

— A! nic jeszcze nie widziałem, ale owszem rad bym te zabytki poznać, ale nie spieszy mi się z tym tak bardzo — dodał zmiarkowawszy ironię nowego znajomego — ciągnie mnie więcej samo życie, stosunki miejskie; młodzież tu podobno bierze udział w zabawach publicznych, urządza bale, przyznam się też kolegom, że ta strona ęci mię do siebie.

— Aha! — przerwał mu małomówny Mrzyk, kolega czuje aspiracje do parafii frakowych karawaniarzy... No nie chcę zniechęcać, ale nie namawiam, głupia to instytucja.

Karol zerwał się na chwilę zmieszany, sądząc, że z czymś niewłaściwym się wyrwał.

— No! no! — dodał Dauksza — nie rwij się kolego, siedź spokojnie, Mrzyk nienawidzi balów urządzanych przez młodzież, bo to wariat w poglądach na zadania młodzieży, nie szkodzi i tego spróbować, toż i jam się palił do tych zajęć, jak do pończochy na płocie, ale dziś mnie to nie wzrusza. Owszem nie damy ci rad żadnych, płyn, płyn, a jak przepłyniesz,

to poznasz trochę lepiej niż z naszych opowiadań. Nikomu tego nie odradzam, a szczególnie wam rekrutom z prowincji, wy nie znacie życia, ono was ujmuje swym blaskiem, lada bibularz was olśni i za nos powiedzie... nic to nie szkodzi, sparz się, wypal, a hartu byczego nabierzesz... Nie bierz tego do siebie ani się nie sroż, ale żal mię bierze widząc chłopców młodych, którzy przybywszy do miasta marzą jedynie o zabawach i użyciu, a woda w Wiśle tymczasem płynie dzień i noc i zadania wielkie czekają równie dzień i noc... Romanizm to niby to moje gadanie, niepozytywne złudzenia, ale niech diabli porwą mnie, jeśli nie chcę dobrego, jeśli się myślę w wyborze dróg... — Tu się znowu zamyślił, a niedługo podniósł głowę do góry, twarz jego o ciemnej cerze przybrała swój zwykły satyryczny skrzywiony uśmiech i gwizdnawszy z dziwnie wysokiego tonu, dokończył: — *Ich steh' auf Berges Spitzen und werde sentimental*. No! no! dość tych kwileń...

Rozmowa niedługo też zesłała na formalności zapisowe, starzy koledzy obznajomili nowicjusza ze sposobem zapisania się na akademię, gdzie i jak ma sobie nająć mieszkanie itp.

Nie w smak Karolowi poszły porady Szulskiego o tanich obiadach, czuł stówkę w kieszeni i butę pańską, do której przywykł w domu jako pierwsza osoba we włości. W godzinę pożegnali go nowi znajomi, a kiedy Mrzyk ze Szulskim kręcili sobie cienkie cygareta i załatwiali rachunek, Dauksza dorzucił na wychodnym:

— Kolego! nas pierwszych fortuna z wami zetknęła, starzy z nas weterani ławek akademickich i nie gniewajcie się, że starzy prawdę wam powiedzieli. Nieboszczyk Morawski za-

lecał ją w wierszowanej formie: „a jak w sercu tak w uśmiech zawsze prawda święta“; posłuchajcie mej rady, nie zgubcie się w Sodomie obłudy i zbytku, wychuchajcie sobie jaki idealik, choćby chudy i mały, jak kot żydowski i służcie mu wiernie, ani dbając na strzały, którymi sieje przygoda w dzień biały... *Das leben ist doch schön...* wołał dychawiczny markiz Poza, szkoda młodych lat... — Ścisnął go za rękę, machnął sękatą laską i wyszedł szerokim krokiem za próg, a za nim nierozłączni towarzysze pospieszyli certując się zabawnie przy drzwiach...

Karol został sam, był jakiś nierad z siebie. Ten człowiek z ogorzałą twarzą w jednej godzinie powiedział mu więcej poważniejszych rzeczy, niż jemu przez całe życie przeszło przez głowę, uczył jakiegoś wyrzutu, do których przed chwilą ani mu się śniło poczuwać. Spodziewał się przewodników do nieznanych uciech, a spotkał ludzi, przed którymi uczył mimowolny bezwiedny szacunek; ich prostoduszna, beładna wymowa, lubująca się w drastycznych porównaniach, ich gotowość w odpowiedzi na każde pytanie zdumiała go, doświadczenie w życiu przebyte napełniło ich niechęcią do uciech, których całą duszą pożądał, a o których roił, puściwszy wolne cugle wierzchowcowi i błędząc po szumiącym lesie rodzinnej wsi. Przypomniał mu się kuzyn Oleś, jak leżał na pikowej kołdrze z nogą założoną na nogę i rozprawiał po całych godzinach, czuł się w nieznannej atmosferze i uczył się małym... Z tymi dziwnymi myślami błędził dzień cały. Dopiero przedstawienie teatralne lekkiej opery wyleczyło go z niezwykłego nastroju.

Wracając do domu w towarzystwie dwóch młodzieńców, którzy siedząc obok niego w aksamitnych fotelach w czasie sztuki w zachwyty go wprowadzali znajomością dokładną wszystkich bez wyjątku pań zasiadających w łóżach i nieposzlakowanym krojem ubrań, zapomniał o trójcy medyków, a całą duszą oddawał się nowej znajomości, wypytyując o szczegóły towarzyskiego życia i nucąc na urywaną nutę motywy rozkosznego walca „Ach! wśród przyrody, to Melanii cały raj...”.

Drugi dzień pobytu zajęły mu zapisy, różne formalności urzędowe, zawiązywanie niezliczonych znajomości. Dziwiła go jakaś nagła serdeczność w ludziach po raz pierwszy w życiu widzianych. Jakieś przelotne wspomnienie dzieciństwa, wspólność jakiejś obojętnej znajomości wystarczała, by go nowy kolega za rękę ścisnął serdecznie i stanął z nim od razu na najlepszej stopie. Dziwnego uczucia doznawał, gdy w skwarny dzień jesienny, z rozpalonego bruku dostał się do uniwersyteckich zabudowań, do czystych, chłodnych korytarzy, z szeregiem drzwi opatrzonych w lśniące białością łańskie tablice z napisami. Przybrał wówczas wyraz poważny i przechadzał się z kolegami po kamiennej, w szachownicę ułożonej posadzce, patrzył na różnobarwne grupy rozmawiających lub wpisujących w legitymacyjne książeczki szereg wykładów. Odgłos kroków rozgłośnie brzmiał po długich sieniach, dym cygar błękitnym obłokiem wzbijał się w górę, jakaś swobodna atmosfera panowała w tym małym społeczeństwie; z gwaru wydobywały się na wierzch chóralne śmiechy, wykrzykniki pobudzające do wrzawy i zgiełku wtajemniczonych w ich znaczenie. Techniczne wyrażenia z obcych

języków utworzone, łatwość, z jaką inni ich używali, zastanawiała go. Czuł jakąś dumę, że wszedł do przybytku wiedzy. Nie poznawszy jego treści, upajał się samą zewnętrzną formą.

Po obiedzie według wskazówek wczorajszej trójcy szukał mieszkania. Przebiegając ulice, poglądał po bramach kamienic, upatrując kart z ogłoszeniami.

Wchodził do ciemnych, wilgotnych sieni, w których młode służące w niebieskich kaftanikach maglowały stopy bielizny i zapytywał ich, według wskazówki ogłoszenia, o mieszkanie stróża lub zarządcy domu. Dziewczęta odpowiadały mu całym chórem, lub też chowały się jedna za drugą, bąkając ogólnikowe odpowiedzi. Wspinał się po brudnych schodach na piętra, oświetlone skąpo z góry weranda, złożoną z drobnych, zielonawych szybek, potykał się o konwie pełne wody stojące przy drzwiach i o wydeptane słomianki, przeglądał pokoje wąskie, tapetowane lub malowane jaskrawo, wiejące pustką z nie umeblowanych kątów, noszące ślady czynnego życia poprzedniego mieszkańca. Sam był równie przedmiotem uwagi; w jednym miejscu przez otwarte drzwi wysunęła się rumiana buzia, z biegającymi ciemnymi oczami i spod białego czepeczka bystro patrzyła na przechodnia, ówdzie emeryt w czarnym, pod szyję zapiętym surducie, stał oparty obiema rękami o bambusową laskę i spozierał na niego spod oka; spotkał też dzieci, jak wracając ze szkoły z tekami na plecach, szły jedno za drugim, a każde linią uderzało po kolei w toczne balaski.

Po długich nareszcie szukaniach wynajął mieszkanie, składające się z widnego pokoju z alkową. Niebieskim papierem, w wielkie białe bukiety zdobnym, wyklejone ściany, miały

w sobie coś świeżego. Widno tam było i wesoło. Nie słuchając więc zachwalań stróża, który stojąc przy drzwiach w czerwonej kamizelce i z grubym tombakowym łańcuszkiem na brzuchu, rozwodził się nad wygodami lokalu, postanowił zamieszkać tutaj. Zgodziwszy się o meble, usługę etc. pośpieszył do hotelu po swe pakunki i w godzinę urządzał się na nowym gospodarstwie, ustawiał meble, a potem zatrzymując się na środku, spoglądał na nie okiem badawczym, komodę cofnął bliżej ku drzwiom, a ciemny lavoir wsunął za piec, ubrania niektóre pozawieszał w pustej szafie, próbował zamków przy stolikach, grupował krzeselka plecione około długiego stołu, potem schyliwszy się zbierał starannie słomki, papierki walające się na ziemi i wrzucił je w piec. Otworzył z trudem zasuwki okna i wyrżał.

Przed nim rozstaczał się ogród, wąskie ścieżki starannie były wysypane żółtym, wilgotnym piaskiem, około trawników odbijały na tle zieleni wielkie bryły niewypalone gipsu, leżące rzędem obok siebie, na środku na drewnianej podstawie świeciła ogromna bania szklarnia, zabarwiona na żółto. Grządki z kwiatami stały puste, widniały tylko tu i owdzie kępy astrów, sterczących prosto do góry swymi białymi i różowymi główkami, kilka owocowych drzew, pomalowanych do połowy pnia wapnem, ugięło się pod ciężarem dojrzałych owoców. Za ogrodem ciągnęły się zielone balaski. Pod oknem samym świecił lśniący dach blaszany, przykrywający, jak sądził, domek letni lub cieplarnię. Widok ogrodu przypominał mu wieś, poczuł się sam, opuszczony. Oparty o ramy myślał, co tam w domu się teraz dzieje. Ojciec siedzi w kancelarii z fajką przy ustach, z nogami opartymi o śpiącego le-

gawca i pisze skrzypiącym piórem dyspozycję dla folwarków. Matka szyje przy oknie na zielonej kanapce, albo w fartuchu białym, z kieszonkami pełnymi kluczów, idzie do spiżarni, siostrzyczki przy małym stolyczku krają gałganki na suknię dla panny Lali, kłócąc się piskliwymi głosikami o kawałek wstążki, a Mary kołysze się na fotelu i czyta Lessinga lub Kotzebuego...

Tymczasem zrobiło się szaro, przez okno czuć się dawał chłód dojmujący, gałęzie drzew szumiały. Karol przypomniał sobie, że koledzy namawiali go, żeby koniecznie przyszedł do sali restauracyjnej we włoskim hotelu, gdzie ma się dziś odbyć wielkie zebranie młodzieży, jak zwykle co roku na rozpoczęcie roku szkolnego. Spojrzał na zegarek i ubrał się ciepło, nakrył głowę, a schowawszy klucz do kieszeni poszedł w znajomym już sobie kierunku. Smutno mu było wychodzić nikomu nie powiedziawszy, że wychodzi, nikogo nie żegnając. Przyszło mu na myśl, że i powrót co dzień taki go czeka. Machnął jednak ręką dla pozbycia się niepotrzebnych myśli i szedł dalej nie myśląc już o swym położeniu...

Gdy wszedł do jadalnej sali włoskiego hotelu, stanął chwilę na progu, zanim go przekroczył, taki niezwykle, pomieszany widok go uderzył.

Spod gęstych kłębow tytoniowego dymu, gryzącego w oczy, utrudniającego oddech świeżo wchodzącemu, widniały szeregi stołów zajętych przez zebraną młodzież, płomień gazowych kinkietów nikły w tych sztucznych obłokach, gwar pomieszany, krzyki, rozmowy, śpiewy, mieszały się z brzękiem szklanych i porcelanowych naczyń. Spostrzeżono go natychmiast i zanim miał czas się opamiętać, odebrano mu

okrycie, kapelusz, posadzono za stołem i postawiono przed nim wielki, gruby kufel napełniony piwem i pianą szumiącą. Odurzony rozglądał się około siebie, rzucił najpierw okiem na otoczenie stolika, za którym siedział. Dwóch znajomych mu kolegów opartych oboma łokciami na wilgotnej płycie, różowy blondynek, który nerwowo mrużył oczy i co chwila poprawiał sprężyny przy binoklach, gruby brunet o tłustym ciemnym karku w pasowym krawacie i drugi z głową opartą o jego ramię, słuchali opowiadania jakiegoś nieznanego mu kolegi, który muskał się po czernionym wąsie lub po krótko ostrzyżonych włosach i ciągnął dalej jakieś opowiadanie:

— *Jakżem* wrócił nad ranem do domu położyłem się do łóżka i śpię jak nigdy nic, rano przynieśli mi kawę, a mój chłopak przed lekcją poleciał do stajni, słyszę ktoś puka, ale tak sobie cichutko do drzwi; myślę sobie dobryś, i mówię herein. Wchodzi ci moja panna Domicella i dalej, do mnie, ale tak kołując. Ja niewiele sobie myśląc cha! cha! cha! powiadam dzień dobry panie Domicelli, jakże zdrowie szanowne? a ta ci do mnie od razu dopiero, a gdzie to pan Antoni po rosie spacerował?.. *Jakżem* to usłyszał, tak do niej dopiero nie wiele myślący cha! cha! cha!... — Tu zaczął się śmiać, a blondynek jeszcze silniej poruszył binokle i jeszcze szybciej mrugał pochyliwszy się w stronę opowiadającego.

Żałując, że nie słyszał początku opowiadania, spojrział Karol po zgromadzeniu. Pierwsze lody już pękły, towarzystwo podzielone początkowo na grupy, które sadowiły się według znajomości i wygody, zaczynało się zlewać w jedno wielkie ciało, zaczynało bawić się zbiorowo. Nieśmiałość nowicjuszków ustąpiła dzięki swobodzie starszych kolegów, roz-

noszono na wielkich tacach stopy krajanych bułek z szynką, dymiące talerze, pudełka otwarte, z których wyglądały sardynki; goście jeden przez drugiego sięgali po swe porcje, oblewając się piwem i śmiejąc się głośno lub gniewając. Przy ścianie filozof z pryszczami na twarzy dławił się zbyt wielkim kęsem, a niewidzialny sąsiad uderzał go pięścią po karku dla ułatwienia mu przełknięcia. Słuszny młodzieniec z wyższego kursu ścisnął po kolei za ręce młodych sąsiadów i poufale mówił do nich „ty”, zaklinając się na wszystko w świecie, że tak sobie powinni mówić koledzy. Obok twarzami zwrócenymi do siebie rozmawiali żywo dwaj młodzi ludzie ścisnąc się za ręce, od nich dolatywały do uszu Karola urywane słowa: miłość ojczyzny, Litwa, kołduny, polowanie, serdeczność, rodzina, „nie tu” (gest na usta) „nie tu, ale tu! tu!” (gest na serce). Obok trzech smagłych, o wschodnich rysach prawników z wytrzeszczonymi oczami patrzyło na niedalekiego sąsiada, który w grubym pugilaresie niedbale przebierał niebieskie papierki, zwrócony połową swej osoby w stronę bladego panicza, w wysokim kołnierzyku, z rozdzielonymi nad czołem włosami, który cedząc mówił: *Mais! ma tante demeure à présent à Mentone...* i otrzępywał delikatnie popiół z żółtawego cygara. Na boku nieśmiały, drobny chłopczyzna zębami rozwiązywał węzełek czerwonej fularowej chustki i liczył potem na dłoni srebrną i miedzianą monetę.

Pod ścianą za obszernym stołem siedział Dauksza ze swymi towarzyszami, otoczeni gromadką podobnie im myślących i życzliwych kolegów. Żywe gestykulacje, huczne wybuchy śmiechu, niskie basowe głosy wyróżniały ten stół z pośród innych. Na poczesnym miejscu, najwidniej oświeco-

nym, siedział przewodniczący uczy. Wysmukły, blady, o matowej cerze, nerwowych ruchach, spoglądający poważnie wielkimi piwnymi oczami po całym zgromadzeniu, przed nim stała flaszka gazowej wody, kieliszek wina i dzwonek z czarną rączką. Do niego tulił się i łąsił szczupły, drobny akademik, bez żadnego wyrazu w niebieskich oczach i regularnych rysach twarzy, który co chwila wyciągał z bocznej kieszeni na jaw pasową jedwabną chustkę, śmiał się serdecznie ze skąpych słów prezesa, lub głośno widelcem uderzał w talerz, wzywając służbę. Wśród hałasu rozległ się głośny brzęk dzwonka. Wszyscy nagle ucichli i nawrócili głowy w stronę prezydialnego miejsca. Przewodniczący stał oparty z wyprostowanymi dziesięciu palcami o stół, z podniesioną do góry głową. Po chwili milczenia odezwał się głosem dźwięcznym, łagodnym ale stanowczym:

— Koledzy! Witam was serdecznie, witam starych kolegów, dawnych moich druhów, witam przybyszów z obcych stron, którzy zaciągnęli się świeżo pod sztandary naszej *Almae Matris* i zasiadają pośród nas jako bracia, by pracować razem z nami, cieszyć się naszą radością i płakać naszymi łzami, przybyszów, których dziś witam nazwą kolegów. Dorożny obyczaj, uzacniony dawną tradycją, zebrał nas tu dzisiaj w celu wzajemnego zapoznania się i serdecznego otwarcia. A więc poznajmy się wzajemnie i pokochajmy. My powinniśmy kochać się i szanować wzajemnie. Jaka bądź różnica przekonań pośród nas zachodzi, jaka bądź niezgoda w poglądach, szacunek osobisty musi stać jako silna gwarancja zgody na zewnątrz i wewnętrznej solidarności. Żyjmy w zgodzie i przyjaźni. Bez tego stracimy siłę naszą spójną i powagę,

która nas jako całość musi cechować. Święte cele narodowe, obywatelskie wołają nas do miłości i zgody, nie wykluczając jednak dyskusji, byle te nie przeszły w osobiste sfery. Patrzy na nas społeczność, naród liczy na nasze pokolenie, że spełni zadania przekazane przeszłością. Miłość kraju niech nam będzie szczytnym hasłem, niech nas zagrzewa do...

Tu huczne brawo obecnych nie dozwoliło mu skończyć, hałas straszliwy nowicjuszków, zapal zatrząsł salę i znów gwar zapanował powszechny, a prezes usiadł spokojnie i zaczął mieszać wino z gazową wodą, a sąsiad jego dziwił się głośno ustępom przemówienia, gniewając się, że mu nie dano zakończyć.

Po chwili powstał za sąsiednim stołem niski rudy prawnik, z żółtymi bokobrodami i głosem przenikliwym zawołał: „Proszę o głos”. Przewodniczący zadzwonił i rzekł:

— Kolega Kulicki ma głos.

Mówca zatarł ręce, spojrzął po zgromadzeniu i ozwał się, trzępiąc prędko i gestykulując pospiesznie, że w uzupełnieniu przerwane przez oklaski przemówienia prezesa poczuwa się do obowiązku rozwinięcia programu, jakiego młodzież trzymać się powinna. Rozwlekłe okresy przedstawiały jego wyznanie wiary politycznej, cześć dla przeszłości, która, jak mówił, jest nauczycielką współczesnej chwili, głęboka religijność, przywiązanie do kościoła i jego sług, bo religijność jest naszą deską zbawienia pośród wynaradawiających prądów kosmopolityzmu, bo cała nasza tradycja jest arcykatolicka, bo głowa kościoła jest naszym obrońcą przed potentatami, bo wreszcie nasi przewodnicy, ministrowie rodacy, członkowie Sejmu i Rady państwa, cała śmietana narodu jest

konserwatywna, a młodzież wierzyć w nią powinna, jeśli zejść nie chce na krzywe drogi. Przeklął mówca usiłowania zbrojnych powstań i marzenia o niezawisłości, zowiąc je doktrynerstwem i samobójstwem.

— Wiercie mi — zawołał przy końcu — dobrym jestem patriotą, kocham tę naszą ojczyznę i dlatego tym śmieiej zawołałam: precz z mrzonkami, czy one polityczne czy naukowe, one zepsują obyczaje, szpik w kościach swym jadem przepala, obedną jak szmaty zasady moralności i poczciwości, wznieśmy spokojny sztandar oparty o podwaliny kościoła i trzeźwej polityki, zgodnej z interesami państwa. Dixi.

Usiadł, a wszyscy natomiast powstali, gorące oklaski zmieszwały się z gwizdem i psykaniem. Tumult srogi się zaczął. Patetyczne, chłodne słowa mówcy zrobiły wrażenie na nowych słuchaczach, starsi dzielili się na obozy, Karol słuchał z podziwem i z szacunkiem, czuł, że coś mu się nie podoba, ale że nie potrafiłby niskiemu prawnikowi odpowiedzieć, oglądał się, czy kto go nie uprzedzi. Płusa biły mu szybko, twarz pałała rumieńcem, ale język w ustach ścierpł i nie był zdolny słowa wymówić.

W chwilowej ciszy rozległ się jak ryk zażarty głos Daukszy: *Verklungen war jetzt die Legende, die Leute schlugen in die Hände und riefen Bravo ohne Ende*, a potem zagrzmiął donośnie: „Proszę o głos”. Zwolennicy i nieprzyjaciele podali spiesznie życzenie prezesowi, który udzielił przyzwolenia i spoglądali ciekawie po mówcy, niecierpliwi co powie. Karola dreszcz przeszedł na tę dziwną odwagę występowania publicznego z krytyką na uczone słowa poprzednika. Dauksza z ogniem w szarych oczach, z najeżonym wąsem stał jak wulkan przed

wybuchem. Jedną ręką ścisnął oparcie wyginanego krzesła, drugą zapuścił w powietrze i pochyłony naprzód zawołał:

— Koledzy! Słyszeliśmy tu rozwinięty przez kolegę Kulickiego program mający być programem młodzieży. Cnotą naszą ma być zasada opierania się o starszych, zasada: *jurare et verba magistri*. Zrzec się mamy samodzielności i wdrazamy się do tego, że przez całe życie bez niańki i paska już chodzić nie potrafimy. Słyszałem tu wiele o poczciwości. Tą drogą moralności nie zbudujemy, bo moralność zrodzić się musi z woli, moralność to tęgość charakteru, to niezłomność zasad, to ta wielka siła, która niespożyta niczym staje murem do walki przeciw kłamstwu i obłudzie. Uczmy się być silnymi, ukochajmy samodzielność, powiedzmy sobie, że dzieła nasze od nas się zaczynają, błądzmy ale zdobywajmy, zawodźmy się, ale szukajmy dróg sami. Ale samodzielność, siła, to jeszcze nie czyn. Jakież to pole działania przed nami otwarte? Powiadają nam: nauka. Tak, nauka, lecz to hasło samo się jeszcze nie tłumaczy. Jest nauka co wydaje Newtonów, Koperników, Comte'ów, Darwinów, jak i nauka co płodzi takie bękarty, jak Wagner w Fauście. Nie dość być workiem napełnianym wiadomościami, trzeba być człowiekiem. Mówią nam: nic tylko nauka! Niczym się nie paraj tylko nauką! To nieprawda! Kto się raz wynaturzy, już mu nie wracać na ziemię, do celów realnych. Owszem myślmy wciąż o tym, gdzie idziemy, uczmy się nie tylko na książce, lecz i w życiu. Powtarzam, bądźmy ludźmi, miejmy zadania. Nie w imię nieokreślonego koleżeństwa, lecz w imię tych wspólnych zadań i pragnień kochajmy się i trzymajmy za ręce. Różnice przekonań są konieczne. Pole do dyskusji otwarte, bo ta nie

dzieli lecz uczy zgadzać się rozumnie; co się boi dyskusji, to martwe. Wojnę wypowiedzmy niedołęstwu, ospałości, nieprawdzie, dogmatyzmowi, który powagę dla powagi uznaje, rzucając więzy na zdrowy rozum, wsteczniectwu, które się za siebie tylko z lubością umie obzierać. Wiem, że nas nazwą burzycielami, a jednak my tylko budowniczymi być chcemy. Kochajmy przyszłość, a w przeszłości to szanujmy, co dla przyszłości pracowało, w czym tkwi pierwiastek postępu. Kto nas zapyta, jaka jest idea nasza, odpowiemy: prawda i miłość. W imię prawdy walka z zabobonem, błędem i ciemnotą, w imię miłości walka o prawa ludzkie pogwałcone, bądź to jednostek, bądź skrzywdzonych związków społecznych, które stworzyła natura. I tu drogi różne, różne mniemania. Dalecy od niepłodnych doktryn i oderwanych od życia teorii, spójrzmy wkoło siebie, a zobaczymy dość pracy koło siebie, choćby tylko nam przyszło zmienić i osądzić to, co kolega Kulicki zachwalił. Ciemne i biedne masy ludu, oczekują światła, istoty ludzkie nędzą i głupotą zniżone do bydłęcia. Zróbmy ich obywatelami i ludźmi. W imię tej idei wznoszę toast za powodzenie świadomej swych celów nauki, za prawdę, za ludzkie szerokie szczęście i za — przyszłość.

Tu przestał mówić, ręką czoło pogładził, usiadł gwałtownie. Chwilę było cicho, jakby makiem zasiał, potem dopiero rozległ się jak grom okrzyk: — Niech żyje program Daukszy, lud, lud, precz klerykały — wyłaniały się wołania: — proszę o głos, veto. — Koło mówcy skupiła się gromadka, a ożywione ruchy wskazywały, że pod każdą czaszką myśli wrzały, kłębiły się...

Mowy posypały się jak z rękawa. Przemawiał młody człowiek w czarnym ubraniu o wielkich rozpięrzonych włosach, białych rękach, mrugający ciągle oczami i zasłaniający je przed blaskiem lamp gazowych. Słodkie jego słowa cichym szeptem płynęły po sali, wzywając do krwawego boju klasowego, w imię zasady demokratycznej równości; na szali swej wymowy ważył wielkie momenty francuskiej rewolucji i idealizował wypadki komuny paryskiej, doszedł do wniosku, że wielka, bezlitosna walka klas wypłynie ze stosunków gospodarstwa społecznego i przerobi świat cały, obmyty strugami posoki. Opisywał pot robotników, usychających pod brzemieniem mechanicznej pracy, wyrzucał zbytki i wyzyskiwanie. Każde słowo łagodne, wypowiedane było jak formuła naukowa, okrągłe, ściśle, każdy wniosek biegł po szczeblach poprzednich, a całość robiła wrażenie obmyślanego planu. Nikt go nie rozumiał, ale Dauksza patrzył na niego. Z powagą nieraz głową pokiwał, a prezes nawet pochylił się w jego stronę; paniczów z rozdzielonymi włosami w złotych binoklach dreszcz zimny przechodził chwilami. Karol śnił, że jest na czarownej scenie, gdzie ludzie słowem robią cuda: sąsiad jego opowiadał, że to syn milionowego przemysłowca, jego dawny kolega, bardzo zdolny ale skończony wariat, który po całych nocach czyta książki i z ludźmi czasem przez tydzień nie mówi, zresztą pewno umrze na suchoty, a nie wiecie czemu do Xowa przyjeżdżał, bo ojciec już dwa lata temu po zdaniu matury miał go wywieźć do Włoch. Potem przemawiał wysoki, otyły, biały blondyn o atletycznej budowie ciała, zaklinając się honorem, że religia i szacunek dla urodzonych powinny młodzieży świecić na drodze życia, bo tak zawsze

mówią starsi, a tak nawet mówił profesor tutejszej akademii, który bawiać w kąpielach czarował wszystkich swymi konferencjami o polityce, poezji, sztuce i naukach ekonomicznych, co wszystko natychmiast stwierdzał swoim słowem honoru, aż mu wreszcie kazano siadać. Obrażony sięgnął do kieszeni i podał jakiemuś prześladowcy swemu w wytartym surducie białą kartę wizytową, którą ten ze śmiechem pod stół rzucił i piwa się napił.

Ale powoli rozwaga i dysputy zaczęły ustępować, przejadając się, coraz silniej i częściej wołano o piwo na służbę i zaczęto bez powodu wyraźnego sprawiać zgiełk okropny. Kasjerka, różowa szatynka z wydatnym biustem, w białym fartuszkach, przechodząc przez salę, ledwie mogła się opędzić natarczywości nietrzeźwej młodzieży. Pieśni grzmiące obijały się o zadymiony sufit buchając przez okna na ulicę, ścisłano się i całowano, uderzano silnie po plecach i śmiano z tego do rozpuku, obrusy walały się na posadzce, w kałużach piwa i wina. Krzesła przewracały się, a szkło tłukło co chwila. Na stole stał chudy tenor i gwałtem próbował wziąć za wysoką nutę, jakiś Rusin ponury objął za szyję Karola i płakał rzewnie jak bóbr, panicznie wielkie palce pozakładawszy za kamizelki w okolicy pachy, podrygiwali kankana śpiewając galop z Orfeusza w Piekło, obok dwóch kolegów zrzuciwszy surduty tańczyło zawzięcie kołomyjkę, przy śpiewie kilkusetu widzów siedzących na stole i kiwających nogami. Prezes siedział zimny, mieszał wino z sodową wodą i patrzył na blondynka chrapiącego na stole. Karol pijąc mało, jeszcze mniej śpiewając, zachował władzę nad sobą do ostatniej chwili; wrażenia silne odbierając wołał być widzem niż działaczem.

Chciał się odznaczyć, zaimponować wszystkim, nie udało mu się to, więc siedział cicho. Podobał się jednak powszechnie.

Jego łagodne usposobienie, chętnie ustępowanie w opiniach przekonań się dotyczących, łatwość w obcowaniu jednała mu dość życzliwych... Raz kazał dać piwa dla całego kółka swego, powtórzył tę owację dwukrotnie, opowiedział o stosunku z Maryną owczarczanką, o czwórce koni, którymi jeździł na wsi, wyliczywszy ich przymioty, jednemu pożyczył dwóch guldenów, odebrawszy zapewnienie pod słowem, że suma oddaną mu zostanie, jak tylko „stary się szarpnie trochę na pierwszego”. Bawił się zresztą niezłe.

Kiedy jego sąsiedzi byli pijani zupełnie i gwałcili logikę i prawa równowagi, chciał już wracać do domu, kiedy nagle zbliżył się do niego ktoś nieobcy mu. Szedł przeciskając się przez stoły prosto ku niemu. Twarz wymięta, oczy wielkie bezbarwne, szare brwi i zjeżona czupryna sterczących włosów przypominały mu Ignacego Knapika, dawnego kolegę z konwiktu, chłopca biednego, trzymanego z łaski, ale bardzo usłużnego.

Ucieszony wyrwał się ku niemu. — Ignac jak się masz, co ty tu robisz, myślałem żeś się już gdzie na prowincji zakopał po uszy?

— Eh! jak się mam — odparł Ignac — miękko, ząb mię łupie i łupie. Cugi straszliwe, wołałem na kelnera, żeby zamykał, a ten pies ani mię nie posłuchał. — To mówiąc usiadł i pomlaskawszy chwilę językiem, splunął powoli. — Oh! Sakr... — dodał skrzywiwszy się brzydtko i zacisnąwszy blade, bezkrwiste wargi. — Żeś ty tu jest to nic dziwnego, więc się o to nie pytam, ja skłóciwszy się z opieką domową, wybrałem

się wreszcie na prawa. Jechałem czwartą klasą jedząc kwar-
gle i suche bułki. Na szczęście na kolei poznałem jakiegoś
faceta i ten mnie wprost z rzeczami przyciągnął tutaj. Wiesz
co, sprowadzę się do ciebie...

Karol chcąc nie chcąc przystał, a Ignac pluł, kłął z cicha
i zaciskał wargi; rozmowa się rwała. Wreszcie koniak oddzia-
łał mu dobrze na zęby i powstawszy zaproponował Karolowi
powrót do domu, zabrawszy się więc z cicha wysunęli się za
drzwi, a nie uważając na krzyki: łapaj, trzymaj, dawaj go tu,
niech pije! poszli cichymi ulicami do domu. Karol gwizdał
walca. Ignac jęczał, pluł i przekładał tobołki z ręki do ręki.
Bramę otworzył im zaspany stróż w bieliźnie, po omacku wy-
spinali się na schody. Karol otworzył drzwi i doszukawszy się
zapalek zaczął na ścianie rysować eliptyczne łuki, świecące
fosforycznie, aż wreszcie zapłonęła lampa.

Karol ułożył się na łóżku, kanapa czekała na gościa. Przed
zgaszeniem światła, leżąc z papierosami na wznak, rozma-
wiali. Karol opisywał wrażenia miasta, Ignacy pytał go o sto-
sunki pieniężne, o zapisy, o sposób życia.

— Mam już lekcijkę. Na bibie jakiś prawnik dał mi adres
do urzędnika magistratu, lekcja dość miękka: 6 guldenów,
ale i to coś, jest o co zębem zawadzić; a tobie tego nie trzeba,
tatuś pocziwina nie pożałuje synkowi centów, ej! nie ma to
jak folwarki. Mój stary cały dzień gardło zrywa na gumnie,
wieczór obucha się pierogów i śpi jak zabity, ani nie pomyśli,
skąd by tu synowi co przysłać, bo znikąd wziąć nie może;
niech się tam Ignac sam trapi... to się też Ignac, trapi... i wali
się przez życie... A cóż za pies nie ząb, boli i boli, nic, tylko
mię zawiąć musiało...

— A cóż, masz co pieniędzy przy duszy?

— Ta mam niby parę papierków. W Przemysłu spotkałam się z baronikiem Suskim, jedzie do Wiednia na prawa, pieniędzy jak lodu, podbasowałam mu trochę i pożyczył mi 15 guldenów... na początek dobre i to, pięć pożyczyłem jednemu medykowi, odda mi pojutrze, a ma mi dodać skrypta prawa niemieckiego po nieboszczyku bracie. A ty na medycynę?

— Tak, wiesz, że to mój stary zamiar, tak się jakoś złożyło. — Tu ucichł, bo pod oknem alkowy, które wychodziło na ulicę, słychać było gwar, potem jakieś śpiewy: „Maciek stój, nie cuduj, nie rób że mi tej krzywdy“. — Ej! dodał, posłuchawszy, to pewno koleżkowie z komersu wracają. Wiesz, niezłe tutaj życie, byle porobić stosunki, wejść w towarzystwa, można się anielsko bawić, trochę tu dużo polityków, uczonych, ale i wesołych ludzi nie brak... no, ale śpijmy, bo mi się we łbie zaczyna kręcić od gwaru i picia, dobranoc — i zdmuchnął lampę.

— Dobranoc — odparł Ignacy i splunął powoli na ścianę. Potem przewracał się i jęczał, mruczał, aż i jego sen ogarnął. Karol usypiając myślał o zabawie dzisiejszej, o wykładach przyszłych. Podniecony napojem obiecywał sobie, że musi zająć poważne stanowisko w kołach młodzieży, egzaltował wykłady przyszłe i ślubował pracować dużo, systematycznie, żeby sobie wyrobić szacunek i dobrą opinię... Na Ignaca nie gniewał się za najście bez ceremonii, wołał jego niż kogo innego, z nim był swobodny, otwarty. Ignac się nie naprzykrzył, nie spierał, pomyślał też sobie, że ma wygodnego lokatora... Monotonny świst i chrapanie śpiącego uspiło go powoli. Ock-

nąwszy się koło 8mej godziny i przetarłszy oczy, ujrzał Karol Ignaca siedzącego na kanapie, zajętego operacją koło stopy.

— Ignacy, dzień dobry, cóż ty robisz?

— Wie gehts? — odparł zapytany — ta widzisz, nagniotki wycinam; coś się na deszcz zanosi, bo mię pies zaczyna rwać brzydko; powiadam ci zrobił mi się na małym palcu, przyczaił się jakoś, bo mię z początku nic nie bolał, a ja kroplami amerykańskiemu smarowałem tylko tego starego na średnim palcu; dopiero kiedyś zaczął mię piec.

— A jakże zęby?

— Eh! ząb już ustał, tylko z tym nagniotkiem miękko trochę.

— Może buty masz ciasne?

— Gdzie tam, można by z trzeciego piętra skakać w nie, ale to tak samo z siebie, familijne. Pamiętam ojciec wiecznie kawęczy na zęby, matka, choć jej prawie nie znałem, stękała na nagniotki. — Karol zebrał się szybko, nastawił maszynkę z herbata, stróż przyniósł bułek, oczyścił obuwie, dziwiąc się rozmiarom trzewików Ignaca.

— No servus! — rzekł Karol — ja idę na wykłady.

— A ja pójdę się zapisać — rzekł Ignac.

— Kiedyż będziesz w domu?

— Ta chyba wieczór.

— Dobrze! klucz zostawię u stróża.

Karol poszedł na wykłady. Jeden opuścił, bo się spóźnił, a nie śmiał wchodzić do sali, żeby nie przerywać lekcji.

Karol przekonał się, że jedynym wyjątkiem w spóźnieniu się nie był, maruderzy nadciągali. Dwóch widocznie prosto z pokomersowej przechadzki, z podpuchłymi oczami, z nie-

uczesanym włosom. Niedługo wykład się skończył i młodzież hurmem przeszła do drugiej sali. Ogromne okna wpuszczały światło słoneczne przez zapuszczone story w wielkie zielone pasy, freski pokrywały sufit wysoki, ławki ustawione amfiteatralnie, na dole w pośrodku katedra, obok wielka czarna tablica z pudełkiem pełnym różnokolorowych kred i ręcznikiem na gwoździu.

Karol usiadł w przedostatniej ławce i gryzł główkę od laski, notatki rozłożył przed sobą, opatrzywszy je starannym napisem dnia, miesiąca i roku. Sąsiedzi wyciągli go na pogadankę: — Kolega tutejszy? Kolega dawno w Xowie? Kolega ma już mieszkanie? ja właśnie szukam Schlafkamrada! — Skromne miny, ubogie ubranie, nie zachęcało go do rychłego zaznajamiania się; wielu było śmiesznych, wszyscy prawie nosili cechy ludzi niezamożnych, pragnących chleba i nauki, nie zabaw. Gdzeniegdzie tylko błyszcząły złote binokle, rozczesane gładko nad czołem włosy, lub bujny krawat, reszta była aż nazbyt skromna i niepozorna. Postanowił być grzeczny, ale z daleka i trzymał się tego programu. Gwar ustał, uczniowie zajęli ławki, wszedł profesor stary, z długą siwą brodą, z czołem wysadzonym naprzód przez lata całe umysłowej pracy, patrzący łagodnym okiem niebieskim spod groźnych strzępiastych brwi.

Było cicho jak makiem zasiał. Profesor uprzejmym ruchem poprosił, aby wszyscy siadali i zaczął się wykład. Pierwsze słowa wypowiedziane były na podstawie doniosłości i wielkości nauki, której nowi adepci mają słuchać, potem zaczęła się sama rzecz. Profesor mówił cicho, powoli, pióra skrzypiały, czasem kaszel suchy bladego ucznia siedzącego

na kraju w pierwszej ławce przerywał monotonne słowa, zegar miejski wybijał kwadrans. Wszedł służący i stanął przy drzwiach, profesor popatrzał na niego, spojrzął na złoty zegarek, skłonił się poważnie i wyszedł powoli z sali. Zaroiło się jak w ulu. Karol siedział dziwiąc się, czemu dzwonek nie oznajmił końca lekcji, czemu nie trzepano łacińskiej modlitwy, — były to wspomnienia z konwiktu. Nastąpił wykład trzeci i czwarty, przechodzono z sali do sali, zajmowano miejsca, hałasowano, wchodził profesor, następowała cisza, skrzypienia piór, wykład, potem znów gwar i lekcja się kończyła.

Po wykładach poszedł na obiad, z obiadu na wykłady, notując pilnie i słuchając. Po popołudniowych wykładach, zmęczony poszedł z kilku kolegami, którzy zwrócili na siebie jego uwagę przez powierzchowność ujmującą, na przechadzkę do publicznego ogrodu. Usiadłszy na ławce pod wielką lipą, z której wiatr strącał liście na ścieżkę żwirem wysypaną, rozglądali się po przechodzących. Rozmawiano o wykładach, o profesorach, o kolegach. Antek Rucki rachował przechodzących księży.

— Jak Boga Kocham — wołał co chwila — piętnasty — a potem schowawszy dłonie między kolana kiwał się szybko wołając — szesnasty, siedemnasty! a to się wyroiło.

— Antek! zwariowałeś czy co? dajże spokój, bo ludzie się patrzą na ciebie! — upominał go Jaś Z., który siedział poważnie z nogą założoną na nogę i patrzył przez binokle przed siebie.

Ludzi dużo przechodziło aleją, najwięcej kobiet i młodzięży; rozmowa zesłała na przechodniów.

— Eh! ta blondynka, co za oko — zawołał któryś.

— Ph! — zauważył Jaś — maluje się i to bedeutend!

— Co kolega gada! maluje się, chyba kolega nie ma oczów? cera świeża jak brzoskwinia, a ten mówi, że się maluje.

— No! — odparł Z. — znam ja się na tym i to bedeutend; ta, w liliowej sukni z białą parasolką, to co innego, bedeutend — dodał i nogę założył na nogę.

— Tylko ten wymokły facet coś się koło niej bardzo kręci — zauważono.

— O święta niewinności prowincji! — mówił Jaś Z. — ta to u nas chleb codzienny, cóż ma robić? mąż stary siedzi w sądzie i mruczy przez nos, ma siedzieć zamknięta, lanifica, domiseda...

— No nie! — tłumaczył się zawstydzony przybysz z prowincji — i u nas w S... tak się trafia, mógłbym coś opowiedzieć o jednej kapitanowej, ale po co... — tu obliznął się znacząco. Karol spojrzał zazdrośnie na szczęśliwca. Jaś już dał mu pokój. Tymczasem wietrzyk niósł świeże wiejskie powietrze zza nie-dalekiej rogatki, drzewa szumiały poważnie, a tłumy przechadzały się powoli. Jakaś rozkoszna atmosfera owionęła Karola, patrzył na grupy sunące obok niego, zaglądał pod szerokie kobiece kapelusze, patrzył na płytkie trzewiczki z wąskimi końcami na lakierowanych obcasach, na rączki opięte duńskimi rękawiczkami, łowił uchem szepty i czarowne śmiechy. Jaś Z. objaśniał nieświadomym historię wszystkich blondynek, brunetek i szatynek, nie szanując tajemnic domowych; dziwne czasem rzeczy wychodziły z ust znawcy, osobiste uwagi pełne doświadczenia, które gwałtem wabiło do osobistego zakosztowania.

Migały przed nimi panienki w różowych pończoszkach, przebiegając jak rybki w wodzie, ciągnęły gromady kolegów, zaczął się zmrok, służba zapalała latarnie, publiczności ubywało, przechodziły tylko pary wiodące się pod ramię, dążące w boczne aleje ogrodu, Karol śledził je okiem i zatapiał się w domysły...

Ktoś zaproponował pójście na kolację do przedmiejskiego teatrzyku. Karol niechętnie dał się wyrwać z marzeń, ale namówił się i poszedł. — Kiedy weszli na salę, było już pełno. Przedstawienie odbywało się. Na estradzie jasno oświetlonej, wśród papierowych rana dekoracji, tańczyła wysmukła blondyna, o lśniącej, białej cerze, z kędziorami bogatych włosów, w krótkiej jedwabnej sukience, która dozwalała widzieć aż powyżej kolan zgrabne nogi w błękitnych trykotach; w przestankach zwracała się naprzód figlarnie i śpiewała refrain piosenki jakiejś: „Nur auf a paar Minuten, nur auf a paar Minuten”, dzwoniąc trelami w nieskończoność. Wysoki pianista z długimi włosami przylepionymi do skroni grał na fortepianie. Pod estradą za okrągłymi stolikami siedzieli oficerowie, śmiejąc się głośno i paląc długie cygara, nogi mieli na stół założone, a butelki czarne, pękate trzęsły się na stole, ile razy uderzeniami pięści towarzyszyli taktowi muzyki. Pod ścianą siedział samotnie sędziwy mężczyzna, starannie ogolony, zaczesany na czoło, w czarnej chustce na szyi i przeżuwając pastylki, patrzył nieruchomie na ruchy tancerki. Ręce, którymi ścisnął kryształowy kieliszek uderzały długimi paznokciami nerwowo o szkło, Obok trzech otyłych, panów, z ogorzałymi twarzami, z podkreconym wąsem śmiało się głośno, klaszcząc w mięsiste, silne dłonie. „Jakem obywa-

tel ziemi sieradzkiej — wołał jeden co chwila — tak warta grzechu bestyjka“. — Cicho tam — nawoływała do porządku młodzież z dalszych rzędów.

Karol poznał wielu kolegów, zarumienił się nieco, że go tu spotykają, ale przywitano go serdecznie i razem z towarzyszymi przyjęto do wspólnego stołu. Scena ukończyła się. Tancerka po kilkakroć wywoływana zjawiała się na sali z talerzem w ręku. Nagie, olśniewające ramiona i wydatne, odchyłone piersi, zakryte miała futrzanym kaftanem, przesuwał się między stołami, trzepała nóżkami śmiejąc się serdecznie. Wszędzie rzucano jej drobną monetę. Karol cały oczami w niej się zatopił. Kiedy stanęła przed ich stołem, przyjęto ją żartami i uwielbieniem.

— Meine Freulein — zawołał nietęgi w niemczyźnie Rucki — Sie sind schön wie ein Engel — roześmiała się i podstawiła mu talerzyk. Młody artysta z Wiednia w szafirowym krawacie mrugnął do niej znacząco.

— Fräulein Emma! Errinnern Sie sich an Wien — pogroziła mu palcem na nosku. Zbliżyła się wreszcie do Karola. Spojrzał na nią gorąco, wodził okiem po smukłym karku, spojrzął w fałdy, rozpiętego przez niewagę kaftanika i rzucił całego guldena na talerz. Dygnęła mu za to ślicznie i wyszeptała: „Dank schön! mein schöner Herr“. Karol zarumienił się jak panienka. Emma poszła dalej.

— Słowo daję — rzekł artysta z Wiednia — słowo daję, nobel dziewczyna, co za ciało, cudowny z niej model, prosiłem jej o to w Wiedniu, no! ale to do rzeczy nie należy.

— Co też pan mówi, ona by miała być modelką pozującą, a któż by śmiał z czymś podobnym występować — rzekł gorąco Karol.

— Ha! ha! ha! to kolega widzę platonicznie się tu bawi! Może bić się będziemy o Emkę? Słowo honoru daję, Makart by się uśmieł serdecznie, no! no! nie trzeba się zapalać, wystarczy ona dla wszystkich.

Rucki ujął się za Karolem.

— Ale bo ona taka śliczna, niech mię diabli wezmą, jeżeli widział kiedy takie чудо. Co to nasze panny, to gęsi wobec niej, jak tańczy, śpiewa, co za uprzejmość, jakie wychowanie...

— Dobrze, że wam się podoba — mówił malarz — ale dobrze dla niej.

Jaś Z. dodał trafnie: — i nawet bedeutend, znamy się na tym, może chcecie ją zaprosić do stołu.

Karol z zapalem chwycił się tej myśli. Za chwilę kiedy wracała, niosąc wysoko nad głową pełny talerz, schwycił ją artysta za sukienkę i prosił siadać, wykreśliła się na obcasie zręcznie, szepnęła, że zaraz przyjdzie i pobiegła za kulisy. Na scenę wystąpiło dwóch Żydów w chałatach, młodzież poznała od razu dwie ulubione peszteńskie śpiewaczki, goniły się po scenie, tańcząc pociesznie i całując się ująwszy rękami za uszy; publiczność chórem śpiewała: waj, waj, mir, a Karol niecierpliwie czekał przybycia Emmy. Kiedy siadła pośród nich, skinął na kelnera i kazał podać szampana, śpiewaczka przysunęła się do niego i dziwnie poufale pochyliła się przez krzesło, ośmielony schwycił ją za rękę, wyrwała mu ją, śpiewając filuternie: „Was wird Pappa sag'n, was wird Mamma

sag'n, Hans du Bösewicht, Geh fort, das schickt sich nicht". Karolowi zakręciło się w głowie, porwał za kieliszek szumiącego wina, trącił się z Emma; czuł, że go opanowała całego, że gotów lecieć za nią daleko, ujął ją znów za rękę i głąskał bez końca. Pytała go, co robi w Xowie, skąd przybywa, czym się zajmuje, wypowiedział jej się szczerze ze wszystkiego, wiele mu ojciec przysyła, a w końcu dodał, że jest zachwycająca, Emma zmarszczyła brwi, zrobiła śliczny grymas, powiedziała mu, że jest „ein grosser Kerl” i kazała przyjść jutro. Zerwała się z krzeselka i pobiegła za kulisy. Karol wiódł za nią błędnie oczyma. Za chwilę zjawiała się na scenie w granatowych krótkich spodniach i śpiewając żaliła się na studentów, którzy są wielcy łobuzi i nic a nic nie warci, przy tym mrugała od czasu do czasu na Karola.

— No jakże koledze idzie z Emma? radzę być ostrożnym, bo to cięta dziewczyna — ostrzegął malarz — ale Karol kazał dawać wino butelka po butelce i wkrótce stracił przytomność, jak przez sen słyszał zakłęcia hr. Mundzia, że zadaniem arystokracji jest popierać sztukę, wesołe anegdotki malarza, który dawał słowo honoru, że Makart uściskał go za model nagiej kobiety, opowiadań Jasia o jednej mężatce, której mąż był przeszłego roku sam w Karlsbadzie.

Poczuł jak go wzięto pod ramię, jak płacił rachunek, a malarz wołał: nic tylko koniak. Koniak jedyny na rausza. Makart po każdej bibie rznie trzy koniaki. Hej Adolf 10 koniaków, a żywo.

Na ulicy owinął go świeży powiew nocny. Trzymał się na nogach, ale nie mógł rozumować. Emma, Makart, staruszek z pastylkami, kręcili mu się w głowie szalonymi kręgami.

Objął słup od latarni i ustami przytulił się do niego, kole-dzy ze śmiechem go oderwali. Zaprowadzono go do domu. Stróż wywindował go na górę, a zaspany Ignac otworzył drzwi. Ujrzawszy go w takim stanie, nic nie mówiąc zdjął z niego odzienie, położył do łóżka, nakrył kołdrą i kazał spać.

— Cóż Emma kazała powiedzieć — pytał otwarłszy szeroko oczy — powiedz jej, powiedz jej...

— Że Karol jest osioł i że musi spać — przerwał mu Ignac.

— Tak! tak, że Karol jest... jest... jeeest... — Runął na łóżko i zaczął chrapać ciężko.

Ignac popatrzał na niego, zajrzał do jego pularesu, pokiwał głową, potem z niebieskiej flaszeczki pędzlikiem pomazał sobie mały palec u nogi, obwiązał go szmatką i tasiemką, położył się na kanapę i silnym dmuchnięciem zgasił stojącą na stole lampę.

Rano Karol obudził się późno... Wspomnienia dnia wczorajszego przytłaczały go; przechodził je myślą i zastanawiał się nad nimi. Czuł w sobie jakąś winę i szukał jej w głowie zatapiając palce w porozrzucane włosy. Ignac siedział przy stoliku ubrany zupełnie, trzymając nogi w cebrzyku z dymiącą się wodą, po podłodze płynęła struga świeżo rozlana. Karol błędnym okiem poglądał na wszystko, a nie mógł nic mówić; czuł jakiś ucisk w gardle i niesmak w ustach.

Ignac zagadnął: — Gdzieżeś się to objął po nocy?

— Eh! nigdzie — odparł głosem zachrypłym i zaczął leniwie wstawać.

— Wiemy coś — bąknął Ignac — Emma kazała ci się kłaniać i powiedzieć, żeś głupi.

Karol schwytyany na gorącym uczynku, drgnął nagle i przestał się obcierać rękami kosmatym.

— Widzisz bracie, ty się nie umiesz bawić; zawsze to szumienie szlacheckie, natracisz do diabła pieniędzy, spijesz się jak, za pozwoleniem, oswojony dzik, zapalisz się i nic nie użyjesz. Trochę flegmy bracie, radzę ci.

Karol skruszony nieco, nie chcąc jednak otwarcie się przyznawać, opowiedział mu jednak cały dzień swój wczorajszy, a przede wszystkim o Emmie.

— No, no, pójdzie się tam wieczorkiem i popatrzy na tę Emmę. I owszem baw się, byleś się tylko głupio nie zaszłapał, bo by mi cię żal było.

Ignac poszedł na wykłady. Karol krokiem się do południa nie ruszył.

Wieczorem poszli z Ignacem do ogródka. Emkę powitał jak starą znajomą, była z nim bardzo swobodna, ale drażniła go ciągle oficerem od ułanów, wychwalając jego jasne wąsiki i zareczając, że jest bardzo „nobel”. Ignac nie mówił nic do niej, pił milczkiem piwo, nie ruszając się z miejsca, chyba wtedy, gdy śpiewaczka jaka z talerzem obchodziła stoliki, a każdy rzucał drobną monetę. Wówczas brał kapelusz i przeproszał obecnych, że musi wyjść „na momencik”, który trwał tak długo, póki nie odbyła się kwesta całkowicie.

Zresztą ożywił się niedługo i stał się popularnym. Swoim prostaczym sposobem mówienia robił uwagi pełne spostrzegawczego zmysłu, które przyjmowano głośnymi wybuchami śmiechu. On pierwszy zauważył, że starszek żujący pastylki musi mieć złe zawiasy w nogach, bo ilekroć powstał przeciąg, gdy ktoś drzwi otworzył, wówczas sykał i uderzał się lewą

ręką po udzie, że stary major z krótko ostrzyżonymi włosami i czerwoną twarzą musi mieć żonę sekutnicę, bo ciągle patrzy na zegarek. Wśród tych uwag rozszerzał blade wargi i widać mu było szerniałe popsute zęby. Opowiadał anegdotki o ojcowskich kłopotach jednego proboszcza i o niemiłej aferze pewnego prowincjała podczas wizyty w żeńskim klasztorze. Młody malarz mówił głośno, że świetny z niego numer i że ma tak charakterystyczne w swym realizmie płaszczyzny, że Makart by go z pocałowaniem ręki wziął na modela do jakiego głównego grzechu. Karol uwolniony przez usłużnego koleżkę od natrętnych spojrzeń towarzyszków, przytulił się całym krzesłem do Emmy i bawił się jej rozpuszczonymi włosami. Przy pożegnaniu dostał pod stołem gorący uścisk rączki i modrą wstążkę wyrwaną z pęka kokard umieszczonych na lewej stronie stanika Emmy.

Część druga

Nowe życie zaczęło się dla Karola. Na wykłady przestał uczęszczać, czasami pokazał się, siadał w ławce nic mówiąc do nikogo i słuchał lekcji z miną swobodną, kręcąc łańcuszek zawieszony przez całą szerokość brzucha. Potem wśród gwaru wychodził nie żegnając nikogo. Koledzy nie znali go prawie.

Widywano go wieczorami w ogródkowym teatrze z zimnym uśmiechem na twarzy obok Emmy na sali, lub podczas dnia, kiedy wychodziła do niego z nieuczesanym włosom, prosto z łóżka, ubrana pod szyję w czarną pelerynę spod której wyciągała nagie ramię na przywitanie. Koledzy spiesząc na wykłady ze skryptami pod pachą spotykali go, jak w jesiennym, żółtawym surducie, huśtając się w chodzie na lakierowanych trzewikach, przechadzał się po głównym placu w towarzystwie nieznanym im ludzi. W święta widywano go przy wyjściu z katedralnego kościoła. Wysoką swą postacią przesuwiał się przez różnobarwny tłum kobiet, panienek i pobożnej publiczności, niosąc lśniący kapelusz wysoko nad gładko uczesanymi ciemnymi włosami. Zapaleńcy sekcyjnej sali z pogardą mówili o hipokrycie, bo nie podejrzewali go o pobożność.

Karol bawił się, nurzał się w tych tajemnych rozkoszach, którymi jak klątwą straszył go Dauksza. Gdzie mu tam Dauksza był w głowie. Spotykał go jednak czasami. Dauksza witał go satyrycznym uśmiechem: — Cóż! młodzian — zawsze mówił do niego młodzian — pilnuje ideałów narodowych,

tradycji rodzinnej? nie ma jak tradycja — i szedł dalej machając laską. Karol nie lubił go, nie lubił też jego stronników.

Za to z Jasiem Z. lub którym bądź z „porządniejszych” lubił przestawać. Pod ich wpływem dojrzewał, przeradzał się. Dawne ubiory przywiezione z domu sprzedał przy końcu miesiąca Ignacowi, a zaopatrzył się w nową garderobę u krawca, którego magazyn zamknięty był ogromną szybą kryształową ze złotym napisem, a ściany ozdobione były wysokimi lustrami. Z serdecznymi kolegami chodził po mieście, przeglądając się w szybach sklepów i kłaniając się dla towarzystwa znajomym swych znajomych. Rozmawiali zawsze o wczorajszym wieczorze, o zdarzeniach miejskich.

— Wiecie! — mówił nieraz Jaś Z. — Olicka, ta wysoka blondyna z dużymi oczami, uciekła wczoraj z Milanem do Algieru, zabrawszy mężowi całą gotówkę.

— Dziwna historia, przyznam się państwu że głupia! Kobieta z temperamentem — zrobił ktoś uwagę — nie kompromituje się w ten sposób, może urządzać sobie partyjki, ale ostrożnie, po cichu.

— Co? Milanem? — wołał Karol — z tym aktorem, co zawsze chodził do ogrodu z dużym *Neufundländerem* na obroży? Ależ to człowiek brzydki, i taka kobieta miała ochotę z nim uciekać.

— Jak to brzydki? — odparł Jaś Z. — widziałeś go w Otellu, jakie ma śliczne ramiona, jak zbudowane piersi, przy tym noga u niego rasowa, bedeutend...

— No dobrze! ale czyż noga, piersi, plecy to wszystko? czy to wystarczy?

— Ach! naiwny sobie jeszcze jesteś — to przecież grunt, podstawa. Kobieta koło trzydziestki nie patrzy na melancholijne oczy, ani sentymentalne sapanie; tęgie bary, to rzecz, reszta to przystawki.

Inny nie dziwił się Olickiej, ale Milanowi.

— Przecież go Ludwika, pierwsza salonowa kochanka naszej sceny grubo protegowała, powinna mu była wystarczyć.

Jaś miał i tu odpowiedź.

— Trzeba ci wiedzieć signor! że dostał od niej odprawę, bała się o swoją figurę i ogranicza się na chudym, ale bezpiecznym tenorze.

— Karol! a twoja Emma nie wraca jeszcze do swego dawnego basa Istwana ?

— Nie bójcie się o Emmę, ona Karola nie popuści, póki listonosz dwa razy na miesiąc będzie mu dawał przekazy na pieniądze „przez nadawcę z poczty przyjmującej P. wysłane na imię Karola Rewskiego, słuchacza medycyny”.

Całe to towarzystwo nie było jednak niebezpieczne dla ogółu. Brakło im brawury i fantazji. Kiedy w nocy wracali z wesoło przepędzonego wieczoru, nie rozbili ani jednej szyby, nie zmienili ani jednego szyldu, policjanci spotykani w pojedynkę wolni byli od ich zaczepek i żartów, żaden z nich nie uwiódł ani jednej szwaczki. Ograniczali się na kupnej miłości, nurzając się w niej po uszy, a w wąskie uliczki z niskimi domkami chodzili bezowocnie, żadnemu nie udało się przebrnąć dozwolonej granicy w zaglądaniu przez wyprane firanki na pracownice haftujące przy zielonej umbrelce lub poruszające korbą ręcznej maszyny do szycia.

Ich tężyzna ograniczała się na poufałym wołaniu w cukierniach na służbę po imieniu i na noszeniu jaskrawych krawatów. Karol choć najmniej z nich cyniczny, najmniej doświadczony, posiadał umysł najwięcej przedsiębiorczy. Emmy wprost zazdroszczono mu, starając się zmyślonymi powieściami we wzajemnej opinii utrzymywać swą sławę zdobywców serc. Z zapałem za to grywano w bilard. Karol z początku nie miał do tej gry zamiłowania. Dziwił się patrząc, jak towarzysze jego po całych godzinach pochylali się nad zielonym sukmem i uderzali jedną kulą o dwie drugie, z czasem jednak obznajomił się z interesem tej gry, a potem dawał się namówić „ale tylko na jedną trzydziestkę”. W miesiąc grał bardzo poprawnie, nabrał nawet pewnego rozgłosu w sferach swej kawiarni. „Z zasady” nie grywał na bilardach z kieszeniami, mówiąc, „że piramidka to zabawka, a tylko karambol to sztuka prawdziwa”. Zasady tej ściśle przestrzegał, nikt go przy piramidce nie zastał. Wygrał nawet z tego powodu zakład z młodym baronem T., o którym to zakładzie mówiono jeszcze w rok potem na zabawie tańczącej w kąpielowym miejscu, a panie nazwały jego stałość prawdziwie cechującą silny charakter i żałowały, że poznać nie mogą „młodego człowieka”. Z charakteru silnego ceniono go; pod tym względem miał ustaloną opinię. Założył się, że przez miesiąc nie zdejmie kapelusza prawą ręką i wygrał zakład, kiedy indziej wypijał w restauracji przez dwa tygodnie przed obiadem 7 szklanek wody, nie opuściwszy ani jednego dnia. Zakończenie ślubu obchodzono w sposób owacyjny.

W życie to wszedł Karol bez walki, bez nagłych przejść. Oburzał się nieraz sam przed sobą na myśl, że on mógłby

zejść tak nisko jak ci ludzie, którzy przychodzili do teatrzyku około północy z nieogolonymi twarzami, z postawionymi kołnierzami u surdutów i ochrypłym głosem wołali o piwo, lub wychodząc wymieniali zakłady, do których spieszą na dalszą zabawę. Woń wódki i tytoniowego dymu biła od nich na parę kroków, a dłonie mieli blade i jakby w wodzie pomaczane. Żadne nagłe przejście, żadne przesilenie uczuć nie wprowadziło go na drogę, po której kroczył. Szedł na nią powoli, krok za krokiem, oglądając się za siebie. Wieczorami liczył wydatki i budżet na jutro układał. Nieraz go przekroczył, mimo to nie zaniebował tych czynności rachunkowych. Zresztą nie miał sobie nic do zarzucenia. Wszyscy, których uważał za godnych naśladowania, robili tak samo, nic dziwnego, że i on tak robi.

Mimo to wszystko Karol nudził się bardzo. Nieraz kiedy we wczesny, listopadowy wieczór siedział sam w domu a Ignac biegał za lekcjami lub bawił się na własną rękę, wyciągał się jak długi na kanapie i ziewał szeroko. Wówczas szedł do okna i patrzył na ogródek pokryty żółtą trawą, na opadające z drzew liście, którymi wiatr wstrząsał i targał. Niebo było czerwone, a kawki z krzykiem przelatowały przez mały kawałek widzialnego horyzontu. Leniwie wodził okiem po ścieżkach i po zielonych sztachetach parkanu.

Porównywał swoje życie obecne z dawniejszym... Życie rodzinne, zbiorowe w konwiktach miało swój cel wyraźny, oznaczone granice: były walki śniegiem, były drobne oszukiwania przełożonych, było, marzenie o dojrzałości: nie był nigdy osamotniony, tam gdzie on szedł, szli wszyscy razem z jedną myślą. Teraz roztaczało się przed nim daleko w prze-

strzeń życie. Miał robić tak, aby to życie najprzyjemniej mu upłynęło, aby jak najwięcej doznał wrażeń. Bo nic obecnie nie kępuje mu swobody ruchów: jeżeli źle mu pójdzie, to tylko jego wina. Czuł samotność swej ścieżki. Nikt nie szedł za nim deptać mu po piętach, nikt nie kroczył przodem. Obecne towarzystwo uważał tylko jako środek zabawy, nie cenił go. Był pewien, że żaden by mu grosza w potrzebie nie dał, ani by go przed oszczerstwem nie bronił, równie jak on dla nich nic by nie uczynił. Takie towarzystwo to nic! rozleci się za lada powiewem niedoli i patrzył, gdzie dojdzie tą bezcelowością. Rozkładał przyszłość na tysiące obrazów: koledzy przy lampie słabo płonącej uczą się do rygorozów, we frakach odbierają wręczone im dyplomy lekarskie i rozjeżdżają się po świecie. Ten trzęsącym wózkiem jedzie na kuferku na ruską parochię i stary ojciec wita go na progu. Inny w stołecznym mieście, w czerwonym, o złoconych ścianach gabinecie, karty rozrzuca z bladą twarzą i popija łakomie zimny poncz — inny znowu w małym domku przydrożnym siedzi z żoną w pokoiku nad kołyską pustą i płacze, łzy grube spadają mu po obwisłych węsach, bierze jasną główkę żony w obie ręce i cicho całuje. Każdy żyje osobno, nic wspólna zerwana, perły potoczyły się, każda w inną stronę, pusto, zimno, sam jest.

Za sztachet dolatuje go dźwięk fortepianu. Ktoś gra mazurka Chopinowskiego, melodia tęskna rwie się i znowu zaczyna, wiatr szumi po gałęziach, mrok zapada powoli.

Przypomniał sobie rozpaczliwą scenę w karczmie: dziewczyna uwiedziona nóż wbija w serce panu młodemu, uwodzicielowi. Skąd on zna tę scenę? A to! słowa Ujejskiego do mazurków Chopina. Kto to gra, czy panienka w brązowej

sukiencie, z warkoczem związanym na wyprostowanych plecach, pensjonarka, która jada na podwieczorek chleb z powidłami i przepada za sproszkowaną kredą, czy kobieta pełna brzemiennych wspomnień o gorących uściskach, o przemarzonych we dwoje majowych nocach? czy... i gubił się w domysłach.

Więc to życie ludzkie, to nie kręcenie się świata całego koło osi, którą on sam, on Karol stanowi? Przechodził pojedyncze sceny. Ludzie pijący piwo i grający w domino, robotnicy fabryczni z zapadłą piersią, z rękami granatowego koloru, jakich widział dawno w jednej farbiarni, mieszczanie siedzący wśród rodzin rumianych około ciepłego kominka, klakierzy wielkich teatrów, zakonnicy biczujący obnażone, chude ramiona, kobiety półświatka pijące absynt w rozkosznych buduarach... wszystko to snuło się przed nim.

Przeglądał nierozwikłaną tragedię społeczną, nie mógł się łączności w tych wizjach dopatrzeć. I on jest tylko jednym z tych epizodów, nikt o nim nie myśli, Emma, koledzy, znajomi, nic z nim wspólnego nie mają, to wszystko nic, nic! On tu jest, a cały świat bez niego. Pójdzie gdzie indziej, brak go tu, a komoda będzie stała tak samo, wiatr będzie trząskał drzwiami i oknem, woda będzie kapać z przechylonej miednicy, tylko jego tu nie będzie... Uczuł czczość życia, małość jednostki... i siedział tak do nocy. Ignac zastawał go nad oknem pochylonego.

Ale takie chwile rzadko go nachodziły, zwykle nie zastanawiał się i szedł dalej nie myśląc nad niczym.

Były jednak chwile, kiedy ciążyło mu życie kawiarniane, wygody, za które płacił, które każdy mógł mieć za pieniądze.

„W tym żadna sztuka — myślał sobie nieraz — to pospolite, każdemu dostępne“.

Czasami miewał napady pilności: przez cały tydzień chodził na wszystkie lekcje, notował wykłady w zielonym zeszyte, wieczorami przepisywał je na czysto. Lampa syczała na środku stołu, on siedział naprzeciwko Ignaca i obaj pisali, kaligrafował wiersz po wierszu, rysował inicjały rozdziałów i do późna w noc czytał dzieła naukowe. Wstawał potem rano, opędział się senności, ubierał się żwawo i spieszył znów na lekcje. Popołudnia spędzał w sali sekcyjnej. Z dziwną pilnością siedział całymi godzinami ubrany w długi płócienny szlafrok ściśnięty gumą koło rąk, zapięty pod szyję, nad trupem zepsutym od tygodnia. Koledzy uważali go z początku za obcego, nie dawali mu rad żadnych, ani się do niego nie zbliżali. Czuł się nieco samotnym, kiedy o zmroku zapalał służący gaz w szklanych lampach, odkręciwszy kurki, trzymając zapałkę wysoko nad kominkiem. Płomienie z hukiem głuchym zapalały się jeden po drugim. Po marmurowej posadzce wleczono stoły pod lampy, a nogi skrzypiały przeraźliwie sunąc się po gładkiej podstawie.

Zaczynały się śpiewy zbiorowe, kawałki z oper rozlegały się błakając pod wysokim sufitem, znad desek, na których leżały trupy, buchała woń straszliwa i pieśni bachanckie. Przez okno dmuchał świeży wiatr, orzeźwiająca usypiająca, duszną atmosferę sali. Karol odpoczywając nie zbliżał się do żadnego z kolegów. Byli dlań obojętni. Na boku wyśmiewano się z jego robót.

Z czasem potrafił jednak sobie ująć tych ludzi dobrodusznych, oddanych nauce, nieznudzonych w pilności, których roz-

mowy wzajemne ograniczały się na wypytywaniu się z anatomii lub chemii, na opowiadaniu zdarzeń ze swego życia, których jedyną słabością była niechęć do wszelkiej filozofii i nienawiść dla księży.

Nieraz stawał przy otwartym szeroko oknie zwróconym ku miastu. Przez gęste drzewa parku widział migające latarnie pędzących powozów, snujące się cienie ludzi, którzy przechodzili pod latarniami, wiatr przynosił stłumione echa miejskiego życia, mieszaninę krzyków grubych, turkoty kół i gwary rozmów dalekich. Powracały wówczas marzenia, jakie snuł w samotności, szeregi obrazów przelatywały jak płomyki i czuł niezgłębione, nie dające się określić uczucie tęsknoty za pełnią tych zjawisk, których urywki trącały o jego zmysły.

Gorączka pilności z czasem opuszczała go i znowu tonął w dawnym życiu bezcelowym, z nałogu, z braku lepszego zajęcia, ale nudził się coraz bardziej. Drobne zmartwienia rozdrażniały go. Emma wyjechała z Xowa, zaangażowana do innego miasta na prowincji. Nie żegnał jej z żalem, spowszedniała mu. Z lekkim sercem wracał do domu, czując niesmak jej ostatniego pocałunku na ustach; Ignac wieszował, że nie grozi mu już niebezpieczeństwo dostania liszajów na twarzy. Z domu dochodziły go listy pełne wyrzutów od ojca za tracenie pieniędzy. Był rachunek wysłanych sum i nauka moralna na końcu.

Ostatni list odebrał w tym właśnie czasie, kiedy pieniądze było mu gwałtownie potrzeba. Ignac radził zastawić zegarek.

— Spacer do lombardii — mówił — nie zaszkodzi mu, zwykle pod zimę jeździ się do Włoch. Karol jednak zegarka

nie zastawił. Rumienił się przed sobą na samą myśl, że dziecko jakieś mogło go na ulicy zapytać o godzinę, a on musiałby odrzec: nie mam zegarka. Czekał więc na pieniądze z domu. Ojciec przysłał mu je wraz listem. Idąc ulicą powoli czytał pismo, schowawszy banknoty do kieszeni. Patrzył na ten gruby welin i wyrazy pisane ręką zamaszystą, gęsim piórem. Ojciec pisał mu: „Wiem ci ja dobrze, że to w mieście grosze lecą jeden za drugim. Donosisz mi, że stół miejski zły i że tylko za dobre pieniądze można jeść jako tako; prawda to, sam pomnę w Berlinie wylewałem rosół pod stół; ależ to znów nie pochłania twych całych dochodów. Nauka — piszesz — droga, może i tak jest, ale też z niej korzystaj, chwili nie marnuj. Wiesz, że jeden u mnie jesteś i że na ciebie rachuję, nie brak ci niczego, nic ci do nauki nie przeszkadza, a komu wiele dano, od tego wiele żądają. A nade wszystko wystrzegaj się złych towarzystw, bo niezły z ciebie chłopak, głowa otwarta, ale serce z wosku. Nie chcę ja robić ci zarzutów na wiatr, ale widzi mi się coś, miasteczko paniczowi smakuje, panicze, zabawki z nimi; ej! byłeś się jak ćma nie spalił... A kobiety! No strzeż się synu! Stracisz zdrowie i poczciwość...”. W tym tonie była reszta. Na dole dopisek matki: „Stryjenka Bronia przyjechała do nas we wszystkich świętych, całuje cię serdecznie i błogosławi moje dziecko. Z Ojcem wieczorami zawsze o Tobie synu mówimy. Pracuj tylko i ucz się, a nie zapominaj o Bogu, to wyjdiesz na prawego człowieka. Wiesz Karolku, jak ci tego życzy matka kochająca. Ściskam Cię serdecznie i całuję po sto razy”. W końcu dopiski siostr dużymi, prosto stawianymi literami.

Karolowi miękko się zrobiło, był cały w domu, na wsi, w sali jadalnej, przy świetle wielkiej białej lampy. Spotkał Ignaca. Ten go zaczepił od razu:

— Wiesz, chodź na piwo, ale będziesz płacić, bo to widzisz... — i poszli.

Karol siedział oparty na łokciu patrząc w marmurowy stolik. Ignac pytał:

— Cóż ty taki strapiony? Może pieniędzy nie ma?....

Karol pokazał pugilares i niebieskie papierki.

— Więc cóż ci takiego? Ach! to list z domu, no nie rozczulaj się. I do mnie stary pisuje na szarej bibule prowentowej. Dziwnie nie lubi ortografii, ale się nie trapię jego listami.

— Ale, bo to widzisz Ignac, człowiek tak jakoś głupio żyje, tak z dnia na dzień. List starego otwarł mi jakoś oczy.

— Jak to? a jakże ma żyć. Życie kotku to jedna wielka heca, czułości to balast niepotrzebny. Czym ja prosił mojego starego, żeby mi dawał życie na to, żebym przepisywał drugim skrypty i wisiał u ciebie na komornym? Kiedym już tu jest to robię tak, by mi było najlepiej. Pracuję tyle, wiele muszę, a używam wiele mogę.

— Tak się to niby mówi — przerwał Karol — ale przecież jest coś takiego, coś, co nie da się opowiedzieć, ale czasem gryzie i kole. Przypomni ci się stary karbowy w wytartej sukmanie, kogut blaszany nad gumnem i jakoś ci głupio na sercu.

— Daj też Karol spokój, udajesz chyba czułego, a nie do twarzy ci z tym. Ideały! Ideały! na diabła ci te ideały, zresztą ty mądrzejszy jesteś w praktyce, niż w gadaniu. Ideały czasem ci się potrzepią w głowie, ale zresztą jesteś trzeźwy człowiek.

Tęsknisz więc za kogutem i karbowym, jedź do nich, rozkoszuj się ich widokiem, ciekawym czy długo by ci ten raj smakował!

— Tak! a jednak ludzie idą gdzieś, mają jakiś cel, coś co im życie wypełnia, a ja nic, nic!

— Tak ci moja! mają ludzie cel! jaki?

— A weźmy, na przykład malarza, artystę. Chodzi po nocach, patrzy na księżyc, łowi, zbiera motywy, czyta, ogląda modele i rodzi pomysł wielki, z tego pomysłu stwarza arcydzieło. Ten człowiek ma cel. Inny pracuje dzień i noc, odmawia sobie wszelkiej zabawy i robi odkrycie wielkie.

— A potem co? za obraz zapłaca malarzowi, kupuje aksamitny szlafrok, buty takie jak ty masz, pali regalia i pije koniak. Wynalazca stawia sobie kamienicę na trzy piętra i co wieczór z fajką w zębach wygląda na ulicę przez okno... Egoizm bratku! egoizm. Pracują, żeby mieć, a mają, żeby użyć. To klucz do serc ludzkich. Czy twój stary list pisze, żeby wyłać swe ideały na papier? nie! primo idzie mu o pieniądze, secundo, nie chce żeby jego syn był jak oni nazywają birbantem, bo by mu to honoru nie dodało; to mądra sztuka! Ja dla ideałów chodzę po błocie na przedmieście i drę sobie gardło jak podeszwę nad idiotami z trzeciej klasy? Chcę tylko odbić sobie groch i kartofle, jakim jadał w idealnej chatce mojego starego. On wódkę aby pił potem, a ja co? wody się człowiek ożłopał i żył ideałem. Puść to chłopcze w trąbę i na nic nie pytaj. Nie jesteś gorączka, więc się nie zapuścisz przy tym za daleko, a użyć w miarę, to i zdrowo i wesoło...

A jednak i Ignac miał swoje ideały. Nieraz kiedy usypiał, myślą bujał daleko; nie w dzień dzisiejszy, ani w jutro, ale

daleko... Matka w cycowej sukni przyjechała na fornalskim wózku z kościoła i przy obiedzie żaliła się na głowę, po południu położyła się pod jabłonią w białej sznurówce i leżała do wieczora. On na czworakach przypełzał się do niej i patrzył na pszczoły latające od kwiatu do kwiatu; wieczorem stara klucznica ze dworu przyniosła jej balsamu i pytała:

— Pani Onufrowa! pani Onufrowa! mgli panią jeszcze, hę? — i nastawiała ucho zrobiwszy z ręki trąbkę.

— Eh! eh! — stękała matka — na wnętrzu mi się cosik zbiera, eh! eh!

W tydzień potem czarne woły wiozły orzechową trumnę na cmentarz, szła ludzi gromadka, słońce grzało z góry, a wóz skrzypiał jadąc pod górę po gliniastej ziemi. Potem, wieczór panienska ze dworu dała mu duże ciastko migdałowe. Gryząc je patrzył na ojca, który siedział oparty na stole obiema rękami, a łyzy duże padały rżęsiście; długo potem ojciec go ścisnął i tulił. Organista potem uczył go czytać na elementarzu i bił go dyscypliną po płóciennych spodenkach. Potem pojechał do konwiktu. Ojciec ścisnął za kostkę u nogi rektora i sapał jak miech; widać mu było na karku wieszadło od czarnego surduta, a buty świeciły mu się jak lustro.

Chłopczyńkę wszyscy popychali. Raz zbeczał się srodze, kiedy przy obiedzie Stefan Kanicki, żwawy chłopiec wydarł mu pieczeń z talerzem z ręki, a brat Marcin rzekł:

— Cicho, boś ty tu z łaski.

Przez tydzień z nikim nie mówił, ale wnet się przekonał, że trzeba być grzecznym i obłudnym. Bratu Melchiorowi co dzień wodę w klatce z kanarkami odmieniał, a za to od stołu nigdy głodny nie wstawał. Ordynacikowi zadania robił,

a ten mu po egzaminie jadąc na wakacje wyprosił od księcia ojca 15 srebrnych guldenów. Nauczył się widzieć, nie widząc niby i nie widzieć widząc. Raz rektor wezwał go do siebie, pogłaskał po głowie i pytał:

— Prawda, że to nieprawda, żeby F. (ordynacik) sprowadzał brzydkie książki, prawda, że to Lawendziński?

Ignac wiedział dobrze, że Lawendziński nigdy w ręku podobnej książki nie miał, bo uczył się po całych dniach, albo uczył gwizdać kosa w izdebce furtiana, a że F. brał książki od fryzjera, który z miasteczka co sobotę do konwiktu przychodził strzyc uczniów — jednak bez wahania potwierdził przypuszczenia rektora. W refektarzu wieczorem odbył się publicznie sąd winowajcy — zeznania Ignaca orzekły o losie podsądnego, a Lewendzińskiego wypędzono. Ignac w miesiąc dostał drugą nagrodę, ordynacik dał mu garnitur brązowy, w którym prawie nie chodził, a przy wręczaniu nagród stary książe, kiedy mu rektor Ignaca przedstawiał, uszczypnął go w policzek i obdarzył srebrnym zegarkiem.

Na wakacjach bywał u sąsiadów oficjalistów z ojcem; opowiadaniem o stosunkach z paniczami robił wrażenie na panienkach w perkalik ubranych i nauczył się doskonale grać w karty. Nieraz wieczorem kiedy dał ojcu pięć dubli jedna po drugiej w mariaszu, stary klepał go po ramieniu i mówił: Ignac, będą z ciebie ludzie.

Znów z paniczami w konwikcie po nocach biegał na tańce do miasteczka, a choć raz ordynacik odpędził go od różowej szatynki, którą diablikiem nazywano, pocieszał się winem na koszt dumnego panicza.

Do Xowa przyjechał z programem gotowym w głowie i przewracając się na drugi bok, roił sobie, jak za 10 lat własną bryczką zajedzie do wsi ojcowskiej, ojcu fajkę turecką daje i safianowy kapciuch, łańcuszkiem złotym olśniewa sąsiadki i wyszczerza do nich nowiuteńkie zęby z białą emalią. Wstaje koło południa, kładzie miękkie pantofle i pali wonne cygara. Przed obiadem koniak, po obiedzie czarna kawa i drzemka. Potem fajkę pali, puszcza błękitne koła dymu i dziurawi je palcem okrytym pierścionkami, całkiem tak samo, jak mecnas, do którego przed tygodniem chodził w interesie jednego ze swych chlebobawców. W karty zawsze wygrywa, a na balach matki pokazują go sobie jako bogatego epuzera, służba kłania się w koło, zamiatając serwetami podłogę, a ordynat ściska go za rękę i prosi na słóweczko do gabinetu.

Dla tej przyszłości pracował Ignac bardzo. Miał opinią najpilniejszego ucznia. Skulony, niepozorny, siadał w pierwszej ławce i stenografował wykłady, biegał potem za lekcjami, a miał jednak dość czasu na zabawy. Lubiano go dla ostrego języka i dla zgodnego usposobienia, zapraszano; w bilard grywał w ostatnich zakładach, a nigdy nie płacił. Kiedy grał z Karolem, doprowadzał go do gniewu swą uwagą i wyzyskiwaniem każdej sposobności do wygranej. Wybrano go do zarządu jednego z towarzystw akademickich, radzono go się w sprawach urzędowych i stypendialnych, wypytywano kiedy w najlepszym humorze można zastać profesorów tego lub owego w domu, potrzebowano go. Zaraz w pierwszym miesiącu pobytu w Xowie dostał się do domu obywatela przedmiejskiego, zamożnego garbarza. Bywał tam codziennym gościem, wracając z korepetycji, którą dawał

w tej samej kamienicy należącej do pana Walentego. Pan Walenty czekał na niego zawsze z gazetą i przy szklance piwa rozprawiał z nim o polityce. Ignac był dlań wyrocznią, szczególnie od czasu, kiedy przepowiedział jak najdokładniej śmierć Piusa IX. Opinię tę podzielał nawet ksiądz wikary, cichy zwolennik mariasza i stały partner pani Walentowej. Karol rozmawiał z nim o biskupie Dupanloup, czego wikary nie omieszkał opowiedzieć z ambony w następną niedzielę. Nieraz po cichu o nim toczyła się rozmowa między grającą parą:

— Ten akademik — mówiła p. Walentowa, zakładając za uszy żółte wstążki czepka, to porządny jakiś chłopiec.

— Oj tak pani Dziko! w dzisiejszych czasach kiedy pozytywizm toczy naszą młodzież, jak to *Saturn* pisał wczoraj, to perła, skromny, cichy, łagodny a mądry, oj! mądry, tą mądrością, co z góry płynie i serca rozjaśnia. On by mi i do mszy posłużył.

— O Maryo słodka! a tom się zagadała, cóż ja dobrego robię! to biję dwójkę świetną asem pik, a pików u dobrodzieja jak ludzi na świecie.

— Wszystko to nic wobec wieczności, a wieczność wobec ostateczności — mówił Dobrodziej zgarniając piątą lewę.

Akademik był powagą w domku mieszczańskim, przepadały za nim wszystkie matrony, bo całował je głośno w tłuste ręce i Dobrodziejkami nazywał. — Takie to — mówiły — miżerne, jak ten rogatek za dwojaka, ale główka jak makówka; bodaj to taki sensat. — Marynia, córeczka Walentostwa, siedemnastoletnia uczennica żeńskiego gimnazjum, podzielała tę opinię.

Ignac robił jej wypracowania domowe, podpisywał ronden zeszyta, czasem pomarańcz przyniósł i biedna dziewczyna po nocach śniła o mądrym i łagodnym chłopcu, który tak o niej pamięta. Z nim jednym w domu mogła pomówić o odkryciu Ameryki i pieśniach Juliusza, które tak ładnie umiał czytać. Kiedy spotkawszy ją kłaniał się na ulicy, rumieniła się po uszy. Wyhaftowała mu szelki i matce zaklinała się, że pan Ignac taki dobry „jak nie wiem co“, dodając, że „za nic w świecie“ w oczy by mu tego nie powiedziała. Starzy leżąc w szerokim łożu budzili się nieraz.

— Jegomość, jegomość, śpi jegomość.

— A bo co — pytał Walenty — ino com się zdrzymnął, ale mi się przyśnił Walek jak go żandarmy prowadzą. (Walek był ich syn marnotrawny, który uciekł z terminu za granicę).

— Bo to widzi jegomość, to akademik, to ale chłopak, nieraz to sobie myślę, że nasza Mańka to chyba nie dla czeladnika, ino już przez swoją edukacją patrzy jej się jaki adwokat abo i nawet dependent.

— Ta i to prawda! godna jest choćby i samego dependenta.

— To też akademik rychło patrzeć wyzwoli się na adwokata a potem na dependenta, to może Mańka podrośnie i będzie para.

— Hej, miły Boże! doczekałby się człowiek wnuków.

— Coby nie — mówiła Walentowa. — Mańka! — wołała do drugiego pokoju — co się tak wierzisz? śpij, nie podsłuchuj rodziców, bo ci uszy uschną.

Ignac opowiadał Karolowi o Walentostwie, o ich domu, śmiejąc się z ich dobroduszości. „Klecha“ był przedmiotem wesołości.

— Ale to nic — mówił Ignac — starzy mają pieniądze jak lodu, coś, owoś, córka, ja co dzień bywam, jakaś pomoc, speranda małżeńska i gotowe pieniądze na rygorozę. A skąd bym ja na nie brał stówki, jak nie od Walentego, to dobry facet... I co wieczór stawiał się w mieszkaniu frontowym na parterze. Czasem zasiedziało się do późna. Karol, jeśli wieczór w domu przepędzał, zazdrościł mu tych wizyt serdecznie. On żadnego domu znajomego nie miał, nigdzie nie bywał, z żalem patrzył na frak wiszący w szafie i na pudełko ze składanym kapeluszem. Nadszedł karnawał, balów publicznych jeszcze nie było, same zabawy w domach prywatnych. Towarzystwo bilardu i spacerów tańczyli na zabój, widywał ich wieczorami przez zapocone szyby fryzjerskich zakładów, jak w niskich krawatach siedzieli na fotelach a garsoni zapiekali im włosy nad czołem, widywał ich w powozach, stojących przed domami, w których z okien pierwszego piętra biły fale światła. Rano spotykał się z nimi w kawiarni, jak błdzi pili herbatę z cytryną i opowiadali sobie ważniejsze lub milsze zdarzenia balowe. On niewtajemniczony siedział na boku i słuchał niechętnie lecz ciekawie. Żaden mu jednak nie zaproponował, żaden nie oświadczył się z gotowością wprowadzenia go w salony. Oni sami byli zapraszani do domów, gdzie prócz oficjalnej wizyty przed balem nigdy nie bywali, ich także wprowadzano.

Postanowił na pierwszym publicznym balu powetować sobie stracony czas, zakasować wszystkich i gotował się do tej chwili stanowczej, nudząc się jak najokropniej.

Część trzecia

Brak towarzyskich stosunków przykro odczuwał Karol. Patrzał jak drudzy mają jakieś ciepłe ognisko w długie wieczory, jak Ignac w dobrym humorze powracał z przedmieścia. Zateśknił za życiem towarzyskim domowym, które by mu otwarło nowe pole do życia. Przypomnił sobie, że przed wyjazdem z domu kilkakrotnie matka mówiła mu: „A pamiętaj też Karolku o domu państwa Nelczów. Ona moja dawna znajoma, on poważana w mieście figura, dom ich serdeczny, poczciwy, żyją z ludźmi, wprowadzą cię w świat”.

Karol przybywszy do Xowa wybierał się z początku co dnia z wizytą, dowiedział się nawet o adres pana radcy, ale z czasem wyleciało mu to z głowy i teraz dopiero przyciśnięty potrzebą towarzystwa postanowił skorzystać z tej sposobności.

Szczęśliwy przypadek pomógł mu do tego. Pewnego styczniowego poranku zapukał do jego drzwi hotelowy portier i przyniósł mu do łóżka bilet w kopercie różowej. Zdziwiony przeczytał bilet. Treść jego była: „Kochany Lolu! Przyjechałam z chorym mężem do Xowa, po drodze do Meranu, gdzie Ludwik ma się leczyć przez zimę. Zatrzymamy się może parę dni dla sprawunków i poznania miasta. Odwiedź nas, stoimy w hotelu angielskim pod Nrem 17. Czekamy. Twoja kochająca siostra Leokadia”.

Karol wyskoczył z łóżka na równe nogi. Lodzia przyjechała, poczciwa Lodzia, siostra stryjeczna, z którą razem się bawił dzieckiem, a której potem nie widział przez 8 lat! W godzinę pukał do numeru 17 w hotelu angielskim.

— Entrez — odpowiedziano. Pokój z zapuszczonymi starami zawalony był przez kufry, tłumoki, torbeczki, na stole leżała kupka srebrnych pieniędzy, na krzesłach wisiały haftowane ręczniki. Przy łóżku, na którym leżał Ludwik, siedziała Lodzia i trzymała przed mężem filiżankę z herbatą. Zobaczywszy Lola, postawiła naczynie na szafeczce i poskoczyła na przywitanie:

— Jak się masz braciszku, cóż poznajesz mnie, bo ja ciebie od razu poznałam, choć ci taka wspaniała broda rośnie. Tak wyrosłeś, słowo daję, że do zakochania, a niechże cię mężowi przedstawię: Pan Karol Rewski słuchacz medycyny roku pierwszego w stołecznym mieście Xowie, brat stryjeczny wielmożnej pani Ludwikowej. Pan Ludwik, obywatel ziemski, unizony niewolnik pani Ludwikowej.

Pan Ludwik uśmiechnął się swą chudą, żółkłą twarzą, zaświeciły mu duże czarne oczy i prawą rękę leżącą na kołdrze podał Karolowi.

— Serdecznie się cieszę, że cię mogę poznać Karolu, Lodzia dużo mi o tobie nieraz opowiadała — mówił głosem cichym i gestem posadził go na swym łóżku. Trzymając go za rękę patrzył mu w oczy i uśmiechał się łagodnie. — Wiesz jaki ze mnie kaleka, gdyby nie ten anioł, to życie by mi obrzydło.

— No! no! — trzepotała się Lodzia — tylko mię Ludku nie chwał, bo Karol ci i tak nie uwierzy; a co Lolu! czy ze mnie nie była pierwsza złośnica, pamiętasz jak cię podrapałam pod wiśnią?... Kaleka z niego, jak powiada, ale dlaczego kaleka? Skoczył w listopadzie w rzekę za dzieckiem tonącym i całą zimę chorował... A może byś ty się braciszku napił herbatki

— i mrugając dodała: — prawdziwa rosyjska, szwarcowana, ale sza! aby nas do kozy za to skarbowniki nie zamkli, ledwie mi jej nie odebrali na komorze. Tu ją miałam schowaną — dodała pokazując na piersi, okryte różowym szlafrocikiem.

Karol siedział i słuchał, cieszył się z przybycia Ludwikostwa, że parę dni przepędzi radośnie, urozmaici jednostajność miejską. Przypomniwał sobie dawne lata, jak go u stryjostwa pieszczono, z Lodzią siadywał przy małym stoliczku i grali w maleńkie karty, chodzili z klucznicą do spiżarni i wyjadali słoiki smażonych owoców, rano przynoszono mu kawę i ciasto z białą posypką migdałową do łóżka. A ta Lodzia taka duża, taka ładna, włosy zwinięte w wielki węzeł, na białych paluszkach pierścionki... Jak dawno temu... ho! to i on musi już być starszy, o wiele starszy. Co za spotkanie! Lodzia ma już męża, jest panią, a on jeszcze student... i długo jeszcze będzie studentem....

Siedział przy Ludwiku i opowiadał mu o wykładach, o profesorach, o życiu studenckim. Ludwik kilkakrotnie pytał go o rzeczy, na które nie umiał odpowiedzieć. Jakich kierunków filozoficznych trzymają się profesorowie, na jakim stanowisku znajduje się krytyka historyczna?

— Ta! — bąkał Karol — przyznam ci się, że nie wiem, człowiek ma po uszy swoich przedmiotów, o tamtym nawet myśleć nie może. — Lodzia ratowała go z kłopotu opowiadaniem o rodzinie.

— No! wstawaj jegomość, pójdziemy na miasto, obejrzyć kościoły, muzea, ten łobuz musi to wszystko dobrze znać, on nas poprowadzi. Słowo daję Lolo! — dodała ze śmiechem wpatrzywszy się w niego — że śmiać się muszę, jak na ciebie

popatrzę. Taki z ciebie był bobak zabawny, zabezpieczony zawsze, a dziś taki elegant; cóż ty za kapelusz masz? — pytała biorąc jego cylinder w palce z przesadną i poważną ostrożnością.

— Oj moja pani, już ja chyba nie pójde. Masz chwała Bogu kawalera na usługi, niech on się hamuje w wybuchach szaleństwa i za ciebie odpowiada. Pamiętaj Karolu, żebyś mi ją krótko trzymał, na głupstwa nie pozwalał, bo to wariatka prawdziwa — zdasz mi z opieki ścisły rachunek.

— Ha! cóż robić, kiedy jegomość nie chce, to już muszę iść z tym wisusem, ale niech jegomość grzecznie się tu sprawuje, niech nie wstaje i sam się nie ubiera, bo jak wrócę, a zobaczę osłabienie, to się strasznie będę gniewać... — I śmiali się oboje do siebie. Lodzia złapała go rękami za szyję i całowała po czole. Ludwik mrużył oczy i opędał się łzom.

— Obróć się kawaler ku oknu i siedź tak grzecznie póki nie każę się odwrócić — zawołała Lodzia. Zasznurowała stannik, zrzuciła jedwabne pantofle, wdziała trzewiki skórkowe, które stały przy drzwiach, potem zawołała: już. Karol ze śmiechem odwrócił się i ujrzał ją całkowicie przebraną, pomógł jej we wdzianiu futra i pożegnawszy Ludwika wyszli na miasto.

Do południa chodzili po sklepach. Lodzia kupiła sobie kapelusz u modniarki. Kiedy przymierzała na próbę jeden po drugim, on siedział na krześle aksamitnym i wyglądał na miasto, wstąpili do cukierni, jedli ciastka, Lodzia kupiła pakiecik cały dla męża, opowiadała mu o domu, o swoim gospodarstwie. Obiad jadł razem z Ludwikostwem. Szwagier zapytał go:

— Wiesz co Lolu, pójdziesz może z nami do radcy Nelcza, to dawni wasi znajomi, musisz ich znać?

— Nie, nie znam, mama nawet radziła mi być u nich, ale dotychczas czasu nie miał, ani sposobności, tak, że nie korzystałem jeszcze...

O czwartej pojechali do radców. Drzwi otworzyła im służąca.

— Państwo są w domu, proszę bardzo do salonu — i wprowadziła ich do wielkiego, pięknego pokoju. Lodzia poprawiała włosy przed lustrem, Ludwik usiadł, Karol stał z kapeluszem w ręku.

Po chwili drzwi się otwarły i weszła pani radczyni, wysoka brunetka w czarnej sukni, z włosami w górę podczesanymi. Popatrzała chwilę na obecnych i skłoniła się grzecznie.

— Cha! cha! cha! — zaczęła się śmiać Lodzia — nie poznaje mię pani kochana?

— Lodzia! jak dzieci kocham, Lodzia, a niechże cię uściskam — i przytuliła do siebie młodą kobietę, całując ją po ramieniu. Odsunęła ją od siebie, patrzyła jej w oczy:

— No! no! to Lodzia już pani, proszę, proszę.

— A to mój pan Ludwik, nieznośny nudziarz, którego pani przedstawiam.

— Siedzący pod pantoflem tej psotnicy — dodał Ludwik, całując rękę pani.

— Siadajcież państwo — i spojrzała na Karola. Ten skłonił się grzecznie.

— A to mój brat stryjeczny Karol Rewski.

— A ślicznie mój panie, tak zapominać o znajomych starych.

— Pani — przerwał Karol — jeżeli do dziś dnia nie usłuchałem polecenia mamy, która kazała mi zaraz po przybyciu

złożyć państwu uszanowanie, to uznaję całą moją winę i ze skrucłą prośbą o przebaczenie — i ucałował ręce pani Neczowej.

— Jeżeli pan chce uzyskać przebaczenie, to musi je pan sobie wysłużyć; ach fe! siedzieć w Xowie i nie być u nas dotychczas; mąż panu każe w kącie stać za to. A toż ja pana znałam ot tycim, tycim, kołysałam pana w czasie powstania, kiedy brat mój przechowywał się w domu pańskich rodziców, a ja odwiedziłam go... Państwo — pytała zwróciwszy się do Ludwików — na długo w naszym miasteczku.

— Och! wcale nie! przejazdem, wiozę męża do Meranu.

— Ależ ty Lodko nie znasz wcale Xowa, pierwszy raz tu jesteś.

— Tak, pierwszy, Karol mi trochę pokazał rano, a Ludwik jeszcze ze studenckich czasów zna tu wszystkie kąty... — i pogroziła Ludwikowi palcem na nosku...

— Ej! coś Łodzianka surowa, a zbuntować się przeciw tyranie! co, nie można by panie Ludwiku? nie powinnam tego panu radzić w interesie naszego całego rodzaju, ale...

— Niechże mi kochana pani mężulka nie bałamuci, bo mu każe wdziać kapelusz i odpędzę do hotelu; a to by dobre było, żeby Ludwika musiała jeszcze przed panią chować.

Karol przerzucał dzienniki na stole.

— Muszę państwu moją dzieciarnię pokazać. Łodziu, tyś Felcię i Stasia widziała ostatni raz w kąpielach, okropnie porosły. — Otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju i zawołała: — Felciu, Stasiu, chodźcie tu. — Felcia przyszła, Staś nie. Felcia blada, szatynka z wielkimi oczami weszła i skłoniła się poważnie i hardo. Łodzianka zerwała się i chwyciła ją za szyję.

— A cóż to Felciu nie witasz się ze mną.

— Ah! to ty... to pani — wyszeptała.

— Tak, tak to ja, ale Felcia znać mię nie chce, czy co...

— Pan Ludwik, mój mąż. Panna Felicja, moja kąpielowa koleżanka. Karol mój brat. — Felcia skłoniła się raz jeszcze małą główką i siadła pod zegarem skrzyżowawszy nóżki ubrane w wysokie buciki. Przysłuchując się rozmowie matki z Łodzią skubała włóczkowego pieska, którego wzięła ze stołu lub gładziła ciemny skórzany pasek obejmujący w pół jej kibić.

Na Karola ani okiem nie rzuciła. Ludwik, który najbliżej siedział, rozpoczął z nią rozmowę, odpowiadała mu krótko, niechętnie i milczała znów zacisnąwszy silnie delikatne wargi. Panie rozmawiały bez przerwy, Felcia zerwała się i wybiegła z pokoju. Karol siedział i oglądając ilustrację zamyślił się. Tak dawno nie znajdował się w salonie z czerwonymi meblami, z kanapą pod lustrem, z lampą na stoliku między oknami. Dziwno mu było po swobodnej atmosferze zakładów publicznych, czuł pewne zakłopotanie; wszystko nosiło ślady starannej ręki, kurze pościerane, drobna cera jedwabna na poręczy krzesła... Nie mógł sobie zdać sprawy ze swego stanu, ale nie życzył sobie, żeby osoby siedzące w salonie znały jego sposób życia i sposób myślenia. Odwykł od serdeczności domowej i trochę go dziwiła zyczliwość pani Nelczowej.

Drzwi znowu się otwały i wpadł pan radca. Siwiejące włosy w nieładzie wisały mu nad czołem, idąc machał rękami i stukał obuwem w podłogę, chustka kolorowa wlokła się za nim po ziemi.

— Ho! ho! ho! kogo ja widzę, a toż to kochany Ludek, a Lodzia co tu robi? Hm! hm! to tak? — spytał znacząco.

Lodzia zarumieniwszy się obie rączki mu podała. On pochylił się jej nad uchem i śmiejąc się pytał:

— No! cóż tam Ludek, dobrze się sprawuje. I chwycił Ludka w objęcia.

Przedstawiono mu Karola.

— A znam, znam ojca dobrodzieja, a pan cóż? studiosus medicinae, a czemuż to na nas nie był łaskaw?

Karol tłumaczył się podobnie jak pani.

— Żadnych tłumaczeń nie słucham, źleś pan robił, skrucha, panie kochany i basta. Siadajcież dzieci...

Pani radczyni wyszła do drugiego pokoju, szeptała coś ze służą: „Marysiu pospiesz się a powiedz, żeby ci sucharki dali świeże, ostatnim razem były takie, że zęby można było połamać“. Marysia wybiegła tupiąc piętami po schodach. Pani wróciła do salonu, złajawszy Felcię, która siedziała w jadalnym pokoju czytając książkę i gryząc chusteczkę.

— Zawsześ dzika, czemuż nie wyjdiesz do gości?

— Ach, daj mi mameczka spokój; z Lodzią sobie potem pogadam...

Panowie tymczasem bawili się rozmową.

— Bo to widzisz pan kochany — mówił radca do Karola — człowiek ma stosunki, nieraz bym panu mógł w czym pomóc, egzamin nie egzamin, w końcu młody człowiek musi mieć jakiś dom poważny, gdzie by czasem z ludźmi się zobaczył. Za moich czasów mówili: „Przez świętych do Boga, przez ludzi do ludzi“. Dziś panie kochany młodzieź inaczej żyje; knajpeczka, piwko, polityka. Każdy musi być młody, nie szko-

dzi poszumieć, pokpić się nawet, a dziś żaden nie chce się przyznać, że młody. Pamiętasz Ludek, jaki z ciebie był wariat, dziś bawicie się w starców poważnych, rozprawiacie...

— Nie panie radco, ja trzymam się z daleka od matadorów politycznych naszego uniwersytetu, mam swoje kółko, w nim żyję, nie mieszam się w rzeczy nauki, które bezpośrednio nie należą do mego zawodu.

— Otóż to lubię! tak mi pan kochany gadaj, do licha wam te kwestie społeczne.

— A więc nic prócz nauki? — zapytał Ludek.

— To co innego — rzekł radca — jak trzeba, to co innego.... ale radzić, to rzecz starszych. Człowiek, przyznam się państwu ces. król. urzędnik, ale nie zapomina dawnych czasów przed konstytucją, hej! hej! śpiewało się, robiło burdy, gdzie wam dziś do tego. No późniejsze czasy ostudziły nam też trochę zapалу, upuściły krwi, dzisiejsze pokolenie cierpi na anemię, na gadanie bez czynu...

Pani poprosiła na kawę do drugiego pokoju. Zasiedli koło stołu nakrytego białym obrusem. Radczyni z wielkiego porcelanowego imbryka nalewała śmietankę. Felcia roznosiła filiżanki.

— Łodziuniu! weźże cukru, bo tak brzydko buzią krzywisz, kawa musi być niesłodka, śmietanka nie smakuje, ha! popsuła się panienka; my tu swoich krówek nie mamy.

— Nie ma to panie jak na wsi — mówił radca maczając wasy w filiżance i krusząc sucharek palcami — w bród wszystkiego jak w komorze, jak to tam poczciwy pan Wincenty pisał. Moja pani dobrze musi głową kręcić, iżby każdy dostał swoje...

— A sługi! sługi! to prawdziwą kara boska, ty Lodziu weźmiesz bosc z chałupy, każesz obmyć, ubrać, uczesać i wyrobisz sobie przecież coś z tego, a u nas co kwartał to przyjdzie, całuje w rękę i mówi: proszę łaski pani, chciałabym się odprawić, bo mię Wojciechowa poraiła jednej komisarce. A idź! idź sobie na złamanie karku...

Felcia ośmieliła się trochę, przysunięta do Lodzi chichotała po cichu pochyliwszy się nad stołem. Po piątej wleciał Staś ze szkoły, książki rzucił od drzwi na ziemię razem z kapeluszem i skoczył ku stolowi. Zobaczywszy obcych stanął niemy i trącił się po boku spoglądał naokoło.

— No Stasiu! ukłoń się grzecznie, panią w rękę pocałuj. — Staś spełnił rozkaz ojca, matka pocałowała go i postawiła przed nim filiżankę, sucharek i dwie bułki. W jednej chwili zjadł wszystko, wypił resztę ze spodeczka i pochylił się ku matce:

— Mamo! żeby mi to mama dała jeszcze sucharka.

— Cicho! nie napieraj się, takiś duży już.

Wyprosił jednak co chciał i zbierając okruszyny po stole patrzył na Karola. Małe, podpuchnięte u dołu oczy spozierały na ubranie Karola, aż spoczęły na krawatce.

— Proszę pana! — pytał zbliżywszy się do niego — wiele to kosztuje, bo suplent z trzeciej klasy, Kolasek ma takie samo; a ta dewizka wiele kosztuje, ale to nie złoto?

— Złoto, złoto Stasiu — odpowiedział Karol biorąc go za rękę.

— Wie pan — mówił Staś — dziś wytupali Koczura z klasy, za to, że pierwszemu vorzugowi kazał stać za tablicą. Taki dureń z niego, głupiec, mówili, że trzeba mu było dać w papę,

bo takie jest prawo, że jak który belfer w klasie dostanie w papę, to musi od razu kwitować, ale i tego, co mu dał, także wypędzają.

— Stasiu! nie nudź pana! — upominała mama.

— Ależ pani! Staś mnie wcale nie nudzi, owszem przypominam sobie, jak sam chodziłem do gimnazjum, tylko — dodał z uśmiechem — nie miałem w konwivicie mamy, żeby mi tak słodziła kawę i dawała sucharki...

Pani Nelczowa rzekła po cichu do męża:

— Jakiś poczciwy chłopiec ten Karolek; taki szczerzy, uprzejmy, nie znać na nim takiego zepsucia, jak na innych studentach, zwyczajnie chowany w klasztorze i u zacnych rodziców. Panie Karolu — dodała głośno — chodź pan, przedstawię pana babci. Felu! czy babcia już nie śpi? czy wypila kawę?

— Już mam — odpowiedziała Felcia, która stała pod oknem z Łodzią, splecione obie na plecach rękami.

Karol wstał i poszedł. W trzecim pokoju pod oknem siedziała w wysokim fotelu staruszka i przez wielkie okulary czytała książkę, oddaliwszy ją daleko od siebie rękami, na ścianie przy łóżku wisiały obrazy świętych i fotografie wielu osób nieznanymi Karolowi. Pani Nelczowa oparła się ręką o fotel i pochyliwszy się rzekła głośno:

— Mateczko! niech mateczka popatrzy. To jest pan Karol Rewski, syn tej Maryni, co ze mną do Rozłogów przyjeżdżała na wakacje, u nich Kazio się chował po przejściu granicy.

Karol ucałował ręce staruszki, pogładziła go po głowie:

— Jakże ci? Karolek? siadaj sobie Karolku — i zaczęła palcami opartymi o kolana prędko przebierać. — Podobny do matki! oczy takie same! Ty tu uczyć się przyjechał dziecko?

— Tak babuniu — odrzekł Karol, prosząc okiem o pozwolenie na tę nazwę u pani Nelczowej — chodzę na medycynę.

— Oho! na medycynę. Kiedy te doktory to do niczego. Ucieczka do Pana Boga, to najlepsze lekarstwa. Nic mi ci doktorzy nie poradzili, ogłuchłam, ledwie na prawe ucho trochę usłyszę.

Karol zaczął się nudzić z babką, wszedłszy raz na temat swego lewego ucha, babka rozwodziła się szeroko. Wczoraj rano strzykało ją. Jutro spodziewa się nowego strzykania. Pani Nelczowa odeszła, Karol wstał. Słuchając babki rozglądał się po pokoju, patrzył na dywanik przed łóżkiem, na zielony parawan około pieca żelaznego, na lampę z szeroką umbrelką, na stół zarzucony zaczętymi robotami na drutach. Przy drzwiach wisiała kropielnica z perłowej macicy. Robiło się szaro, z trzeciego pokoju dolatywały go świeże śmiechy, rozróżniał nieznany sobie głos nowy, pełny, dźwięczny i ciekawością zapłonał. Zaczął się kręcić na niskim krzeselku. Babka zauważyła to nadspodziewanie.

— Cóż! nudzi cię stara, idź, idź dziecko do młodszych, zabaw się, a podaj mi jeszcze różaniec z hebanowej skrzyneczki. Stoi na półce, albo nie, przynieś całą skrzyneczkę.

Karol usłużył staruszce, pocałował ją w rękę i wysunął się rażno na palcach.

W pokoju panów nie było, z sąsiedniego gabinetu słychać było ich głośną rozmowę.

— Wierz mi Ludku! że ta cała nowa szkoła historyczna to nic. Bandke jeden u mnie coś znaczy. To bracie nie historia, ale paszkwile na naszą przeszłość rzucane...

W pokoju jadalnym były same panie, obok Nelczowej siedziała nieznana Karolowi kobieta. Na głowie miała szeroki pluszowy kapelusz z czerwonym piórem. Suknia z jedwabnej materii łamała się przy świetle lampy, oczy wielkie, czarne poruszały się żywo. Spojrzała na Karola. Pani Nelczowa przedstawiła go. — Pan Karol Rewski, medyk, syn mej serdecznej przyjaciółki z lat panieńskich. Pani Róża, moja cioteczna siostra. — Karol skłonił się głęboko. Pani Róża patrząc mu w oczy, skłoniła uprzejmie głowę, złote wielkie koła zawieszane w uszach, których koniuszki wyglądały z pod gęstych włosów, poruszyły się uderzając ją po szyi. Karol usiadł i milczał. Panie prowadziły dalej rozpoczętą rozmowę, jak przy człowieku, z którym przed chwilą już się mówiło i nie ma potrzeby bawić go dłużej, zostawia mu się swobodę wmięszania się lub milczenia. Patrzył na panią Różę i łowił okiem każdy ruch jej twarzy. W chwilę znał wszystkie szczegóły rysów, wiedział, że kiedy mówi dłuższy okres, to nieruchomo patrzy komuś w oczy, a po skończeniu zdania otwiera usta różowe i śmieje się, pokazując rząd białych, drobnych zębów. Opowiadając o krepie paśowej, którą rano oglądała, patrzyła się w Karola. Zdawało mu się, że patrzy na niego obojętnie, jak na stół lub na zegar wiszący, mimo to spuścił oczy i zaczął przygniatać popiół od papierosa na ceracie. Obracając się do Łodzi przeginała kibić i robiły jej się fałdy na białej szyi i w okolicy stanu; wówczas w profilu widział falowanie piersi, tak, że łańcuszek złoty, zawieszony pod białą koronkową kra-

watką, podnosił się i opadał miarowo. Wodził wzrokiem po niej i robił tysiączne odkrycia: brwi ciemne schodziły się w jeden łuk między oczami, rzęsy wygięte naprzód osłaniały oczy do połowy, okrągła szczupła broda rzucała cień wyrazisty na szyję, szczegóły uczesania włosów tonęły pod szerokim rondem kapelusza. Kiedy się odwróciła od niego i pochyliła pokazując na kolanach wymiary widzianej roboty szydełkowej, uderzył Karola sposób podczesywania włosów pod górę: pojedyncze kosmyki wymknąwszy się spadały na dół lub poruszały lekko przy najmniejszej zmianie położenia. Szerokie wgłębienie gubiące się w kołnierzu występowało przy płomieniu lampy. Zdawało mu się widzieć jakieś odstąpienie toaletowych tajemnic w tych zapomnianych włosach; myślą dążył w kierunku pionowego rowka na karku. Patrzył na drobną rękę złożoną na stole: mały palec zgięty był w miękki łuk i odchylony na zewnątrz; czasem drobne okruszyny zgarniała nim bezwiednie; srebrny porte-bonheur brzęczał sunąc się po stole; rękawiczka była zapięta na trzy guziki; za poruszaniem ręki opadał rękaw jedwabny, pozwalając widzieć ramię prawie po łokieć.

Karol był nią olśniony, nie spuszczał z niej oczu. Rozróżniał dwa rodzaje przedmiotów w pokoju. Rzeczy, które do niej należą i rzeczy, które do niej nie należą. Przez kilka minut patrzył na notyskę w czerwonej skórze oprawną z wyciśniętą na wierzchu cyfrą. Pani Róża przeczytawszy jakieś ceny modniarskie, rzuciła ją niedbale obok siebie.

Upajał się muzyką jej głosu, słowa dźwięczne, melodyjne płynęły w powietrzu zmieszane z wilgotnym zapachem jej oddechu. Karol czuł je na twarzy, jakby łagodne dotknięcie

miękkiej gazy, napojonej wonią. Z rozkoszą słuchał, kiedy czytała głośno z przyniesionego przez Felcię Bazaru: Fichu Kragen aus crêpe-lisse und Spitze. Einem, czterdzieści dwa centim. weiten, dwa i pół centim. breiten Bündchen aus Steiftüll setzt man am oberen Rande, pięć centim. breite, in Tollfalten geordnet am unteren Rande ośm centim. breite, in Plissefalten gelegte Spitze an.

Czytając polskie cyfry w tekście niemieckim patrzyła na Karola z uśmiechem, jakby szukając przebaczenia za to kalczenie języka, on wówczas śmiał się z przymusem i nie wiedział co robić z rękami.

Po wyczerpaniu przedmiotu panie rozbiły się na dwie grupy. P. Róża przysunęła się naturalnym ruchem do Karola.

— Ogromnie musiałyśmy pana znudzić naszą rozmową. Już to nasza wada nie do wyleczenia, że wiecznie mówimy o strojach.

— Pani — bąkał Karol — ja... doprawdy nie znudziłem się, owszem bawiłem się prawdziwie, że doskonale... — słowa nie szły mu do ust.

— Chyba bawiła pana nasza słabość. Wy panowie lubicie wyszukiwać w nas ujemne strony; pewna jestem, że mi pan zaprzeczysz, ale z góry nie przyjmuję zaprzeczeń.

Pozwoliłby sobie język wyrwać za półgodzinny dar czarodziejskiej wymowy; nic nie odpowiedział, bo pewien był, że powie nie do rzeczy. Pani Róża dojrzała jego zakłopotanie.

— Nie robię panu wyrzutów, pan może lepszy jesteś od drugich, ale pan się popsujesz! popsujesz się pan jeszcze...

Karol zdobył się wreszcie na komplement.

— Niech pani mi wierzy, że gdybym nawet ugrzązł był dawniej w tej zbrodniczej przywarze, to dziś tu musiałbym się z niej stanowczo wyleczyć.

Poczuł, że mu lepiej iść zaczyna, nieszczęściem pani Nelczowa oderwała od niego Różę, wołając ją na pomoc do zatrzymania Lodzi, wybierającej się koniecznie do domu.

— Nie pójdziesz, nie pójdziesz, powiadam ci, że nie pójdziesz.

— Ależ na miłość boską, puść mnie pani, bo Ludek chory i wieczorem mu chodzić nie wolno.

— To pojedzie, to go odniesiemy w fartuszk. ale zostańcie.

Lodzia całując panią zdołała się wreszcie wyprosić, pobięła do drugiego pokoju i męża ożywionego rozmową wzięła za rękę.

— Chodź! chodź! nudziarzu, bo całą noc znowu będziesz kaszlał — i ciągnęła go z udaną surową miną. Pan radca zawołał:

— Ha! ha! to kawaler pod pantoflem, tak wczas cię osiodłała, i tobie chce się stawać do walki z ministrami, jakeś mi to rozprawiał. Ha! ha! — Uściskał ich oboje. Na wychodnym państwo Nelczowie zmusili Karola do dania słowa, że będzie u nich często bywał, że o nich nie zapomni. Pani Róża podała mu rękę, on pocałował ją w zapale przez rękawiczkę i cofając się nadepnął żółtego pieska, który z wyciem odskoczył na bok.

Wreszcie wszyscy troje znaleźli się na ulicy. Lodzia prowadziła Ludwika pod jedno ramię, Karol pod drugie.

— Nie zadurz się też Lolu w cioci Róży, bo to niebezpieczna wdówka, niejeden już tam sobie opalił skrzydełka, nic nie wskórawszy.

— Zaczna kobieta — mówił Ludwik — mówił mi radca, jak ona dzieci ich kocha, jak dobrze wpływa na Felcię, która ma usposobienie ponure i opryskliwe, choć to tylko wiek taki Felci, a nie stała przywara.

Karol dziwnej doznawał rozkoszy mówiąc o Róży całkiem obojętnie, nawet żartobliwie. Na ulicy przybyło mu dowcipu i werwy. Lodzia dawniej mało ją znała, spotkała się z nią w Warszawie, kiedy była jeszcze zamężną. Karol odprowadził Ludwików do domu i mimo zaprosin poszedł do siebie, pożegnawszy ich na progu. Postawił kołnierz do góry, schował ręce do kieszeni i szedł po chrupiącym śniegu. Mijały go szeregi powozów, sunąc bez turkotu po utartej drodze, sanki dzwoniły przeciągle, przelatując obok niego, migąły mu pod oczyma siedzące w nich kobiety w białych wełnianych chustkach na balowej fryzurze, przechodzili robotnicy fabryczni krokiem ciężkim, rozmawiając głośno i spluwając przez zęby. Wieczór zimowy budził wesołość, ludzie spieszyli do ciepłego kąta, do wesoło trzaskającego ognia, kawałki szronu okrywały dzwonki od kamienic, osiadając w drobnych igielkach, niebo było pogodne, rozjaśnione ogromną tarczą księżyca, otoczonego sferą różową (widać zanosiło się na mróz), chmurki latały lekkie, przejrzyste, chowając się za czarną wieżę gotyckiej katedry.

Karol marzył z uszami schowanymi w kołnierz. Marzył o Róży. „Co ta kobieta z czarnymi oczami, w wielkim pluszowym kapeluszu o mnie pomyślała sobie? Znalazłem się

jak dzieciak, ni w pięć ni w dziewięć plotłem, pocałowałem ją przez rękawiczkę, potem o mało się nie przewróciłem. Co ona o mnie pomyślała, czy myślała choć chwilkę, o czym teraz myśli, co robi teraz? Pewno rękę trzyma na stole i suwa nią delikatnie nie wiedząc o tym, że porte-bonheur brzęczy posuwając się powoli. O czym ona zawsze myśli? Ludzie za nią szaleli, Lodzia mówiła; jacy to ludzie?” — Stały mu przed oczyma buduary półciemne, przejęte łechcącą wonią. Róża leży na kozetce, a obok niej z nogami stulonymi, ze składanym kapeluszem na kolanach, wysoki blondyn we fraku, ręką gładzi gęste bokobrody i poprawia binokle, cedząc słowa grzeczne, wystudiowane, za którymi kryje się otchłań namiętnych żądź. Róża igra jego wołą, jak wachlarzem z kości słoniowej. Na balu gorąco gazowych lamp osadza przeźrocyste krople potu na obnażonych plecach kobiet. Róża przy tonach walca „An der blauen Donau“ oparta na ramieniu smukłego oficera płynie po sali, omdlewająca z upojenia głowę spuszcza na dół, a na łabędziej szyi tworzą jej się rozkoszne fałdy. „Czy ją kto całował... ach! musiał ją ktoś całować, czy w te usta pełne, czy w szyję, czy w oczy gorące, podobne do brylantów. Ona minie mię obojętnie, jak się mija kamień podróżny lub sztachety ogrodowe“.

Wiatr zawiął nań silniej. Pospieszył ku domowi żywiej. „Tu zimno, jutro wykłady, bilard, obiad w restauracji, kelnerka w brudnej sukni ze skórzanym workiem pod fartuchem brzęczy miedziakami i woła: Adolf trzy wołowe, siedm piw dużych. — Otrząsnął się z obrzydzenia. Przypomniał sobie czytany romans. Stał pod domem: — Ach! żeby choć Ignaca nie było, może nagniotki będzie wycinał, to wyrzucę

go od siebie“. Ignaca nie było, zapalił lampę, od niej cygaro i zaczął się przechadzać po pokoju, stanął przed lustrem i patrzył długo na swoje odbicie. „Oczy duże, ciemno-niebieskie, matka tak je lubiła całować, familijne; nikt mi tu nie mówił, że są familijne, Emma je chwaliła przecież. Eh! Emma, do diabła z nią, wszetecznicą“.

Podgarnął włosy do góry, wąsiki kręcił i rozczesywał zaczątki ciemnej brody, poprawił krawata i znów patrzył się w siebie. Zbliżył się tak do lustra, że wreszcie pokryte parą straciło swój połysk i nie widział się więcej w nim, puścił kłęb dymu i przeszedł się po pokoju, patrzył na swoje stopy ubrane w wąski trzewik, oglądał ręce, czyścił paznokcie i przypatrywał im się do światła. Czy on tylko posiada warunki zmierzenia się z dawnymi wielbicielami Róży, czy może dla niego taka kobieta się zapomnieć? Przypomniał sobie pana Cezarego, który bywał u jego rodziców, kiedy on był jeszcze dzieckiem, słyszał jak mówiono, że za Cezarym szalały kobiety. Cezary miał bujne płowe włosy skrócone wspaniale nad białym czołem, oczy głębokie; nieraz godzinami patrzył na te oczy raz czarne, raz niebieskie. Cezary był tak wysoki, że ojciec sięgał mu po czoło, a ojciec wysoki. Czy on choć w części równy Cezaremu, zresztą czym oczaruje Różę? słabo zna literaturę, nie potrafi mówić o sztuce, nie podróżował za granicę. Zresztą skądże by kobieta taka staranna, na której pyłka nie spostrzegł, taka czysta, wonna, schludna, taka spokojna i poważna, miała dopuścić do spoufalenia; ona pokus chyba nie ma żadnych, a jednak oczami czasem tak palić umie, świdrować! Marzył do późna, znużony poszedł spać, nie słyszał nawet, kiedy Ignac wrócił do domu.

Gały dzień następny był jakiś dziwny. Zdawało mu się, że między ludźmi a nim stała jakaś tajemnica, ale jaka? jak to opowiedzieć? nie wiedział. Płaskość Ignaca raziła go, pospierał się z nim o spluwanie przez zęby na ścianę i ciągłe utyskiwanie na paroksyzm bólu zębów. Czuł się prawie obrażonym, że Ignac nie mówi mu o pani Róży, nie stawia horoskopów na przyszłość, że traktuje go tak poufale jak dawniej. Poszedł do Ludwików, Ludwik spał, a Lodzia siedziała przy oknie z delikatną robótką. Zaczęli mówić, skierował na panią Różę, Lodzia opowiadała mu o niej, on śmiał się ironicznie z pochwał, ale każdy fakt utkwiał mu w pamięci; słuchał co mówiła o jej nieboszczyku mężu, o pierwszej znajomości z nią. Ludwikowie nazajutrz mieli wyjechać. Pożegnał się z nimi i wyszedł na przechadzkę. Chodził po mieście, znajomych mijał obojętnie, zapraszano go na bilard, ale nie poszedł. Chciał lecieć do radców, może tam Różę spotka. Wstydził się jednak pójść, nie wypadłoby po wczorajszej wizycie. Zastanawiał się, czy byłby zdolny poświęcić konwenans dla swych uczuć. Czuł, że nie, że byłoby to śmieszne, zabiłoby go w opinii.

Ale jutro, pojutrze pójdzie... Zresztą Różę może spotkać na mieście, chodzi pewnie do kościoła...

Rozglądał się po przechodzących osobach, sądził, że za chwilę pokaże mu się wielki kapelusz pluszowy z czerwonym piórem. Czy wypadłoby mu do niej się zbliżyć? Ale co do niej mówić? Widział nieraz, jak jego koledzy spotykali znajome panie i szli razem z nimi, a jednak serce mu biło na myśl, żeby się miał na to odważyć. Może później, jak ona go lepiej pozna, spoufali się z nim, ale teraz... nie, nie... i poszedł do domu i nudził Ignaca do późnej nocy.

W parę dni Karol wybrał się do radców, spodziewając się zastać tam p. Różę. Biła godzina szósta, kiedy wchodził na ciemne schody. Rodziców nie było w domu, zastał tylko Stasia i babcię, złożył jej swoje uszanowanie, klnąc los zawistny. Słuchając staruszki, topił się myślą w wspomnieniu głosu, który przed tygodniem dolatywał z jadalnego pokoju. Staś kręcił się, zawołała go sługa: „Panie Stasiu! bo pan prefesur przyszedł”.

Rzeczywiście do pokoju wszedł Dauksza, skłonił się z szacunkiem babuni, ze zdziwieniem powitał Karola i wzięwszy Stasia za rękę wyszedł. Po chwili dochodziły urywane słowa: — Stasiu! uważaj, bo sto razy jednego powtarzać nie mogę. Supinum kończy się na tum, od amo, amatum, od navigo, navigatum, jakże będzie od spero?

Karola nudziło to bardzo, nie przyszedł tu słuchać o supinum ani opowiadań o zdrowiu babuni. Siedział na niskim krześle z rękami splecionymi, zapatrzony w końce wyciągniętych nóg. Chciał już wychodzić, kiedy usłyszał dzwonięcie do drzwi. Przyszły panie: w okryciach, z pakunkami w rękach weszły do pokoju babuni. Naprzód wbiegła Felcia, zobaczywszy go przybrała sztywną minę, potem pani Nelczowa i Róża. Jakaś świeżość zimnego powietrza weszła razem z nimi, trzewiki nosiły na sobie ślady śniegu, Panie strząsały go tupiąc lekko w ziemię. Powitały Karola jak znajomego. Korzystając z pewnego spoufalenia, pomagał im zdjąć futra. Róży portebonheur zaczepił się o rękaw, Karol pospieszył skwapliwie z pomocą i pochylił się tak, że włosami dotknął ramienia. Cofnął szybko głowę, jakby bojąc się swego zuchwalstwa. Felcia wyniosła futra z poważną miną. Panie przed lustrem

poprawiały włosów. Karol cieszył się tym wtajemniczaniem w szczególności toalety, uważać się zaczął za domowego. Rozmawiano o Ludwikach, o zdrowiu męża i o dobroci młodej żony, potem o karnawale a pani Nelczowa dziwiła się, że Karol jeszcze tego roku nie tańczył.

— Pohulasz pan u nas — dodała — bawimy się skromniutko, po cichu, ale do samego rana. Po białym mazurze daje wszystkim bigosu i wyprawiam do domu.

Przeszli do jadalnego pokoju. Panie zasiadły przy wielkim stole pod lampą i z robotkami w ręku rozmawiały. Karolowi rozwiązały się usta. Opowiadał o domu, o rodzicach, o swoim dzieciństwie. Czasem nad jednym szczegółem rozwodziła się pani radczyni, mówiła:

— Moja Fela, to do trzeciego roku nic mówić nie chciała, baliśmy się o nią z mężem.

Felcia spuściwszy głowę nic nie mówiła. Pani Róża mówiła o rzeczach praktycznych i łatwych, ani razu nie dotknęła kwestii, których lękał się Karol. Była chłodna i spokojna, żaden cień nie przesunął się po jej czole. Czasem kładła na stole robotę, gładziła ją białą dłonią i przypatrywała się jej pochyliwszy głowę. Zdawała mu się niedostępna, nawet kiedy mówiąc coś, patrzyła mu prosto w oczy i słowo jakieś powoli, jakby z rozmysłem wygłaszała swym dźwięcznym głosem. Karol spuszczał oczy i zamyślał się, czy ta kobieta żyła kiedy sercem, czy to białe czoło marszczyło się kiedy a pierś falująca spokojnie czy poruszała się pod naciskiem uczuć. Czuł się obok niej dzieciakiem.

Przyszedł pan radca, powitawszy Karola wyszedł się przebrać i po chwili wrócił w długim wygodnym surducie. Nało-

żył fajkę i puszczając kłęby dymu opowiadał o sesji popołudniowej:

— Wiecie państwo, że prezydent nie ma chyba honoru, jak Boga kocham, takie mu rzeczy w oczy radcy mówili. Naczelnik czwartej sekcji wręcz oświadczył, że na prezydialnym krześle powinien zasiąść pan sekretarz, bo on jest naczelnikiem pretoriańskiej straży. Ale, ale, sędzia Z. poszedł w odstawkę, jak Boga kocham, ten człowiek sam się zgubił, nie dba na dzieci, na żonę, na wiek swój poważny, ale kompromituje się przez takie gadania, jak nie przymierzając pan Dauksza — rzekł po cichu, pokazując palcem na sąsiednie drzwi i rozwodził się długo nad gadaniami sędziego.

— Bo mój panie kochany, ja sam w roku 46 i 48 należałem do ludzi postępowych, robiło się też coś, śpiewało, ale to do rzeczy nie należy. Ale żeby dziś, kiedy rząd tyle dla nas robi, kiedy teki piastują nasi rodacy, żeby dziś człowiek starszy z takimi opiniami się wyrывał, to darujcie państwo — i ręce szeroko rozłożył. — Co to za przykład dla młodzieży, weź pan — dodał zniżając głos — Daukszę, chłopiec zdolny, nie przeczę, pracuje, lubię go nawet, ale jak się odezwie, to Boże zmiłuj się! Powiadam panu, radykał, skończony radykał, nic tylko włóż mu nóż w garść, a pójdzie mordować jednego starostę po drugim; tacy ludzie to prosto pod tusz, wodą oblać, ochłodzić, może by co było z tego, tacy ludzie nas zgubią! Nie ma wiary, nie ma nic. On w Darwina tylko wierzy, w glisty, ładny mi dziadek, glista! — i puścił kłąb dymu.

Rozmowa stała się ogólną. Panie wysłuchawszy obowiązkowo poglądów radcy, skierowały rozmowę na tory przystępniejsze, Karol ożywił się i kilka razy zrobił dowcipne uwagi.

Sługa przysłała z obrusem, nakryła stół i porozstawiała talerze z zielonymi obwódkami, noże, widelce, wniosła wielki samowar i ustawiła go na stoliczku koło pani. Felcia zerwała się i pobiegła do drugiego pokoju: „Proszę panów do stołu“. Staś rzucił na nią kulkę papierową, ona zarumieniona i uśmiechnięta zawołała: „Stasiu! wstydz się“ i szybko skłoniła główkę przed Daukszą, który złożywszy książkę, podniósł się ciężko od stolika i oddał jej poważny ukłon.

Staś usiadł obok ojca i cioci Róży. Dauksza, powitawszy Karola, obok niego. Pani Nelczowa z półmiska kładła na talerz naprzód dla babuni i posyłała przez Felcię; był to jej przywilej, ona babuni służyła. Radca rozmawiał z Daukszą.

— He! cóż? panie Dauksza, nie ma co mówić, ładnie się panowie spisujecie, rektor dostał podobno poufną nagane, że pozwala wam brykać. Jakiś z pańskich przyjaciół podobno bezwyznaniowym się ogłosił i miał innych zachęcać do tego samego?

— Przesada, panie radco! tak nie było! powiedział, że jest agnostykiem i to w otoczeniu ludzi, których podobne słowa zgorszyć nie mogły. Pochwalam mu to, bo wolę, że jest otwartym, niż żeby miał być hipokrytą.

Panie spojrzały po sobie znacząco. Pani Nelczowa nie mogąc wytrzymać odezwała się:

— Wiem ja, żeście panowie bardzo a bardzo mądrzy, gdzie mnie tam mierzyć się z wami, ale mój panie to nieładnie odgrażać się przeciw księżom; jeden miał powiedzieć: że na krzyż napluć, to nic złego, bo drzewo cierpliwe... Rozumiem mój panie, że młodzi ludzie niekoniecznie muszą zaraz księ-

dza każdego w rękę całować. Ksiądz może być zły, bo to człowiek, ale religia to nie żarty...

— Pani — odezwał się zimno Dauksza — my nie napadamy osób, szanujemy jednostkę, ale w imię nauki dopominamy się w zamian szacunku dla jej wielkich zdobywczy; chcemy spokoju, kto go nam maści, kto bałamuci opinię publiczną dla korzyści jednej kasty, temu nie wybaczymy.

Pani Nelczowa nie odpowiedziała nic, zwróciła się do cioci, która z wielkim taktem mieszała herbatę i zagadała o czymś innym. Radca machał rękami, bił w stół. Dauksza odpowiadał mało, ale stanowczo. Sprzątnięto ze stołu, postawiono szachownicę i druga wojna się zaczęła. Karol patrzył na partię, radca gwizdał, namyślał się długo i ze złośliwym śmiechem posuwał figury:

— Ha! mam cię! — wołał bijąc laufrem. Dauksza spokojnie brał laufra i szachował równocześnie króla i królową.

— Stój no pan! co to za rabunek! ja cofam, cofam! to tak na próbę.

Znudziło to Karola, przysunął się do Róży, zaczęli rozmowę, była na niego łaskawa, ożywił się, mówił wiele, ale chwilami był nieśmiały jak dzieciak i wodził oczyma po obecnych czując na sobie chłodny, uprzejmy wzrok p. Róży. Patrzył na panią Nelczowa, szyjącą na maszynie obok stołu, na Stasia, który małe, podbite oczy przecierał i mrugał krótkimi powiekami, na Felcię czytającą z zaciśniętymi ustami, na dasającego się radcę i poważną twarz Daukszy.

Godzina dziewiąta wybiła na wiszącym w szklanej szafce zegarze. Dauksza dał radcy ostatniego mata, wstał, ukłonił się wszystkim i wyszedł. Felcia wiodła za nim oczyma, matka

kazała jej przynieść od babci motek nici nr 54. Pobiegła a po drodze we drzwiach podała rączkę Daukszy.

Po wyjściu Daukszy rozmowa toczyła się o nieobecny. Radca nazywał go dobrym chłopcem, ale z przewróconą głową, radczyni przyznała mu, że jest doskonałym nauczycielem, ale człowiekiem przewrotnym, złym. Mimo to nikt nie poruszył pytania, czemu od trzech lat co dzień do nich przychodzi, czemu uczy ich jedynego syna. Pani Róża zaczęła się wybierać. Karol sądził, że czas i jemu wyjść.

— W którą stronę pan idzie — spytała go, a nie czekając na odpowiedź dodała — może pan będzie tak dobry i odprowadzi mnie.

Jak pani pytać o to może — zawołał gorąco i dodał po chwili — wszak obowiązków nie trzeba przypominać. — Spojrzała na niego dziwnie.

Wyszli, sługa świeciła im po schodach, wsunął jej w rękę całego guldena. Szedł chodnikiem nieśmiało, nie wiedząc co mówić, śnieg skrzypiał pod nogami, latarnie rzucały jasne smugi światła. Pani Róża potknęła się i chwając się, oparła rękę na ramieniu Karola.

— A! grzeczny pan! byłabym się zabiła i nie ofiarować mi ramienia!

— Nie śmiałem pani proponować — rzekł gdy mu wsuwała rękę pod ramię.

— Ach! jaki pan nieśmiały, kto by przypuszczał.

Karol kłął w duchu, że nie wie co odpowiedzieć. Ona go zachęca widocznie, a on głupiec milczy jak zaklęty, ha!

Przechodzili jego koledzy, ukłonili się, odkłonił się i szedł dalej, było mu gorąco, doszli do końca ulicy, skręciła nim Róża w drugą, przeszli tę, skręciła w trzecią, on nic nie mówił.

— Patrz pan! — rzekła — tam mój dom — i wskazała na kamieniczkę, otoczoną ogródkiem ze sztachetami i zwolniła kroku. Karolowi mignęło się w oczach, nie poznawał jej. Czy to ta sama Róża, która taka spokojna, chłodna poruszała szydzielkiem, spuściwszy na dół oczy, siedząca za stołem obitym białą ceratą? Myślał ale nie mówił, zdobył się w końcu na pomysł i odezwał się:

— Czy bawi się pani dobrze tego karnawału? U państwa radców mówiły panie, że nie na wielu balach panie były tej zimy.

— Gdzie mnie się bawić, dawniej będąc panną dużo tańczyłam, dziś chyba pacierz mówić, lub przebierać koronkę — i patetycznie westchnęła!

— Jak pani może nawet tak mówić. Pani stworzona na to, aby błyszczeć w salonie, olśniewać...

— Panie! tylko bez komplementów, bo się pogniewam naprawdę, a ja jestem pańską przyjaciółką, opiekunką, musi pan być mi posłuszny, grzecznie sprawiać się z każdego kroku, słuchać a przede wszystkim nie prawić komplementów, a nie to kwita z opieki — i potknęła się o grudkę śniegu, przytuliła się do niego silnie.

— Uważaj pan, bo się przewrócimy i..., no! jesteśmy w domu. — Podała mu rękę, ucałował ją gorąco. Wyrwała mu ją.

— Idź pan spać. — Otworzyła furtkę i wbiegła szybko na małą terasę przed domem. Karol stał z czołem przyciśniętym

do żelaznej sztachety. Przeklinał potem swoje niedołęstwo, że nie umiał korzystać ze sposobności.

Stanął przed domem swoim i wywindował się na górę. Ignac wycinał odciski.

— Wiesz wyciąłem tego szelmę, tego psa, co mi spokoju nie dawał.

— Idź do diabła z twoim odciskiem.

— Nie mówi się odcisk, ale nagniotek.

— To idź do diabła z twoim nagniotkiem.

— Tak, to co innego, coś ty taki struty, pewno zgrałeś się w bilard.

— Może być... — i zaczął się przechadzać po pokoju. Ignac skończył operację, obtarł brzytwę i schował. Karol zbliżył się do niego. Znał praktyczny jego pogląd na świat, chciał mu się wynurzyć, tajemnica ciążyła mu. Opowiedział mu wszystko, omawiając rzecz tajemniczo nie kłamiąc niby, a jednak starając się więcej niż było dać do poznania.

— No! dobrze! dobrze! — mówił Ignac — to już coś, kobieta z głową, pójdzie to piorunem, tyś głupiec, szczęście lezie ci w ręce, nie bój się, nie potrzebujesz robić zachodów, lepiej ci nawet grać rolę niewiniątka, dasz się interesująco zbałamucić. Karol powątpiewał głośno, ale Ignac nie ustępował. Karola cieszyło to wielce.

.....

Karol zaczął nowe życie. Od kolegów odsunął się jeszcze bardziej, nawet od swojego kółka. Kiedy go spotkali, mrugali do niego znacząco. „Bedeutend — mówił Jaś Z. — mężatka! co?” Karol nic nie odpowiadał, ale się uśmiechał... „Masz szczęście... och! ta prowincja, kasuje nas ciągle” — żalił się Jaś

i rozstawali się. Karol urósł w ich opinii; nie chcąc jej tracić, nic o sobie nie mówił, otaczał się tajemnicą. Ale cieszył się, szalał z radości... mówiono o nim, że ma romans z kobietą z wyższego towarzystwa, zameżną!... Kupił sobie fotografię Róży i co wieczór ją oglądał, zaczął czytać powieści francuskie, chodził na koncerty i do teatru, spodziewając się tam spotkać panie. Ostentacyjnie wyprowadzał je, a kiedy koleżdy patrzyli, pochylał się nad Różą i szeptał do niej poufale. Mimo to rzeczywiście nie posunął się dalej jak tego wieczora, kiedy ją odprowadzał do domu. Odprowadzał ją teraz prawie co drugi dzień, mówił swobodniej, całował jej ręce na rozstaniu, ale równie obcym był jak z początku; olśniewała go swym majestatem, wielkością.

Tymczasem w kołach studenckich zaczęło się jakieś gorące, nowe życie, ruch niezwykły. Kiedy Karol zabłąkał się czasem na wykład, widział jak przed lekcją na katedrze stawał jaki z kolegów i z rozognioną twarzą przemawiał; mówił wśród grona słuchaczy o polityce starszych, o nowych potrzebach nauki, którą wiążą scholastyczne formuły panujące w kraju, broniące przystępu nowym prądom z zachodu, mówił o celach, jakie sobie młodzież powinna postawić, żeby wybrnąć ponad poziom codziennego życia, upatrujący w zaspokojeniu potrzeb osobistych szczyt marzeń. Rozwijano niejasne wskazówki, jakie Dauksza rzucił na sławnym komersie w październiku. Zdawało się, że nowa jakaś epoka, jakieś przebudzenie nastąpiło, że młodzież rozpocznie świeżą erę, która pochłonie w sobie wszystkie błędy przeszłości, a wystąpi z niepokalaną chorągwią miłości i postępu. Instynktowo skupiano się razem, czytano, spierano się i objaśniano. Kry-

tyka stosunków krajowych była na porządku dziennym, jej poświęcano najwięcej starania, chwymano też bez wyboru wszystkie dzieła nowe, ze znakiem zagranicznym, wciągając w siebie chciwie ich treść. Imiona Spencera, Milla, Littré'go, Darwina, Haeckla mieszały się z publicystami krajowymi, tworząc podkład do nowych przekonań. Młodzi wstydząc się swej nieświadomości gonili nocami postęp, pragnąc uzupełnić swe braki. Wyłaniała się spośród tego chaosu niejasna, niepochwytna myśl nowych zadań i nowych obowiązków. Prócz niewielkiej garstki, nikt nie wiedział o co idzie, lecz szło się, bo potrzeba czegoś nowego wisiała w powietrzu.

Schodzono się w mieszkaniach na odczyty, po których następowały zaciekle sprzeczki. Występowano przeciw romantyzmowi, który powodzią utartych, uczuciowych frazesów miał być główną przeszkodą do rozwinięcia realnego działania. Ruch panował wszędzie, jedni uczyli się od drugich. Niektóre wykłady, nie uczęszczane dawniej, ścigały obecnie masę słuchaczy. Po wyjściu porównywano słowa profesora z nowymi naukami i zapuszczano się w długie komentarze. Pod tymi rozlicznymi wpływami tworzyła się ogólna atmosfera, zacieśniały się stosunki, a rozjaśniały głowy; wielu po raz pierwszy musiało zastanawiać się i myśleć, by w ogólnym wirze zdołać się rozpatrzeć. Dauksza bywał często na podobnych zebraniach, do niego udawano się po radę, na niego patrzano jako na jednego z przedstawicieli ruchu, on chłodził zbytnich zapaleńców i nieraz surowo szydził z tych, którzy dla nowych ideałów zaniedbywali obowiązki powszednie, opuszczali lekcje. Późno wieczorem wyszedłszy z piwiarni niemieckiej, z ogniska, w którym się zwykle schodzono, błą-

dzili młodzi przy świetle księżyca po opustoszałych alejach, budząc podejrzenia w stróżach nocnych i patrolach. Najdziwniejsze pomysły rozlegały się pod arkadami nagich gałęzi. Uwaga powszechna skierowała się ku nowo założyc się mającemu towarzystwu oświaty ludowej. Od razu postanowiono opanować zarząd, wprowadzić do niego swych przedstawicieli i pokierować działaniem stowarzyszenia w duchu postępu. Jednym z pytań było, jaki stosunek do religii mają zająć. Nie uznając jej za potrzebną dla siebie, bo zasady wyrozumowanej etyki przyjmowano jako wystarczające zupełnie, zastanawiano się, czy lud można od razu pozbawić religii, czy brak podstaw prawdziwie moralnych dozwoli na taki skok nagły... Znaleźli się ochotnicy, którzy wzięli na siebie obowiązek wygotowania broszur ludowych. Ignac, który zawsze starał się płynąć z prądem, od razu przyłączył się do postępowego obozu, zachowując jednak umiarkowanie. Ambicja jego znajdowała pociechę pośród ludzi, którzy nie pytali o przeszłość, ani o klasę, z której pochodził.

Czuł, że wiele zyskać tam może; raz zabrał Karola na jedno zgromadzenie, ale później już mu się to nie udawało. Nieraz potem rozwijał przed nim zasady, wyniesione z takich zebrań a zastosowane do własnego sposobu myślenia. Z jadem na ustach piorunował przeciw duchowieństwu.

— Nienawidzę tej kasty mandarynów — szeptał przenikliwie.

Karola nie bawiło to wcale i trzymał się od całego ruchu daleko, nikt porządny w to się zresztą nie mieszał. Jaś Z. kpił z reformatorów i zaręczał, że policja wdać się w to musi. Nie biorąc udziału w gorączkowym życiu kolegów zatapiał

się w swoje marzenia. W domu radcy stał się codziennym gościem. Uprzejmy, spokojny zdobył sobie powszechną sympatię, był u nich jak w domu. Wieczory stałe u nich przepędzał. Przyzwyczał się do rozpraw radcy, który spierając się z Daukszą często się na niego powoływał.

— Mówisz pan! panie Dauksza, że każdy młody musi zajmować się polityką, sposobić się do służby obywatelskiej. Patrz pan na Karola, chłopak na swoim miejscu, wykształcony, pracuje w swojej nauce, a od was z daleka się trzyma; zobaczysz pan, że lepiej na tym od was wyjdzie.

Dauksza nic nie odpowiadał. Dauksza był nielubiany, obmawiano go. Raz Felcia ujęła się za nim. Matka nazwała ją smarkulą. Zacięła usta i przez cały wieczór się nie pokazała. Siedziała u babuni. Już to nieraz pani Nelczowa zwracała uwagę na objawy pewnej zyczliwości u Felci dla Daukszy. Opryskliwa i milcząca, ożywiła się obok niego, była dla niego uprzejma. Ciocia Róża, która Daukszę lekceważyła, upominała ją nieraz z tego względu. Dauksza nie miał u cioci łąsk żadnych. Nikt nie wiedział dlaczego. Dauksza był dla niej zawsze grzeczny. Przeszłego roku odprowadzał ją nawet często wieczorami do domu, ale to z czasem zerwało się i ciocia nigdy go już o tę przysługę nie prosiła. Raz nawet będąc w kłopotcie przymówiła się o to radcy, który niechętnie musiał się zbierać i wychodzić późno z domu, mrucząc wyraźnie, że przecież młodsi powinni spieszyć na usługi dam. Dauksza był jednak niedomyślny, przynajmniej wówczas. Od czasu poznania Karola nie było o to nigdy kłopotu.

Dauksza mimo tego wszystkiego, nie dziękował za lekcję, trzeci rok uczył Stasia, choć Staś był leniwy i niegrzeczny.

Nieraz kiedy pani radczyni w domu nie było a Staś wybiegł z domu, czekał na niego Dauksza całymi godzinami. Felcia przynosiła mu dziennik i mówiła, że Staś za chwileczkę przyjdzie. Po chwili wracała ze ściereczką i pilnie obcierała książki jedne po drugiej. Zaczynała się między nimi rozmowa. Wielki mówca i przewodnik młodzieży, stał oparty o komodę i mówił cichym głosem z zarumienioną Felcią.

Panie Szymonie! — szeptała Felcia, bawiąc się ściereczką — już skończyłam Psalmy przyszłości, bardzo! bardzo mi się podobały... a panu czy także?

— A co pani się tam najwięcej podobało?

— Ta myśl o duszach, które jak liście zwiędłe rzucają jedne kształty po drugich i dążą do doskonałości, coraz lepsze, coraz piękniejsze; albo ja wiem zresztą co? Śliczne i koniec, nie potrafię panu tego powiedzieć, a zresztą pan by się śmiał ze mnie.

— Panno Felicjo! pani wie, że ja nigdy się nie śmieję, a tym mniej z pani.

— Bo to widzi pan, nieraz kiedy siedzę z książką i czytam te śliczne utwory, to mi jakoś tęskno się robi... zapominam o mamie, o cici, o Stasiu, a chciałabym gdzieś lecieć, daleko, daleko. Kocham ich bardzo, a przecież czegoś mi z nimi brak, czuję, że prócz roboty na kanwie, prócz zabaw, jest jeszcze coś na świecie... Chciałabym zrobić co takiego, żeby już ludzie nie cierpieli, nie płakali, żeby wszyscy byli szczęśliwi; nigdy nie wydają mi się ludzie tacy, jak są naprawdę, ale jacyś biali, dobrzy, świecący, ale może to źle, może ja źle robię...

— Nie pani! budzenie się uczuć ludzkich, podniosłych nigdy złe nie jest, jest to chwila wielka, kiedy obudzi się

czucie, że jest się częścią wielkiej rodziny ludzkiej, że żyć i cierpieć dla drugich jest obowiązkiem. Znam ludzi, którzy siwe mają włosy a nigdy tego bicia serca nie poczuli, którym wyobraźnia nigdy nie trzepotała skrzydłami w ciasnej klatce codziennych pragnień.

— A więc i pan nieraz czuje ten ucisk, to pragnienie za czymś, czego się nie zna.

— O czuje, czuję, może silniej niż pani, ale pamiętaj pani, panno Felicjo, że w tym siła leży, żeby nie dać się unieść na manowce, to zwodnicza droga, bierze się rozbrat ze światem, z realnymi potrzebami, a zatapia się w świat wymarzony, bezowocny. Będzie się kwilić, żalić, ale nic się nie zrobi. To jest egoizm, może nieco ubrany, umalowany, ale zawsze egoizm. Nie marzyć trzeba, ale działać, pracować, poświęcać się...

— Ale jak! jak? co ja zrobić mogę, dziś mój panie minęły czasy Joanny d'Arc, ja mam chęć, zapał, ale nic zrobić nie mogę; jak się poświęcić, dla kogo, w jaki sposób? Czy powie mnie to kto? Cioci z tym się nie zwierzam, mamie nie śmiem, może by mnie zburczała, że panienka o tym myśleć nie powinna.

— Ja pani dziś tego powiedzieć nie umiem i nie mogę, ale sama pani kiedyś trafisz na właściwy kierunek, potrafisz pani pogodzić podniosłe marzenia z rzeczywistością, a to właśnie nazywa się szczęście...

— O ja nie będę szczęśliwa, mam takie usposobienie, że nie cieszy mnie to co mam, czasem na chwilę zaspokoi mnie, ale nie na długo, moje uczucia nie spełnią się...

— Kto to wie? Kto to wie? — i stali długą chwilę bez słowa, mrok zapadał, zegar głośno znaczył ubiegające chwile.

Dauksza czuł gorąco, stawał mu na oczy jego pokoik na trzecim piętrze, matka wdowa z trzema córkami, które szły do późna w noc i marzyły. Felcia stukwała palcami w komodę i patrzyła się w ziemię nie podnosząc oczu na Daukszę.

— Może kiedyś jasno pani spojrzysz na to życie, na jego cele, na obowiązki, może pani mnie lepiej rozumie, ale dziś wierz mi pani, panno Felicjo, że wstydzisz się pani nie potrzebuje, chyba innych zawstydzisz, zresztą nie wszyscy panią zrozumia. — Słychać było hałas na schodach! Staś wpadał zdyszany i wołał:

— Panie Dauksza, żyjemy, Świniarski ma jutro imieniny, szkoły nie będzie, damy mu pierścionek z niebieskim kamieniem, chodziłem z innymi kupować, nie trza robić dziś tłumaczenia. — Felci już nie było w pokoju.

Zresztą Dauksza był sprzętem. Nie robiono sobie z nim ceremonii, ale doznawał grzecznego obejścia. Z Karolem był dość zimno, mało mówili ze sobą i mało się widywali. Na ulicy prawie wcale, a w domu państwa Nelczów tylko przy herbacie i to Dauksza był zajęty radcą, a Karol paniami, Felcia pruć lub czytała nic nie mówiąc.

Pewnego wieczora pani radczyni odezwała się:

— Wiecie co państwo! Karnawał się kończy, musimy się zabawić, w tłusty wtorek zrobię balik, Fela ani nogą tej zimy nie ruszyła, a i ciocia i pan Karol jakoś się nie krzywią. — Radca nie oponował, był poprzednio już po rozmowie z żoną i przejął się przekonaniem, że tak będzie dobrze, że tak wypada.

Projekt przyjęto bardzo życzliwie, Staś szczególnie głośno objawiał swoje zadowolenie w tej mierze. Matka musiała mu

zrobić uwagę, że nie on tu dysponuje i że może być cicho, a zresztą iść do lekcji. Po uspokojeniu się, zaczęto układać warunki, kogo się zaprosi... Ułożono program. Dauksza wyszedł, a państwo rozgadawszy się nad programem przeszli do salonu. Pani Nelczowa i Karol nieśli lampy przodem.

— Fela zagraj no tego walca, co go masz od cioci.

Fela, nie lubiła grać tańców, uległa jednak życzeniom ojca. Matka robiła jej ciągle uwagi:

— Po co się tak garbisz, wyprostuj się — to znowu ganiła jej sposób siedzenia — widziałas Rubinszteina, jak siedzi na samym koniuszku krzesła, a ty panienka rozpierasz się jak stary Żyd.

Radca z rozjaśnioną twarzą wybijał takt nogami, potem wziął się w pół i śpiewając: ra ta ta, ra ta ta (ku wielkiej uciechu Stasia, który wołał: „Jakie też tatuś głupstwa wyprawia”) tańczył sam, a chustka wlokła się za nim po ziemi. Stał przed Karolem.

— A co to za młodzież, Boże zmiłuj się, a skoczże pan do cioci, pocałuj siarczyście w rączkę i puszczaj się...

Karol zakłopotany wymawiał się a ciocia śmiała się figlarne. Pani Nelczowa kiwała głową z udanym politowaniem. Felcia przestała grać, rozmowa toczyła się o urządzeniu sali.

— Tu powiesi się żyrandol. Pamiętaj Fredziu — mówiła pani radczyni do męża — jutro zaraz prosić naczelników o pożyczanie, fortepian cofnie się ku piecowi, serwantkę może by się wyniosło, a tam staną krzesła i fotele.

— A na nich będzie królować moja wielmożna pani — dodał radca z galanteryjnym ukłonem.

— O, pani twoja będzie miała roboty potąd — i pokazała palcem na wyciągniętą szyję.

Karol czuł się owianym przez ciepło rodzinne, był jak w domu, siedział ciągle przy cioci, a jednak martwiło go i dziwiło to, że ciocia taka serdeczna, taka poufała w powrocie do domu, tu jest dla niego bardzo grzeczna, ale i bardzo obojętna. Traktuje go jak starsza kobieta traktuje studentów. Cekał cierpliwie chwili, kiedy ją będzie odprowadzał. W pół godziny siedł już obok niej, czując ciepło jej ramienia wsuniętego pod jego ramię.

— Więc będziemy hulać i nie prosi mnie pan do żadnego kadryla, ani mazura. Biedna ciotka będzie się z kanapy przypatrywać, jak pan Karolek zabawia panienki. Ach! — i westchnęła.

— A czy wolno? jeżeli tak, to do wszystkich tańców panią proszę, zaklinam.

— O! do wszystkich, to chyba nie, bo mój panie łaskawy, trzeba i dla innych coś zostawić. Ha! ha! co by to za plotki były: p. Róża bałamuci młodego chłopca. Co, czy nie? Co by pan na to powiedział?

— Ja? a gdyby to była prawda, co by ludzie mówili, to bym może zwariował z radości, a swoją drogą wyzwałbym ich na pojedynek — zawołał gorąco.

— I z czegoż by się pan mógł tak cieszyć? Chłopiec taki ładny, miły, z pewnością tęsknić za bałamuceniem nie potrzebuje... Wszyscy pana lubią, kochają.

— Ja nie chcę, żeby mnie wszyscy kochali, ja nie chcę tego... wszyscy, co to jest...

— A o co panu chodzi?

Jemu krew w głowie szumiała, kręciło mu się w oczach. Schwycił przy świetle księżycy wpół Różę, tulił ją do siebie i wołał stłumionym głosem:

— Żeby mnie pani choć trochę kochała, choć trochę kochała.

Róża wymknęła mu się zręcznie, a kiedy on pochylony biegł ku niej, śmiała się do niego zalotnie i mówiła:

— Oj! wariacie; a dajżeż mi pan spokój. — Potem wzięła go za głowę, pocałowała w czoło, pogroziła palcem i znikła z oczu za sztachetami domu.

Karol do północy błąkał się po ulicach z rozpiętą odzieżą, z czapką w ręce, dopiero patrol przechodzący poradził mu iść spać. Posłuchał, poszedł do domu i położył się spać. Noc całą śnił o Róży.

A Róża tymczasem wróciła do siebie. W sypialni rozebrawszy się z okrycia i sukni, ubrana w biały strój nocny, siadła na niskim fotelu i długo patrzyła się w lampę z wielką białą kulą porcelanową. Chińskie figurki tańczyły na kuli nieruchomie, świecąc pstrą odzieżą i wywieszonymi językami... Na kominku żarzyły się wielkie kawały drzewa i rzucały jaskrawy blask na szeroki dywan rozestany na podłodze. Było cicho, tylko srebrny dźwięk zegarka stojącego na stoliczku przerywał głuchą ciszę. Stróż nocny przechodząc koło okien gwizdał przeraźliwie, dalekie głosy towarzyszków, odpowiadały mu od czasu do czasu. Róża siedziała z rozpuszczonymi włosami i topiła wzrok w chińskich figurkach. Czuła rozkoszne wrażenie uścisku Karola... marzyła...

To życie takie jednostajne, ciężkie. Wszędzie powszedniość, miara, naginanie całego świata po tę miarę. Argusowe

oczy opinii, plotkarskich sądów śledzą za nią, chciałyby jej wyzreć każdą tajemnicę z serca, zalać każdą iskrę pragnienia. A ona taka nieszczęśliwa, taka samotna, taka biedna. Nie wolno jej kochać.

Dawniej kochała. W różowej sukience pływała po stawie z młodym, o kruczych, włosach metrem muzyki, który szeptał jej zaklęcia miłosne w ucho. Bzy pachniały wokół, woń skoszonej trawy upajała, słońce łamało się na wodzie. On klęczał u jej nóg i wołał ochryplym z pragnienia głosem:

— Cara mia! rzuć tę wieś, rzuć ten świat zimny, jedź ze mną, uciekaj. Tam nad boską zatoką Napoli zaczniesz życie rozkoszy i upojeń pełne, jedź! jedź!

Potem Włoch ożenił się z jej ciotką, dużą, grubą, z łańcuchem złotym na szyi i przyjeżdżał czwórką koni a ona płakała po nocach. Rodzice sarkali na mezalians. Potem marzyła o Leosiu blondynku różowym, o kręconych pierścieniach włosów, który pisał do niej sonety i błędził pod oknami. Ale Leoś wyjechał i nie wrócił. Potem jeździł do ich domu z sąsiedniego miasta gruzyjski książę, kapitan jazdy. Przed gankiem spał konia, toczył nim jak szalony, a wieczorami śpiewał tęskne dumki, po francusku mówił paryskim akcentem.

Ale zaszła scena okropna, ojciec wrócił raz z oranżerii z rozognioną twarzą, a kapitan galopem odjechał bez pożegnania. Matka klękała przed ojcem, wlokła się za nim w długiej sukni po salonie i wołała:

— Jasiu! Jasiu! zabij mnie, ja nic nie winna, ja niewinna. Zaklinam cię na miłość córki naszej, na miłość syna, który jest na sądzie bożym, zem niewinna — i chwyciła go za ręce.

Późno wieczorem ojciec płakał i całował ją po włosach. Kapitan nie pokazał się więcej. I znów przypomniała sobie śmierć ojca, żółte świece, kir i zjazd sąsiadów. Powozy szły długim rzędem przez topolową aleję. Potem z matką wyjechały do stolicy, a matka mówiła jej, że wszystko straciły. Mieszkały rok u stryja. Potem wyszła za męża za bogatego wdowca, który sapiąc całował jej palce i przynosił bogate kolie. Przy ślubie mdlała, za granicą w czasie podróży bezmyślnie patrzyła na Belweder, na Zamek św. Anioła i czuła wstręt do człowieka, którego wargi miały woń trupią a włosy pachniały tłustą pomadą. Po nocach słysząc jego przewracanie się i stękanie płakała rzewliwie. Marzyła o dzieciątku, które by mogła pieścić, całować, myć, czesać, usypiać i z zazdrością patrzyła na młodą Szwajcarkę, która na pokładzie parowca na bodeńskim jeziorze jadła chleb z serem i karmiła różowe niemowlę. Wrócili do domu na wieś. Pałac wielki, wspaniały, służba w galonach. Porankami wyjeżdżała z młodym rządcą na spaceru konne, ośmieliła go do siebie, pozwoliła mu się uwieść. Na tego człowieka zlała całą swą miłość matki, kochanki i żony. On ją oszukiwał dla pokojówki, spoufaliwszy się, był grubiański. Nieraz chwiał się na koniu jak po bezsennej nocy, przepędzonej na hulance. Ona była ślepa na wszystko, jeden uścisk w leszczynie, przy chrapaniu koni i szmerze strumyka zacierał żal i gorycz. Ale rządcą coraz więcej ponawiał zuchwałe żądania pieniędzy i ona, która przez rok cała z dumy nie ruszała sumy ofiarowanej przez męża na szpilki, całymi garściami dostarczała mu pieniędzy. Rządcą za oszustwo dostał się do więzienia. Ona zaczęła wędrówkę za ideałem, rzuciła się w wir zabaw, pojechała z mężem do

stolicy. Po nocach szalała na balach, pokazywano ją jako lwicę, dwóch młodych ludzi zastrzeliło się dla niej, jeden rozwiódł się z żoną. Wachlarzem swym rozstrzygała ważne sprawy miejskie, wycięte kamizelki i lśniące gorsy drżały przed nią z namiętności i tęsknoty. Ideału nie znalazła, zaziębiła się i zachorowała. Przyszła do zdrowia, wyjechała na wieś, mąż jej umarł, zapisując cały majątek. Amatorów do serca i ręki ćmy kręciły się całe koło niej, ale ona była zboliała, zniechęcona, zaczęła kokietować na zimno.

Przyjechała do Xowa, przypomniawszy sobie, że tam za mężem jest jej siostra cioteczna i utonęła w cichym życiu mieszczańskim, modląc się w niedzielę, ubierając i obmawiając drugich. Zdawało jej się, że znalazła nareszcie spokój. Nie, nie znalazła go. W dzień bawiła się jak inni. W nocy sen z oczu jej uciekał, trawiła ją nieopisana gorączka, żal za życiem, które przebrzmiało jak pusty dźwięk. Zbrudziła skrzydła, nie zaznawszy prawdziwej miłości. Płakała, gryzła się, bezsenność męczyła ją, morfina nie pomagała. Czuła jak niezaspokojone żądze wychodzą z ciemnych kątów i kręcą się koło lampy nocnej, kiwają na nią, upominają się. Przymus i udanie nękało ją. Poznała Karola, wydał jej się świeżym, niewinnym, nieśmiałym entuzjastą. Tego chłopca do siebie przywiązać, zaznać tych szalonych rozkoszy miłości pałacej, błyskawicznej, a potem, potem pożegnać się z młodością. Chuci zmysłowe wystawiły ją na swe pośmiewisko. Kiedy marzyła o Karolu, o jego czystej miłości, pożądliwość jej rosła do ogromnej miary. Żądza, żądza paliła ją. Jego oczy, włosy, usta, ramiona, piersi upajały ją we wspomnieniu. Kiedy ją-kał się obok niej przy stole, byłaby mu się rzuciła na szyję.

Czuła jego uścisk pałacy. Teraz poznała, że to nie uczucie miłości ją owładnęło, to chuci uspakajane, usypiane zbudziły się i zaczęły huczeć, jak burza. Krew oblała jej nagie ramiona, przeszła się po sypialni...

Karol tłustego wtorku oczekiwał niecierpliwie. Po ostatniej scenie pani Róża zrobiła się dla niego tak chłodna, tak obojętna, że popadł w rozpacz. Dwa razy spotkał ją u radców, o odprowadzaniu mowy nie było, posłała służbę po dorożkę i kazała odwieźć się do domu. Wolałby gniew, wyrzuty, ale nigdy tego lodu... Sądził, że wszystko już się skończyło. Na balu postanowił spotkać się z nią na osobności i stanowczo się rozmówić. Ostatniego dnia rano pragnął się do niej wybrać z wizytą oficjalnie, brakło mu jednak odwagi; to podnieciło go jeszcze więcej.

Nie mogąc się wieczoru doczekać, wyszedł na miasto i błąkał się po ulicach. Mróz zelżał, zaczynało nawet nieco tajać, powietrze było jakieś mgliste, ciepłe, jakby ciężkie, coś ospałego, leniwego wisiało wokoło, ludzie szli wolno, ostrożnie, unikając roztopionych kałuży, handlarze przy kramikach chodzili ciężkim krokiem, składali swe towary, konie w powozach wlokły się, niby śpiące. Gniewało go to straszliwie. Mijano go obojętnie. Czuł się pokrzywdzonym: obcy! obcy dla wszystkich, a najwięcej dla tej kobiety, tej okrutnicy... Dobrze! kiedy ona taka, to nie zbliżę się do niej, będę z daleka zimno się trzymał, pożałuje tego.

O zmroku wrócił do domu. Zrzucił przemoczone ubranie i zaczął się ubierać ze starannością kokietki. Każdy szczegół był wystudiowany. Czyścił długo paznokcie i piłował, włosy kazał sobie przywołanemu fryzjerowi zapiekać i układać. Nie

mógł się oderwać od lustra. Wreszcie o godzinie 9 włożył frak, poprawił krawata, naciągnął rękawiczki i zdmuchnąwszy świece, opuścił mieszkanie w największym nieładzie. Kiedy wchodził na oświetlone jasno schody domu państwa radców, gwar doszedł go z góry. W ubranym dywanami przedpokoju służący najęty zdjął z niego nisko się kłaniając okrycie i wskazał mu drzwi pokoju dla panów przeznaczonego. Uderzył go od progu dym gryzący oczy i mieszanina grubych głosów męskich. Panowie siedzieli na stole, na krzesłach, na oknie, opierali się o ściany, trzymając kieliszki w rękach; W środku kręcił się radca z butelką i nalewał wino sypiąc konceptami wokoło. Przedstawił go obecnym. Każdy podawał mu rękę i mówił: „bardzo mi przyjemnie“, lub „bardzo mi miło, że...“, potem wracano do porządku dawnego.

Karol przyłączył się do grupy młodzieży. Przy poznaniu pokazało się, że to jego koledzy uniwersyteccy. Pragnął wprawdzie jak najspieszniej iść do pań, ale widząc, że inni się nie ruszają, został. Rozmawiano o kobietach, o karnawale, niektórzy chwalili się krojem fraków lub wystawiali dobroć swych rękawiczek. Jeden opowiadał, że idąc na bal bierze zawsze ręcznik złożony na piersi.

— Tańczysz do rana — zaręczał — inni wyglądają jak ścierki, a u ciebie gors jak deska, ani jednej fałdy. Na drugi wieczór jeszcze wystarczy, byle rękawy przeschęły na stołkach albo w oknie.

Wszedł pan Alojzy wysoki, dobrej tuszy szatyn, z wysokim, podłysiałym czołem, sławny tancerz, dziekan kawalerski. Powitano go okrzykiem. Koledzy radzili Karolowi, żeby udał się pod jego opiekę, to od razu ze wszystkimi paniami

się zapozna i najlepszej dozna rekomendacji. Karol nie chciał, mniemał, że da sobie radę sam. Pan Alojzy wypił kieliszek wina, klasnął w ręce i zawołał:

— No panowie, do roboty, dość tego palenia i picia, boginie czekają i nudzą się, a pamiętajcie ostro się trzymać.

Weszli hurmem do salonu. W progu spotkano panią Nelczową. Kto się jeszcze z nią nie przywitał, całował ją w rękę. Karolowi zrobiła wymówkę.

— A! tak późno pan, trzeba było nam przyjść pomagać, wprowadzać panny, a pilnuj się pan, żeby pana która nie zbałamuciła, bo to czarodziejki.

Przedstawiono go paniom, kłaniał się na wszystkie strony, trzymając na piersiach złożony kapelusz. Potem stanął pod ścianą i rozglądał się swobodnie po salonie. Kinkiet jasno płonący oświecał wieniec kobiet, pańien, panienek i mężatek w jasnych strojach siedzących wokoło. Przy fortepianie siedział muzykant i dwóch skrzypków, gwar panował w sali, szepty, ciche śmiechy, młodzież pod piecem stojąc żywo rozmawiała. W sąsiednim pokoju panowie przy zielonych stolikach grali w karty. Karol oczyma szukał Róży. Ujrzał ją siedzącą obok dwóch starszych pań ubranych w ciemne suknie i koronkowe czepki. Opowiadała im coś, bawiąc się kościanym wachlarzem. Ubrana była w pasową jedwabną suknię, obnażone ramiona do połowy łokcia okryte były jasnymi rękawiczkami, pierś naga wznosiła się i spadała. Brylantowe kolczyki poruszały się co chwila, we włosach miała białe kwiaty, taki sam bukiet przy gorsie. Pani Nelczowa wezwała ją do drugiego pokoju. Kiedy przechodziła, przepływała miękko przez salon, kłaniano jej się. Z uśmiechem witała znajomych,

na Karola ani nie spojrzała, przeszła obok niego tak blisko, że owionął go zapach jej sukni i włosów. Zapomniał postanowień i chciał znaleźć chwilę rozmowy z nią za jaką bądź cenę. Brakło mu sposobności. To usiadł obok niej młody obrońca z jasnym zarostem i gładząc się po pięknej brodzie, bawił ją rozmową. Ona śmiała się rozkosznie, pochylała się do swojego sąsiada, raz nawet uderzyła go po rękach wachlarzem. Przeklinał tego człowieka, który nie uśmiechnąwszy się ani razu, poważnie mówiąc, potrafi tak ożywiać i bawić. Potem siedziała z dwoma, panienkami w niebieskich sukienkach i rozmawiała z nimi z całą uwagą, potem poszła do buduaru dla pań, urządzonego w sypialni pani Nelczowej.

Rozpoczęły się tańce. Najprzód pan prezes prowadził poloneza ze starą hrabiną, która wdziękiem i postacią przyćmiewała młodsze kobiety. Karol tańczył z jakąś różową pensjonarką. Nie odezwał się do niej ani słowa, tonąc oczami w pani Róży, którą prowadził Alojzy. Polonez skończył się. Zagrano walca. Karol tańczył bardzo dobrze i lubił tańczyć. Popisując się ze swą sztuką, zapomniał o Róży i nie prosił jej ani razu. Między młodszymi tancerkami nabrał popularności. Zaczepiały go figlarnie. Podobał im się, zwracały na niego uwagę, kiedy stał oparty o krzesło z głową na dół spuszczoną, ocienioną gestymi włosami. Uważano go za kuzynka gospodarstwa i robiono Felci wyrzuty, że nic o nim pierwiej nie mówiła.

— Dajcie mi z nim pokój — ale prześladowano ją nim, mówiąc, że dla siebie go chciała schować.

Panienki zrobiły z tego małą intrygę, a to bawiło Karola.

Kiedy odpoczywał chłodząc się kapeluszem, na wolnym fotelu obok niego tancerz posadził panią Różę. Czas jakiś oddychała szybko, zarumieniona tańcem, potem odwróciła się do Karola:

— Pan mnie dziś nie zna, nawet się pan ze mną nie raczył przywitać, ślicznie!

— Nie chciałem być natrętnym. Wielkie gwiazdy są niedostępne, otacza je rój księżyców, zwykły śmiertelnik może je tylko z daleka podziwiać.

— Pan się też bardzo starał zbliżyć do tej gwiazdy, nawet pan w jej stronę nie spojrzął, tak był innymi gwiazdeczkami zajęty.

Jakiś młodzieniec stanął przed Różą i ukłonił się; miało to oznaczać, że prosi ją do tańca.

— Daruje pan, ale jestem taka zmęczona...

— O to ja poczekam, póki pani nie wypocznie — i stanawszy przy niej zapytał: — Czy dobrze się pani bawiła tego karnawału? Mój Boże! taki krótki. Ja tańczyłem na wszystkich balach publicznych. Mama moja zawsze mi mówi: Kiedyż się bawić będziesz, jak nie teraz, kiedyś młody. Czy nie prawda?

Róża niechętnie musiała pozwolić mu okręcić się kilka razy koło sali i usiadła koło Karola.

— Nieznośny nudziarz, niedołęga.

— Czy i o mnie pani tak samo powie?

— Jesteś pan niedobry. Nauczyłeś się pan jakiejś podejrzliwości, popsuleś się pan bardzo, zasługujesz pan na karę... Musisz pan za karę tańczyć ze mną pierwszego mazura, choćby ze szkodą i żalem pewnej młodej osóбки w różowej sukience, która się teraz na pana patrzy z wyrzutem.

Karol wrócił znowu do dawnego uwielbienia dla Róży. Siedzieli długo i rozmawiali, dała mu kwiatek biały z bukietu od piersi i mówiła, że mu bardzo ładnie we fraku:

— Tylko się pan nie daj zbałamucić i pamiętaj o starej ciotce.

Karol gorąco przysięgał wierność i posłuszeństwo. Dziękował za kwiat.

— O! mój paniczu, nie wykręcisz mi się sianem, trzeba będzie w domu złożyć mi uszanowanie i za opiekę na balu podziękować, a teraz podaj mi pan rękę i wyprowadź mnie do buduaru, bo muszę sobie włosów poprawić.

Przeszli przez cały salon, w buduarze było na pół ciemno, nikt się tam nie znajdował. Przed lustrem dwie pół przyciemnione lampy rzucały łagodny blask na brązowe firanki i portieri. Róża poprawiała włosów.

— Panie Karolu, wyrwij mi pan ten włos znad czoła, bo mi spokoju nie daje.

Karol był posłuszny.

— Merci — rzekła, dygając przed nim przesadnie. Potem oparła trzewik atłasowy na krześle i poprawiała podwiązki. Karolowi zakręciło się w głowie, kiedy ujrział kształty jej stopy.

— Nie patrz się brzydal, bo, bo...

Karol zbliżył się do niej:

— Bo co? — szeptał.

Szmer się rozległ, Karol odskoczył jak oparzony. Weszły dwie panie trzymając się za ręce. Pani Róża mówiła najspokojniej:

— Więc siostra mówiła, powiadasz pan, że przy mniejszym stole będzie 16 osób siedziało, to jedna lampa nie wystarczy, niech pan powie Marysi, żeby brązową po stawiała na drugim końcu, tylko niech niesie ostrożnie, bo z pewnością rozbije — i Karol wyszedł a ona z dwiema paniami została.

W salonie skończono tańczyć, była pauza. Karol błąkał się po sali, przysłuchiwał się rozmowom młodzieży...

Nareszcie przeszedł do drugiego pokoju. Grano w karty przy czterech stolikach. Partnerzy pili wino i głośno rozmawiali. Inni założywszy ręce za klapy fraka przypatrywali się w milczeniu grze.

Na kanapie w swobodny sposób siedział pan prezes i dwie powagi rządowe. Radca asystował im stojąco i dolewał wina.

— Panie prezesie dobrodzieju, hungaricum, jeszcze kieliszek, proszę... jak dzieci kocham.

Prezes nie odmawiał, co radcę mocno cieszyło. Rozprawiano o polityce, prezes przysłuchiwał się z rękami złożonymi na brzuchu.

Karol przedstawiony przez radcę, grzecznie się skłonił politycznemu kółku.

Doleciały pierwsze akordy kadryla. We drzwiach pokazała się Róża. Karol pobiegł do niej. W salonie dwa szeregi zbliżały się do siebie w takt muzyki, mieszały, zataczały kręgi i węże. Głos pana Alojzego rozlegał się: En avant. Rond. O dwie damy naprzód. Tour des mains. Karol z zapałem oddał się tańcowi. Opuszczając Różę, by innej tancerce podać ramię, ścisnął ją za rękę i zaczynał zdanie, które przy powtórnym spotkaniu kończył. Przysięgał, że ten bal do śmierci

będzie pamiętał, że tak ręka w rękę z nią chciałby chodzić bez końca.

Szalał z dumy, że najpiękniejsza kobieta ze wszystkich do niego należy, śledził okiem pożądliwe spojrzenia mężczyzn, skierowane na panią Różę. „Oni naiwni, oni nic nie widzą, co między nim a Różą istnieje“. To znów szeptał Róży do ucha wielbiąc mądrość okazaną w buduarze.

— Ach! te panie! życzyłem im, by się zapadły pod ziemię.

— A cóż panu złego zrobiły, to bardzo zacne osoby.

— Co mi złego zrobiły? Ukradły mi jedyną może chwilę szczęścia, rozkoszy.

Nie odpowiedziała nic, tylko uśmiechnęła się rozkosznie. Dodała potem:

— Karolek zaczyna się robić zuchwały.

Kadryl się skończył, tańczono polkę, a potem walca. Karol zmęczył się, zaczerwienił od gorąca, stanął odpocząć i z dumą patrzył na tańczącą Różę. „Ach! jaka ona cudowna“ — i rzucił się prosić ją do tańca. Przytulił ją do siebie, włosy jej muskały go po twarzy, oczy ciemne tonęły w jego oczach i wśród szalonych obrotów walca, odbyło się nieme, wymowne porozumienie tych czterech oczu. Jego oczy mówiły: Ja twój, twój na wieki. Jej oczy mówiły: Ja się zapomnę dla ciebie. Zataczając się posadził ją na krzesło i wybiegł odurzony do gabinetu.

Przy kolacji nie udało się Karolowi zasiąść obok Róży, smutny siedział z daleka od niej i patrzył, jak pan Alojzy dolewał jej wina, trącał się z nią, a pod koniec kolacji dwa razy w rękę ją pocałował, za co dostał klapsa. Obecni, znający do-

brą sławę pani Róży i szerokie prawa dziekana kawalerskiego, nic złego w tym nie widzieli, Karol jednak był wściekły.

Wstano od stołu, zaczął się mazur, trwający dwie godziny. Swoboda zapanowała. Mamy poważne spały na kanapach lub w buduarze, rozpiąwszy ciasne staniki i zsunąwszy z pięt obuwie. Za to młodzież ożywiła się „elektrycznie”, jak wołał podochocony Alojzy.

— Panie i panowie! za cztery dni popielec, używajmy!

Takt muzyki przyspieszył się, muzykantom dano na orzeźwienia koniaku. Towarzystwo podzieliło się w przystanku na pary płonące rumieńcem, zwrócone twarzami do siebie. Nawet pewien nieśmiały młodzieniec siedział przy jasnej blondynce i rzucał się jak szalony, bijąc się dłońmi po kolanach. Fryzury panom spadały na czoło, kołnierzyki wyglądały jak mokre sznurki, Karol odmienił rękawiczki, bo drugą parę miał w rezerwie. Pan Alojzy z grubym blondynem tańczyli solo kozaka, klaskano zaciekle w ręce. W sali było parno i mglisto, lampy słabo się świeciły, po podłodze wały się szczątki falban, kwiaty i ordery kotylionowe. Wreszcie mamy pobudziły się i przyszły wołać na córki, że czas już wracać. Panowie całowali je po rękach i zaklinali, że „ostatnia jeszcze galopka, koniecznie, panie pozwolą”. Alojzy zaklinał się, że krzyżem położy się na progu.

Skończyło się na białym, a raczej szarym mazurze. Bal się skończył, ściskano się za ręce i życzone sobie dobrej nocy. Ktoś zawołał „chyba dzień dobry” i wszyscy żegnali się hasłem: dzień dobry. Młodzież podawała futra i okręcała panienkom głowy chustkami. Karol chciał Różę odprowadzić

do domu, ale powiedziała, że nocuje u radców. Podała mu rękę, pocałował ją i poszedł.

Wydostał się na ulicę. Myśli piorunem latały mu po głowie, nie mógł ochłonać. Mgliste powietrze gryzło go po licach, w piekarniach świeciły się już lampy, posługacze z długimi dragami biegli od latarni do latarni gasząc je po kolei. Z przedmieść ciągnęły wózki pełne nabiału i warzyw. Ciężki turkot wozów służących do uprzątnięcia nieczystości rozlegał się po ulicach. Mijały go pary powracających z balów osób. W niektórych domach świeciło się na pierwszym piętrze w oknach i dolatywały dźwięki mazura. Karol ciągle jeszcze marzył, że ściska za rękę Różę, że tuli ją do siebie w walcu, że przelatują obok nich pary tańczące, że słyszy głos pana Alojzego przy kolacji: zdrowie pań, zdrowie pań!...

.....

Dzień cały był Karol okropnie nudny. Pogniewał się na Ignaca. Opowiadał mu o balu, Ignacowi spieszyło się, więc mnąc czapkę w rękach mówił: „skracaj się, skracaj się”. To go najpierw rozdrażniło, potem piec dymił, potem profitka porcelanowa się rozbiła, na obiad dano mu przypalonej pieczeni. Wszystko to sprawiło, że był zły. Wyobraźnia wczoraj tak ożywiona, wlokła się leniwie.

Wieczorem poszedł do radców. Nie zastawszy nikogo, udał się do babuni. Z niezmiernym zdziwieniem ujrzał tam Różę, siedzącą na kanapce. Serce mu biło gwałtownie, babunia siedziała jak zawsze w fotelu pod oknem. Pocałował babunię w rękę, podszedł do Róży, ją również pocałował w rękę, ta nic nie mówiąc uderzyła ręką w kanapkę. Dorozumiał się, że to są zaprosiny, aby się obok niej umieścić. Usiadł

więc na kraju dość nieśmiało. W pokoju było szaro, przez okno było widać kapiące z dachu wielkie krople brudnej wody, kanarki głośno śpiewały. Do Karola nikt się słowem nie odezwał. Spojrzał na Różę, była jakaś poważna, babunia miała płomienie w oczach, coś niezwykłego.

Po chwili babunia żywo przemówiła:

— Tak Rozalko moja, nie chciałam Alfredom psuć zabawy wspomnieniami, ale każdy bal to dla mnie ból straszny. Ja stara, niedołączna, siedzę tu całymi dniami i przebieram różaniec, zwyczajnie jak stara babka. Ale pomyśl jakie moje wspomnienia: Kazio, biedny Kazio nie żyje, ojczyzna go zabrała, szwagier umarł z dala od nas, ojczyzna go zabrała, mąż zgasł mi na rękach, plując krwią, świecąc oczami jak próchnem, ojczyzna go zabrała.

Przetarła okulary, utopiła oczy dziwne w przestrzeń.

— Siedzę tu i widzę ich wszystkich wieczorami koło siebie. Kazio struga zabawki i taki sam, jak kiedy był mały. Mąż kręci kluczyk na palcu, jak za życia. Szwagier siedzi w kącie z rękami na kolanach. O, wszyscy tu u mnie bywają.

Spuściła głowę i łzy toczyły jej się po grubej twarzy. Róża trzymała Karola za rękę i głaskała go dłonią, ciepło jej dotknięcia rozpalało go.

Babka mówiła dalej, z rękami wzniesionymi do góry:

— O ten bal, ten bal. W kraju były rozruchy, chłopcy nocami uciekali z domu. Nieraz wieczór tak jak teraz z wami siedzę, tuliłam do siebie dzieciaki moje oba. Mówiłam im, że dwoje was mam tylko, ciebie Antosiu i ciebie Kaziu. Antosia całowała mnie po rękach, a Kazio zaklinał się, że mnie nie opuści. Opuścił mnie on, opuścił! Ani wiedzieć jak to przyszło.

Zaczął nocą wyjeżdżać, ze starym Grzegorzem znosili ze strychu pałasze i fuzje, do obiadu przychodził zamyślony, jeść nie chciał, a na dobranoc całował mnie tak i ścisnął, jakby na wieki się żegnał. Mnie to dziwiło, alem nic nie przeczuwała. Zaproszono nas na bal do Kużyna, musiałam jechać, niech się dzieci rozerwą. Antosia była taka, jak Felcia, trochę starsza, mężniejsza, Kazio biały z ciemnym wąsikiem w czamarce, owijał mi nogi ciepłym szalem w powozie. Bawili się, bawili, ale nie wrócił ze mną, porzucił mnie, uciekł. Wszyscy młodzi z balu uciekli. Tam wedle umowy mieli się zebrać, od mazura, jak stali, tak poszli do rządcy, przebrali się, siedli na konie i w las.

Staruszka trzęsła się od żałości wielkiej.

— Nie widziałam go potem. Z Krakowa przysłał mi fotografię bez czapki, pisał: „żebyś matuniu widziała oczy, które tak lubiłaś całować”, potem z pola bitwy żebrak przyniósł mi kartkę, po nocach z Antosią we dwie tę kartkę czytałyśmy, potem Antosia jeździła za granicę do niego z panią Śląską. Po przejściu granicy chory leżał u twoich rodziców Karolku, mnie nie dali paszportu, posiwiałam okropnie z tego rwania się za straconym jedynakiem. Antosia wróciła, mówiła o jego ranach, o bladości wielkiej, jak pierwszy raz o kiju wyszedł na ganek. Potem znowu wrócił do kraju, ale do matki nie zajrzał! o nie! włóczył się po lasach, nie jadł, nie spał. Zabili mi go w lesie, skłuli, porąbali... trzy dni leżał pod krzakiem jałowcowym, deszcze płukały mu włosy, kruki go szarpały, a nie mógł się pożalić, odgonić ptaków. Znaleźli go na koniec. „Matka — szeptał — wody, matka” — i skonał... skonał mój jedyny. Przynieśli mi potem tę czerwoną koszulę, po moim

synku, po moim kochaniu. O patrzcie, ta szmata. Z balu mi uciekł i anim go widziała na oczy.

Umilkła i długą chwilę była cisza głęboka, posępna, kanarki posnęły, babki w ciemności widać nie było; resztki zmroku ślizgały się leniwie po suficie i rozplywały. Chwilami żółte światło przejeżdżającego powozu wpadło do pokoju oknem i od brązowej szafy przelatywało przez złocone ramy obrazów, przez niebieskie tapety, przez nienakrecony biały zegar, do wielkiego pieca w drugim kącie i znów nikło. Znów było ciemno i cicho. Karol i Róża ani wiedząc o otwartej ranie w sercu babuni, wciśnięci w róg kanapy tonęli w uścisku. Karol przygniół jej nogę kolanem, a ona oddychała ciężko i szybko. Szukali się w ciemności ustami, czuli bijące ciepło ze swych twarzy, ciepło pałace. Rogówki jej gorsetu wciskały mu do ciała guziki, jakie miał wpięte na piersiach. Zapomnieli o świetle, krew płonęła pożarem.

Późnym wieczorem ocknęli się z rozmarzenia, zbudził ich głos pani Nelczowej:

— Co tu tak ciemno, czemu mameczka nie kazała zaświecić?

Musieli przyjść do stołu. Radca palił fajkę. Karol odsunął się daleko od Róży, a mówiąc o balu, chwalał toalety pań i dobroć muzyki, poglądał pożądliwie na Różę, widział czerwono odcisnięte na jej lewym policzku swoje przeciągłe pocałunki.

Po herbacie odprowadził Różę do domu, wszedł do jej mieszkania i późno nad ranem wyszedł, otwarłszy sobie bramę jej domu kluczem, który mu sama na sznurku zawiesiła pod kamizelką.

Część czwarta

Zaczął się romans Karola z Różą. Karol grał rolę uwiedzonego, kobieta była uwodzicielką. Było to w marcu. Wiosna nadchodziła wołać o swe prawa, zima upornie walczyła. Śnieg roztopiony, brudny, pokrywał ziemię, niebo nad wieżami i kominami wisiało ołowiem, mgła ciążyła w powietrzu.

Dla Karola pora nie istniała, on miał świat swój, mały światek i w tym światku żył. Dnie całe przepędzał leżąc na łóżku z papierosem w ręku, lub chodził po kawiarniach i z nikim nie mówiąc przeglądał dzienniki. Żył niby w sobie. Koledzy nie spotykając go na wykładach, a widując go z poważną twarzą, sądzili, że według powszechnego zwyczaju odsunął się od lekcji dla tym lepszego przygotowania się do egzaminów. Karol z Ignacem wrócił do dawnej przyjaźni, zachwianej karnawałowymi nieporozumieniami. Z nim jednym przestawał. Ignac był powiernikiem Karola. Nie mówili nigdy razem o sprawach naukowych, ludzkich, społecznych, nie zapalali się do idei oderwanych. Rozmowy ich obracały się około celów praktycznych. Karol rozkoszował się opisami Róży. Ignac czasami snuł swe zamiary na przyszłość.

Nie chodził teraz Karol do radców, rzadziej ich odwiedzał pod pozorem nawału nauki, wieczorami chodził do Róży. Kiedy brnąc po rzadkim śniegu, skacząc przez kałuże, dostał się na asfaltowy chodnik, wiodący od sztachet do drzwi i kluczem kręcił w zamku, pozbywał się powagi całodziśnej, a serce żywiej mu biło. Czekał go ciepły, rozkoszny poikoik i dwoje ramion. Róża wychodziła na schody boczne w jasnym szlafroczku, przechylona przez poręcz, trzymając

świecę w ręku uśmiechała się do niego, on stawał na chwilę i patrzył na końce jej pantofelków, wysunięte pomiędzy balauskami, na drobną rękę, na migocące światło, na oczy szukające go w ciemności i jednym skokiem był obok niej. Wchodzili do pokoju, Róża stawiała świecę i brała go do pocałowania obiema rękami za głowę.

Na stoliku syczał srebrny samowarek, służąca była odprawiona na dół, na całym piętrze nikogo nie było, okiennice zamknięte nie wypuszczały światła na ulicę. Siadali obok siebie i pili herbatę nalaną przez Różę, dokładała mu cukru i gładziła go ręką po włosach. Lampa była przyćmiona umbrelką, na kominku płonęły drwa, woń rozkoszna rozchodziła się po pokoju. Po herbacie bawili się jak dzieci. Czasem pryskała na niego łyżeczką umaczaną w herbacie i śmiała się z niego serdecznie. Oglądali wszystkie drobiazgi, zносиła mu albumy z fotografiami i opowiadała o portretowanych osobach, czytała mu listy swych przyjaciółek i dawała do przejrzenia panięskie swe zeszyty i rysunki niewprawne. Poprawiała ogień na kominku, lejąc na węgle płyn z kryształowej flaszeczki; pachnący dymek unosił się z żaru. Patrzeli długo na te nitki dymu, lecące do góry. Siadali na kozetce i trzymali się za ręce. Ona była wtedy poważna, mówiła, Karol słuchał. Wypowiadała go z całej przeszłości, krytykowała, chwaliła, robiła plany co do jego przyszłego życia. Nazywała się jego opiekunką, robiła mu uwagi nad jego wykształceniem, wiadomościami. On z zachwytem słuchał tych słów, wypowiedzianych przez karminowe usta, wybiegających przez białe, drobne ząbki; poprawiała mu na szyi krawata, robiła z nim co chciała. Po godzinie powagi napadała ją szalona

wesołość, pokazywała mu figury różnych tańców, podniósłszy do góry palcami brzegi szlafrocza, żeby wyraźniej mógł widzieć ruchy drobnych stóp, siadała do fortepianu i grała wesołe utwory, chwytając go za szyję. Czasem dmuchnięciem gasiła lampę i chowając się po kątach, kazała mu się szukać. Karol jak pijany chodził po omacku, chwytając ją wreszcie i bezsilną niósł do kanapy. Czasami płakała wtedy po cichu i odpychała go lekko od siebie, czasami z całych sił tuliła się do niego, kazała mu brać się za puls, lub liczyć uderzenia serca...

Późno po północy budzili się, przypominali rzeczywistość i trzymając się za ręce schodzili po ciemku na dół. Następowywały nowe pocałunki i rozstawali się do przyszłego wieczoru.

I tak było co dnia. Karol był u szczytu swych marzeń. Czuł coś miękkiego, niewieściego w tym nowym stosunku. Kiedy pomyślał o Róży, natychmiast przed oczyma stawał mu pokój wytworny, ciemne, aksamitne fotele, dywan, po którym cicho się stąpa, łagodne światło lampy, czuł woń powabną, rozkoszował się wspomnieniami przepychu. Nic nie było gwałtownego, niedobrego, brzydkiego, każdy szczegół tła i ram tej miłości był wykwiniony i delikatny. Można było zapomnieć o samej miłości, zachwycając się jej otoczeniem, lubując się nim.

Jakże go raziło wszystko, co mogło tchnąć gburowatością i prostactwem. Nabył obyczajów i chęci pełnych wysokiego smaku. Był przesadnie staranny w ubiorze, łagodny, w obejściu z ludźmi taktowny. Dbał o jak największy porządek w mieszkaniu, każdy pyłek musiał być starty, każdy mebel naginać się pod surowe prawa symetrii. Sprawiał

sobie dywanik nad łóżko i nowe firanki do okna. Listy pisywał tylko na welinowym papierze. Unikał towarzystw wesołych, gdzie z wymaganiami piękna i wdzięku nie liczone się. Niemilego doznawał uczucia, gdy go kto zbyt silnie ścisnął za rękę, poufałość znajomych rozdrażniała go, czuł, że był w stanie rozplakać się w razie gdyby mu wyświadczono jaką niegrzeczność. Równie baczna uwagę zwracał na cudze ubranie, poznawał świeżość bielizny i modny krój odzieży, nie lubił jaskrawych a niegustownych krawatów, ani zbyt silnych pachnideł.

Jeden Ignac był wyjęty spod tych prawideł. Ignacowi wolno było odzywać się cynicznie, wolno mu było nosić krzyżującej barwy kamizelki i pluć po ścianach. Stosunek ich był niezachwiany. Wyrobił się w nim upór i skłonność do łatwych dyskusji.

Wszystko to sprawiła jedna kobieta. Przejmował się jej wpływami, z wolą i sercem zabrała mu całą męskość jego natury, jej opinie były jego opiniami, jej gusta jego gustami. Nie lubił niebieskiego koloru, bo pani Róża go nie lubiła. O zmroku nie zapalał lampy i po ciemku marzył o Róży; na myśl, że kiedyś stosunek ich mógł się skończyć, doznawał takiej trwogi, że samotność stawała mu się nie do zniesienia i wybiegał na miasto, by skrócić sobie czas dzielący go od wizyty u swej pani. Tam była przystań jego myśli, na kanapie między marmurowym kominkiem a szafką z książkami. Czuł, że coś macierzyńskiego, jakaś troskliwość tkliwa chowa się tam dla niego. Przypominał sobie swój stan, kiedy po chorobie słaby chodził suwając się po pokoju a matka podawała mu kwiat lipowy z żółtkiem własnoręcznie ubitym. Poczuwając

się do zależności, lgnął do Róży coraz bardziej. Zaczął znów chodzić do radców, byle ją tylko zobaczyć, poić się jej widokiem; na ulicy spotkawszy ją, szedł drugą stroną ulicy, byle na nią mógł poglądać. Zbliżać się nie śmiał. Było to surowo zakazane. Róża bała się rozgłosu. Toteż dzięki ostrożności była nietykalna wobec opinii, nikt słowem dwuznacznym o niej się nie wyraził. Karol z jej porady częściowo, częścią zaś z własnej ochoty porobił dość wizyt w mieście i bywał w wielu domach; lubiano go dla łagodnego charakteru, dowcipu niezłośliwego, a szczególnie, że nie wygłaszał na wzór innych akademików skrajnych opinii. Wobec starszych był uważny i skromny, nigdy ich zdaniu się nie sprzeciwiał, gdy szło o zasady, a ładnie umiał im potakiwać.

Wizyty wieczorne, tajemnicze, trwały bez przerwy. Z równym zapałem zawsze na nie biegał. Ale ich pożądania wzajemnie rosły i rosły bez miary. Już nie było owych pogadank poważnych, rojeń nad przyszłością, wynurzań z subtelnymi uczuciami. Już nie mówiono o sercu, o młodości i o przeczuciach, Róża siadała na jego kolanach i były częste pocałunki. Ich role wyrównywały się z wolna.

Popędy wspólne podciąły ich oboje pod jedną miarę. Oswoił się Karol zupełnie z całym otoczeniem. Nie witał już z dawnym zachwytem kominka, dywanu i samowara srebrnego, znał wszystkie albumy, rysunki i operetki grywane przez Różę. Krew brała górę nad uczuciem. A jednak Karol nie czuł tego, nie rozumiał, nie pojmował, bo Róża była niewyczerpana w urozmaicaniu wieczorów. To grywała z nim na cztery ręce, głośno licząc takt, to brała go na próby cierpliwości, każąc mu długo trzymać jedwab obiema rękami i powoli

nawijała nić na kryształowy kłębuszek w kształcie krzyża, to znów rozkładała przed nim dzienniki mód i radziła go się w wyborze strojów. Niedługo znał się na tym dobrze, umiał ręczną robotę koronki odróżnić od maszynowej, znał numery nici i odcienie barw różnych tkanin.

Pragnął sprawiać jej drobne przyjemności przez obsypywanie ją podarunkami. Był w wielkim kłopotcie przy wyborze darów. Róża była zamożna, miała swój majątek osobisty na pewnej lokacie. Nie śmiał więc dawać jej trwałych pamiątek złotych lub drogich kamieni. Pewien był, że by się była obraziła i na długo pogniewała.

Przynosił jej więc pudełka cukrów. Pudełka były jedwabne, zdobne kolorowanymi obrazkami i koronką. Robiła mu wyrzuty, że takich prezentów nie powinien jej składać, że będzie się na niego gniewać.

— Wolałabym bukietek kwiatków za parę groszy, niż te zbytki. Wiesz co mi dać możesz i co mnie najwięcej cieszy. Kochaj mnie tylko, a to mi wystarczy za wszystko.

Przynosił jej więc bukiety. Zamawiał całe kosze kamelii, przepłacając, raz zamówił nawet z zagranicy.

Te skromne ofiary nadwreżęły znacznie jego fundusze pieniężne. Pisał ciągle do ojca o pieniądze. W jednym miesiącu pod różnymi pozorami dostał dwieście florenów. A jednak to było mało na kwiaty dla Róży i na wygodne życie, na wykwintne ubrania i drobiazgi, bez których się nie obchodził. U krawca zadłużył się, był winien Ignacowi i paru innym kolegom. Z początku bał się pożyczać. Kilkakrotnie jednak ojciec odmówił mu pieniędzy. „Co ty synu robisz z groszem — pisał stary — leć jak przez przetak u ciebie. Pamiętaj,

byś kiedyś nie żałował. Piszesz mi, że na potrzeby naukowe; nie chcę cię podejrzewać o kłamstwo. Podwajam twą pensję miesięczną, ale ani grosza więcej nie dam. To, co dostajesz, wystarczyłoby na całą rodzinę, a nie na jednego młodzika, który się uczy, gospodaruj jak chcesz, ale mnie nie napadaj, bo to na nic się nie zda; u nas przednówek, gdybyś zajrzał do jednej i drugiej chaty, odechciałoby ci się zbytków. Tu piszczy głodna nędza“.

Nie mogąc od ojca dostać, zaczął pożyczać.

Z początku każde zaciągnięcie pożyczki było dla niego prawdziwym umartwieniem. Potem szło mu to łatwiej, wprawniej, bez wzruszenia.

W ten sposób minał marzec, kwiecień i zaczęły się pierwsze dni maja. Maj był rozkoszny. Słońce wisało na niezamąconym jedną chmurką niebie. Powietrze było łagodne, wieczorami wietrzyk poruszał drzewami publicznego ogrodu, zachód bywał rumiany, przejęty wonią bzów. Po ulicach i alejach zaczęły się przechadzki. Kobiety zrzuciły grube okrycia zimowe a występowały w obcisłych sukniach, uwydatniających kształty. Dziewczęta roznosiły bukietki konwalii i fiołków. Karol przepędzał długie godziny w ogrodzie, znał osoby stale o pewnych godzinach tam bywające. Wiedział, że rano po alejach przechadzają się studenci z zeszytami w rękach, ucząc się półgłosem, zatrzymując się na ławkach dla skreślenia papierosa. Potem przychodziła jakaś pani z dwiema wysmukłymi córkami, pić wody mineralne w szwajcarskim domku. Inne osoby leczące się w ten sam sposób chodziły miarowym krokiem dla ruchu przepisanego. O dziewiątej schodzili się emeryci i zasiadali, wydobywając z kieszeni ga-

zety, potem niańki z dziećmi, popychając przed sobą plecione wózki na resorach. W południe ciągnęły pensjonaty żeńskie, na przodzie szły drobne panienki w długich, białych majteczkach, potem coraz wyższe aż do przełożonej. Przechodząc koło niego patrzyły zza parasolek ukradkiem. Jedne były ubrane szaro, inna partia brązowo, inna niebiesko; najpóźniej przychodziły granatowe. Dwie pensje mijając się wzajemnie kręciły noskami.

O pierwszej robotnicy zasiadali na trawnikach i ławkach, by zjeść obiad przyniesiony przez żony i córki w dwojakach.

Po południu nikogo nie było prawie, tu i owdzie spał ktoś, kiwając się na ławce.

Pod wieczór cały świat miejski, wystrojony, wyświeżony przychodził słuchać koncertu muzyki wojskowej i pić się świeżym powietrzem.

Nieraz Karol całe godziny o tej porze przechadzał się z panią Nelczową i Różą, zajęty zabawianiem Felci, która jednak dotychczas stroniła od niego z uporem. Robił to głównie z polecenia Róży, która pragnęła, aby uważano, że on się zajmuje Felcią.

Akademików tej wiosny mniej spotykano w ogrodzie, jak dawniej. Nie zajmowali całej długości ławek wyciągnawszy przed siebie nogi, jaśniejac różnokolorowymi pończochami, nie zaglądali kobietom pod kapelusze, ani nie śmiali się rozgłośnie.

W pośród młodzieży ruch w zimie jeszcze wszczęty dorósł niezwykłych rozmiarów. Sale wykładowe, piwiarnie, kawalerskie mieszkania na pierwszym piętrze i pod dachem ukryte izdebki były areną, na której obywatelskie popędy budziły

się do życia. Kiedy w pośród dymu i gwaru do późna w noc rozprawiali, nie były to już nieokreślone dążenia, które streszczały się w krytyce surowej obecnych stosunków, nie były to już uczuciowe okrzyki, lecz świadome siebie zabiegi w celu postawienia i zarysowania wyraźnych planów. Sąd o postępowaniu starszych był wydany: „Z nich nie weźmiemy nic — wołali — odrzucimy ich serwilizm, odrzucimy ich gorączkowe, pozbawione chłodnej oceny marzenia, bogowie ich nie są bogami przyszłych pokoleń, słowa ich straciły znaczenie, bo treści w nich nie ma”. — Ostre nagany, jakimi kierunek całej poważniejszej osoby w mieście przyjęły, wytworzyły pewną nieubłaganą zaciętość. Mosty między dwiema generacjami spłonęły. Często przy wiście powagi miejscowe najfałszywiej poinformowane o istocie ruchu, potępiały go w całości, często niebacznie wypowiedziane słowa, jeszcze bardziej jątrzyły nieporozumienie. W dzienniku najpopularniejszym, w *Saturnie* pojawił się pewnego razu artykuł, napisany z wielką siłą, w którym autor nie szczędził ostrej nagany „zbłąkanym”; zaklinał ich „w imię miłości ojczyzny, religii, całej przeszłości, w imię tradycji, aby otrząsnęli się spod zdradzieckiego wpływu ludzi złej wiary, ludzi opłacanych przez nieprzychylny rząd, ludzi, którzy pierw nim się do dzieła zabrali, wzięli od wrogów cenę każdej uwiedzionej głowy”. Autor wręcz twierdził, „że młodzież zanadto pocziwa, by długo w fatalnym obłąkaniu pozostać mogła”, wzywał młodzież, aby „w imię świętości, w imię miłości, w imię wiary, w imię nadziei otwarcie pokazała palcem na swych największych wrogów, na swych obłudnych zwodzicieli”.

Artykuł przyjęty został z oburzeniem. „Namawiają nas do zdrady! my im pokażemy, że nikt nas nie tumani, że my sami, z całą samowiedzą dążymy do celów z góry jasno powziętych” — i w odpowiedzi w jednym z tygodniowych pism pojawił się gromki protest młodzieży, rzucającej śmiało rękawicę w oczy nieproszonym opiekunom, którzy sami potrzebują kurateli. Protest ten kończył się słowami: „Kto stary, niech nie wylewa próżnych łez nad swą własną niemocą, kto nieużyteczny do pracy, niech idzie w ką. Siwe włosy, spróchniałe zęby, krok drżący to nie dość, by wszystko co nowe potępić, by wszystko co stęchłe wychwalać. Nie obrzucajcie nas błotem, ale rozumnie z nami się rozmówcie, my w odpowiedzi nie zostaniemy dłużni, przekonacie nas, my ustąpimy, zostanieie przekonani, my nie zawołamy *vae victis*, bo siła kocha się w wyrozumiałości”.

Była to ostatnia potyczka, na dalsze zaczepki młodzież nie odpowiadała. I tak aż nadto pytań pośród swych własnych kół musiała załatwić. Dopóki szło o krytykę, jedność była zupełna, każdy zgodnie znosił materiał do usypania mogiły starym błędom, niesumienne potępienia jeszcze dodawały wszystkim zapału do pracy. Ale z czasem ostudził się szal wojenny i przyszły czas pracy. Tworzono programy. W tym okresie jednomyślność ustąpiła miejsca różnicom wpośród samej młodzieży. Utworzyła się partia ludzi, których nazywano umiarkowanymi. Ci przede wszystkim siły swoje zwrócili na pole naukowe. Odznaczali się zupełnym brakiem uprzedzeń i ścisłością w rozumowaniu. Na zebraniach swych nazywali się sami pozytywistami, ponieważ od Comte’a wzięli podział nauk i główne zasady krytyki. To co ich najwięcej

raziło w starszych, to były nie przesady lub zardzewiałe opinie, lecz niekrytyczne postępowanie. Każde pojęcie, zanim uzyskało u nich prawo obywatelstwa, musiało być poddane dyskusji. Zastanawiali się długo nad kwestią, czy niepodległość z towarzyszącą jej nierównością klas i ekonomiczną biedą lepsza od kwitnącej we wszystkich kierunkach zależności, czy nie? Ideałem ich było rozszerzenie oświaty w jak najrozleglejszych kołach, uprzystępnienie każdemu korzyści z praw obywatelskich. Wierzyli w możliwość wcielenia tego ideału, przez naukę i przez sumienne spełnianie szeroko pojętego obowiązku. Ułożyli kwestionariusze, w których cyframi oznaczone były rubryki pytające: o płacę roboczą, o stosunki zaludnienia, o stan oświaty. Młodzież miała je zabrać na wakacje, każdy w swoje strony, i pozapełniać. Z tego zamierzano utworzyć wielki dykcjonarz statystyczny, niezbędny w dalszym działaniu.

Do kółka tego należał i Dauksza. Kółko to było nieliczne, dzięki jednak dzielności swych członków prawie zawsze wychodziło zwycięsko z wszelkich starć z inaczej myślącymi, gniewając ich nieraz swą szczerością w wypowiedaniu prawdy i rozjaśnianiem wszelkich niejasnych, bałamutnych kwestii, które interlokutorowie niejednokrotnie pominąć usiłowali. Nie byli też z tego powodu zbyt lubiani, mówiono o nich: „to doktrynerzy, jak się zejda, to tak gadają, jakby sobie dziury w brzuchach mieli wygadać”.

Z nimi ścierali się najwięcej najbliżsi im może jednak „społecznicy”, którzy dążyli znowu do wytworzenia typu państwowego na podstawie możliwie najszerzego równouprawnienia; gardząc jednak powolną drogą, uważali za najlepszy

środek do urzeczywistnienia swych celów drogę gwałtowną. Stanowili oni pod tym względem mniej lub więcej radykalne odcienia. Pośród nich stykały się niejasne doktryny marzycieli francuskich z domorosłymi, na tak zwanym zdrowym tylko rozsądku obmyślanymi projektami. Niektórzy uczniowie prawa zasięgali do głębin naukowych, nurzając się w pełnych erudycji wywodach niemieckich teoretyków. Cytowano zimne i przenikające straszną prawdą daty z dzieł Marxa i deklamowano artystycznie zbudowane okresy Lassalle'a, wielkiego trybuna klas roboczych.

Zbliżano się do robotników. Nieraz wieczorem przed szynkownią, z której dolatywały dźwięki katarynek i buchała niemiała woń, czekał student na wychodzących wyrobników i wdawał się z nimi w rozmowę. Jego białe ręce, sposób wyrażania się odstręczały nowych znajomych, lecz często udawało mu się pokonać uprzedzenia i długo z nimi rozmawiać, przechadzając się po pustych przedmieściach.

Dwa takie koła sprzeczały się często ze sobą. Jedni grozili niebezpieczeństwem rozdmuchania niechęci w ciemnych masach, które pójdą potem za podszeptem złych instynktów, a wskazywali drogę powolną ale pewną, drudzy wołali: nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje, i uznawali nagłą potrzebę działania. Jedni wystawiali trudności naukowe i szkodliwe a niesumienne wywoływanie namiętności, których granice z góry przewidzieć się nie dadzą, drudzy zapewniali, że złe mogące z omyłek wyniknąć, stokroć będzie jeszcze mniejsze od obecnego stanu. Mimo tych sporów rozumieli się doskonale i w wielu zdaniach zupełnie zgadzali. Tylko krańcowi przedstawiciele posuwali się w wyrzutach czasem za daleko.

Zagorzalców a nawet niesumiennych ludzi nie brakło w postępowym obozie. Przyznawali się do niego cynicy, którzy więzy religii i praw moralnych porzucali dlatego, że były im przeszkodą w wyuzdaniu. Ci najgłośniej wołali o postępie. Oni kompromitowali obóz, bo z nich brano miarę o reszcie, która mniej rzucała się w oczy. Były też słabe głowy, które olśnione nowością zapędzały się poza granice rozsądku w burzliwych pomysłach. Hasła wolnej miłości i wolnego używania rozlegały się przez ich usta; potępienie wszystkiego, co od nich nie wyszło, oplwanie wszelkiej świętości było ich wiarą, której hołdowali ostentacyjnie. Były bierne umysły, które lgnęły do głośniejszych przedstawicieli, nie mogąc żyć bez podparcia.

Te cienie smuciły rozumniejszych i zmuszały ich nieraz do gwałtownych wystąpień. Apostazja wykluczonych była zawsze pełna przykrych niespodzianek, plotek, zemsty, obmowy. A nieprzyjaciele korzystali sumiennie z każdej plamki, uogólniając ją na całość. Z tym wszystkim ruch nabierał coraz więcej gruntu pod nogami, ustępstwa wzajemne, jakie sobie stronnictwa poczyniły, rokowały najlepsze nadzieje, szeregi oczyszczone z żywiołów szkodliwych zacieśniły się znacznie, ale nabrały wewnętrznej siły. Świeżo utworzone koło konserwatywnej młodzieży, która szczerze trzymając się przekazanych przeszłością przykazań, wyzwała do walki postępowców, było zewnętrzną pobudką do odpornego pogotowia. Otwartość nowo wyłonionego stronnictwa zachowawczego, raz jeszcze wywołała na stół sprawę tradycji; rozpatrywano, czy nie znajdują się drogi do ugody, które by powoli zapro-

wadziły konserwatywnych kolegów w szeregi przyszłości. Odbywano nad tym narady.

Na jedną z takich narad zabrał Ignac Karola. Ignac bowiem był postępowy. Cały dzień zajęty lekcjami, pisaniną, walką o chleb powszedni, narażony był na tysiączne upokorzenia miłości własnej wobec nieprzyjaciół postępu a swych chlebobawców. Stosunkami zmuszony był potakiwać im; on schlebiał im nawet, chowając jad w sobie i zazdrość. Za to wieczorami na zgromadzeniu nagradzał sobie wszystko: tam mścił się na posiadających za to, że sam nic nie posiadał, na wpływowych za to, że sam nie był wpływowy. Było to dla niego ulgą niezwykłą; stał się demagogiem istnym, zbrojnym w cały arsenał argumentów o niezrównanej sile. Zresztą w ściśle naukowe spory nie mieszał się, ani też nie brał udziału w agitacyjnej działalności. Na zebraniu mówiono właśnie o patriotyzmie, jak go starsi rozumieją. Przyznano, że mimo szczerzego przywiązania do ich tak zwanego patriotyzmu, który (choć może oni sami nie wiedzą) jest zlepkiem egoistycznych popędów, mają jednak uszy zalepione dla wszelkiego postępu.

„Wszystko potępią — mówiono — czego nie słyszeli na ławie szkolnej w swych czasach uniwersyteckich“. Ponieważ było kółko dobrych znajomych, podawano znane sobie typy dla rozjaśnienia szczegółów. Dauksza, który mało zresztą mówił, a jednak wpływ posiadał ogromny, ożywił się pod koniec i zrobił kilka dowcipnych uwag nad charakterem radcy Nelcza, nazwał go „niepoprawnym“ z którym nie ma co gadać, bo go się nie przerobi, choćby go się i przekonało. Uznawszy go za typową postać, przypisywał mu ujemne cechy całej

klasy, zmieniał nawet głos naśladując zapał przekonaniowy radcy. Karolowi nie podobało się to bardzo. Ponieważ jednak w ostatnich czasach z Daukszą był nieco lepiej, nie śmiał otwarcie wystąpić i zganić mu tego.

W parę dni po tym zebraniu był u radców. Wieści o ruchach studenckich krążyły po mieście, ponieważ jednak młodzież w tajemnicy rzecz trzymała, nie znano dokładnie istoty całego ruchu. Mimo to potępiano go stanowczo. Radca zapytał Karola:

— Mój panie kochany! wiem dobrze, że się pan w te ich głupstwa nie bawisz, ale przecież to są twoi koledzy, coś mimo woli musisz o nich wiedzieć. Co to jest? o co im chodzi?

— A to proszę pana radcy, wielkie nic... schodzą się sami rewolucjoniści, zapaleńcy, wygadują na księży, na panów, gadają, że lud to najpierwsza potęga i koniec.

— Więc cóż oni od tego ludu chcą?

— Nic od niego, ale dla niego chcą oświaty, a oświaty mówią nie będzie, póki dobrobytu nie będzie; gniewają się na nędzę.

— A wiesz pan skąd nędza, skąd?... z próżniactwa. Kto pracuje, ten nędzy nie dozna. Ale*

* Tu kończy się ostatni arkusz w egzemplarzu książki zachowanym w BJ (przyp. wydawcy).

Urywek

Eł. Jot., *Urywek*, „Przyszłość. Organ poświęcony młodzieży polskiej“, 1883, nr 15–16 (15 VIII), s. 3–5.

Udzielono nam następujący ustęp wyrwany z większej całości:

Ignac chciał coś mówić, mecenas obrócił się do okna i gładził długą brodę. Przygnębiony podejrzeniem stoczył się Ignac jak pijany ze schodów i wyszedł na ulicę. Nie poznawał ludzi ani przedmiotów. Spotkało go dwóch kolegów. Wołali za nim, nie odwrócił się, złapali go za rękaw:

— Cóż ty powiesz nowego?

— Ja? nic — odparł i wodził po nich błędnym wzrokiem.

— Cięty, jak Boga kocham, cięty! — i odeszli śmiejąc się.

Poszedł dalej, przechodnie trącali go. Na skrawku ulicy fiaker zawadził o niego. Uskoczył na bok i szedł dalej, słońce paliło z góry. Z chaosu myśli wyłoniła się jedna. „Więc to Karol okradł! on! kiedy ja poszedłem po wodę kolońską. On mnie zgubił. Ale choćbym go wskazał, mecenas nic nie uwierzy, nikt go nie widział wchodzącego, zaprze się i ja jeszcze oprócz nazwy złodzieja, dostanę nazwę oszczercy: okropne!” — Szedł dalej z rozpaczą w sercu. „Może by wziąć rzecz na siebie i oddać, pożyczwszy, ale gdzie? skąd? Walentych nie ma: pojechali na wieś, kolegów nie ma, pisać? za trzy dni nikt mi nie odpowie przychylnie! Co robić?” — Nie wiedział i szedł dalej, szedł niepoohamowany niczym. Minął roгатki przeciskając się między furami targowymi, dostał się na równinę

i biegł prawie wąską ścieżką między dwoma łanami pszenicy. Żniwiarze ostrzyli sierpy, dolatywały śpiewy cienkim głosem zawodzone: Na białym koniku pan starosta jedzie..., a wiatr niósł je po falach zboża daleko.

Ignac nie słyszał śpiewów, było mu gorąco, zrzucił kapelusz, surdut i upadł na trawnik. Potraw zebrany w kopki pachniał jak w domu u ojca. Sroki trzepotały się nad nim, krzycząc skrzekliwie, i słońce prosto nad głową gorzało. Szli ludzie na południe do domu, kosy dzwoniły, osełki schowane w drewniane króbkki bułkotały w wodzie u pasa żniwiarzy, dzieci ciągly przodem trzymając się za ręce. Ignac patrzył bezmyślnie i szeptał: „jak u ojca! jak u ojca!”. Przyszedł mu na myśl stary w białym kitlu, w rudych od chodzenia butach z cholewami, których uszy skórzane wisały po bokach, z pałką w obrośniętej włosom ręce. Stary gryzł kłosa owsa w zębach i nucił pod nosem: „Siałem proso na zagonie, nie mogłem go żąć, Pokochałem piękne dziewczę, nic mogłem go wziąć”, a mały Ignas trzymał go za poję i dreptał patrząc w górę na jego wąsy: „Tatusiu! tatusiu, a kupi mi tatuś kogutka z gliny na odpuście”. „Kupi! kupi ci dziecko!” — Zrobiło mu się miękko na sercu. Leżał, a oczy mgłą mu zasłyły.

„Biedny stary! Doniosą mu, że syna ma złodzieja: biedny stary” — i przypomniał sobie ojca w zielonej kapocie w kosciele. Ludek śpiewał: Hej! nam! hej nam! synu Maryje... a ojciec niskim basem wtórował. „Jak ja mu się na oczy pokażę z kryminału? Ja nie chcę kryminału! wolę śmierć!” — i leżał dalej. Ludzie wrócili z obiadu, on głodu nie czuł, pragnienie go paliło. Słońce szło powoli po niebie, zbliżało się do lip osłaniających wieś sąsiednią. Ignac podniósł się i poszedł wol-

nym krokiem do domu. Zapalił cygaro, ale je po chwili rzucił daleko od siebie. Robił się ciepły wieczór, przed roгатką spotykał przechodniów, którzy z miasta wyszli na przechadzkę. Powozy płynęły pośród kurzawy. Pośpieszył kroku i dostał się do mieszkania.

Promienie zachodu ukośnie wpadały przez szyby, w pokoju było duszno. Otworzył okno, napił się wody i zasiadł do pisania. List jeden napisał do mecenasa z usprawiedliwieniem, że niewinny, a hańby przeżyć nie może, „prosi o dobre wspomnienie i rehabilitację”. Do ojca nie pisał nic. Do Karola zaadresował list drugi. Potem wyjął mosiężną miednicę z umywalni i postawił ją na stole, z drugiego pokoiku przyniósł zza pieca resztki węgla. Miał suchy sypał się po pokoju przez szpary koszyka. Ułożył drewnka w miednicy i zapalił, sypał na nie miał i przykładał grubsze kawałki.

Ogień wesoło zaczął buzować, szczapy trzaskały. Dym wzniósł się wąską smugą ku górze. Koszyk odniósł na swoje miejsce, zamknął drzwi na klucz i zatkał szpary ręcznikiem. Potem zamknął szczelnie okno i spuścił roletę.

W pokoju zrobiło się ciemno, ogarnął go strach, poszukał zapalek i zaświecił. Zdjął surdut i buty, napił się wody, listy położył koło miednicy i rzucił się na kanapę grzbietem do góry. Odwrócił się po chwili i spojrzał wokoło. Bury dym wydobywał się z miednicy, lizał jej brzegi i spuszczał się wolno ku dołowi. Zdawało mu się, że pływa w obłokach. Nie widział podłogi, tylko niewyraźne zarysy ruchomej płaszczyzny, która ciężko się poruszając układała do równowagi. Boleść i rozpacz opuściły go, nie myślał o niczym, tylko patrzył wkoło siebie. Położył głowę na poduszkę i próbował

usnąć. Sen uciekał mu z oczu. Po chwili spojrzął na pokój: dym wniósł się pod dno miednicy, całe fale buchały z ogniska spływając na stół i rozlewając się w przestrzeni. Tumany otoczyły go, dym gryzł go w oczy zmuszając do wydzielenia obfitych łez. Płakał ale nie sercem tylko oczami. Poczł ból w skroniach. Przyłożył rękę do skroni. Nie pomogło to, cierpienie rozeszło się po całym czole, zdawało mu się, że w czaszce wybucha mu cały arsenał i chce rozerwać okrycie kości.

Ogarnął go straszny niepokój, myśli przed chwilą spokojne zawiodły tan szalony. Ohydne widma latały mu przed oczyma wykrzywając się i grożąc.

Wychylały chude, pomarszczone szyje z dymu i rozglądały się bezbarwnym wzrokiem. Chowaly się potem głęboko i nie widział ich więcej. Świat cały z gwiazdami, morzami, słońcem, dziećmi, kościołami, wulkanami i miastami wirował przed nim. Twarze znajome przesuwaly się z pośpiechem, a każda śmiała się do niego z wyrazem potępieńca. Na chwilę zdołał odpędzić od siebie widziadła i przerażony zwrócił oczy przed siebie. Lampa płonęła jasno, widział jej światło otoczone sferą mglistą, dym kłębił się w olbrzymich kręgach, które uderzały o siebie, druzgotały się i gniotły, układając w dolnych warstwach w jedną litą masę. Całe to zjawisko odbywało się po cichu. Ta cisza przyprowadzała go do szaleństwa, słyszał w niej bicie pospieszne serca i gwałtowny, urywany swój oddech. Drobne naczynka na czole, twarzy i tyle głowy biły mu z dziwną siłą i pośpiechem. Znużony wysiłkiem woli, runął znów na kanapę twarzą do poduszki. Pot tak silnie go oblewał, że czuł jak koszula przylega mu do

ciała i chłodzi go niemile. Chciał ją zrzucić z siebie, ale brakło mu siły. Pochylił się ku podłodze i zaczął pluć. Rzadka ślina lala mu się z ust, osiadając na zimnej brodzie. Plucie powiększało jeszcze jego pragnienie, chciał wstać i iść do dzbanka, ale zaledwo się podniósł, upadł nazad i zaczął drgać straszliwie. Ręce biły w kanapę, odskakując w górę, podrzucane siłą sprężyn, noga kaleczyła się o gwóźdź wbity do ściany.

Mary ohydne wróciły... przysuwały się tak do niego, że czuł ich oddech smrodliwy, a brakło mu siły, by się od nich odwrócić. W uszach szumiało mu. Potem usłyszał bicie tysiąca dzwonów, których głos stłumiony zdawał się spod ziemi wydobywać. Wołania tłumów, pełne rozpacz i zwątpienia przerażały go, czuł, że takie wołanie nie ma w sobie nadziei. Głosy te słabły, słabły coraz bardziej, oddalały się i znów zostało tylko samo bicie dzwonów, które złało się w jeden wysoki, ostry ton dźwięczący bez końca. Dźwięk ten nie słabł. Usypiając pod naciskiem nieprzepartego popędu słyszał ten dźwięk i wykrzywił się do niego boleśniej.

Zrobiło mu się zimno w stopy i palce u rąk. Nos zdawał się marznąć i sprawiał mu chłód rzeźwiący. Ale chłód ten rozchodził się po całym ciele, doszedł do szyi, ogarnął go całego. Oddychał coraz wolniej. Po chwili nastąpiło przesilenie. Czuł, że go kanapa pali, że mu każdy włos płonie i rozgrzewa się do białości; tracił czucie. Próbował ręką ruszyć, nie mógł. Próbował nogę dźwignąć, noga była bez ruchu. Oddech ustał, życie gasło. Trup stężyły leżał na kanapie. Pośród kłębow dymu lampa migotała blado, zegar miejski wybijał godziny. Z miednicy stoczył się wypalony węgiel i spadł na podłogę. Lampa świeciła jeszcze niebiesko, zgasła i było ciemno w po-

koju.... Tak przeszła długa, milcząca chwila. Blask dzienny
zajrzał do środka przez okno i rozlał bure światło w dymnej
przestrzeni.

Zamiast posłowania: Józef Łuszczkiewicz w Czytelni Akademickiej

We wczesnych dziejach polskiej historii sztuki zwraca uwagę postać Władysława Łuszczkiewicza – artysty, badacza i popularyzatora, nauczyciela różnych przedmiotów w Szkole Sztuk Pięknych i poza nią, dyrektora Muzeum Narodowego, przewodniczącego Komisji Historii Sztuki Akademii Umiejętności, a w końcu działacza i prezesa Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa*. Jak to ujął Stanisław Tomkowicz, z popularyzacją historii sztuki łączył Łuszczkiewicz ogromnie ożywioną działalność osobistą, obywatelską. Był on „na wskroś idealistą”¹. Można dodać, że ta aktywistyczna postawa cechowała go już od czasów studenckich. W okresie Wiosny Ludów, będąc uczniem Szkoły Sztuk Pięknych, Łuszczkiewicz udzielał się w założonym przez studentów UJ w sierpniu 1848 Stowarzyszeniu Wzajemnej Nauki². „Stowarzyszenie to miało na celu uczenie się wzajemne przez pisywanie rozpraw naukowych i odczytywanie ich, założenie czytelni dla młodzieży uniwersyteckiej i wykład elementarny nauk dla młodzieży rzemieślniczej. Programu tego trzymano się ściśle przez pięć miesięcy istnienia swego, rozwiązawszy się dnia 9 stycznia 1849 r. wskutek

* Tekst był drukowany w: *Praxis sine theoria. Księga pamiątkowa poświęcona pamięci Profesora Adama Małkiewicza w 140-lecie powstania pierwszej katedry historii sztuki na ziemiach polskich*, red. A. Betlej, A. Dworzak, Kraków 2022, s. 91–101.

¹ S. Tomkowicz, *Władysław Łuszczkiewicz*, „Rocznik Krakowski”, t. 5, 1902, s. 9 i 32.

² Marian Zgórnjak, *Młodzież akademicka Uniwersytetu Jagiellońskiego wobec wydarzeń politycznych lat 1846–1866*, w: *Studia z dziejów młodzieży Uniwersytetu Krakowskiego od oświecenia do połowy XX wieku*, red. C. Bobińska, t. 1, Kraków 1964, s. 123.

zaprowadzonego stanu obłączenia”³. Łuszczkiewicz, wybrany na jednego z nauczycieli szkoły dla rzemieślników, we wrześniu 1848 złożył w stowarzyszeniu program nauczania. Wygłosił też odczyt pt. *Rzut oka na historię malarstwa polskiego*⁴. Odczyt ten poprzedzał o prawie osiem lat pierwszą jego znaną publikację (o kapitularnym opactwie w Jędrzejowie, 1856) i wskazuje, że autor interesował się historią sztuki jeszcze zanim ukończył studia malarskie.

Trzydzieści lat później syn Władysława Łuszczkiewicza, Józef (1862–1909), adept medycyny na UJ, również działał w studenckim stowarzyszeniu i propagował ideę oświaty dla warstw ludowych. W konserwatywnym Krakowie szerzył słowem i piórem koncepcje pozytywistyczne, a nawet sympatyzował z socjalizmem, za co był aresztowany, sądzony (i uniewinniony). Celem niniejszego artykułu jest przedstawienie czynności Józefa Łuszczkiewicza jako studenta, który pod względem postawy i podejmowanych zadań przypominał swego sławnego ojca, choć różnił się od niego poglądami.

Czytelnia Akademicka w Krakowie, działająca z przerwami w trybie tajnym od około roku 1860, zyskała oficjalną sankcję w okresie autonomii galicyjskiej. Statut zatwierdzony przez Namiestnictwo w lutym 1867 określał, że nadzór nad stowarzyszeniem sprawuje rektor; statut zmieniony w 1875 przyznawał tę rolę senatowi, który wyznaczał kuratora. Równoległe na podstawie ustawy o uniwersytetach nadzór sprawowało Namiestnictwo za

³ K. Estreicher, *Młocki Włodzimierz* [...]. Napisał Bogdan Bogumił, Bm. 1862, s. 6.

⁴ K. Estreicher, *Rys czynności Stowarzyszenia Wzajemnej Nauki od zawiązków jego dnia 14 sierpnia roku 1848 do ostatniego grudnia* (8 II 1849), w: idem, *Dzienniki*, rękopis w TPSP. Wypisu Beaty Kurek z Biblioteki Jagiellońskiej udzieliła mi uprzejmie Magdalena Młodawska, która przygotowuje większą pracę o W. Łuszczkiewiczu.

pośrednictwem dyrekcji policji w Krakowie. W lokalu wynajmowanym w mieście stowarzyszenie utrzymywało bilard, wypożyczalnie książek i czytelnię licznych czasopism polskich i zagranicznych, których większość nadsyłały redakcje gratis lub po niższej cenie. W czytelnii lub w jej sekcjach urządzano odczyty naukowe i obchodzono narodowe rocznice. Najważniejsze były literacko-muzyczne wieczorki mickiewiczowskie (od 1873 publiczne), płatne lub składkowe w celu zbierania funduszy na pomnik poety. Komitet pomnika Mickiewicza w Krakowie powołali najpierw studenci⁵. Próby działań wykraczających poza cele statutowe – na przykład zamiar wydawania popularno-naukowych broszur dla ludu w roku 1873 – szybko udaremniała policja i senat, nieraz przy poparciu konserwatywnych organów prasowych⁶.

Krakowska dyrekcja policji regularnie zdawała sprawę Namiestnictwu z sytuacji w stowarzyszeniach działających na uniwersytecie. Do połowy lat siedemdziesiątych raporty były uspokajające i nieraz wręcz zdawkowe. Na przykład w roku 1876 krótką enumerację podsumowano stwierdzeniem, że wskutek podwójnego nadzoru „zachowanie się tutejszych stowarzyszeń akademickich jest obecnie nienaganne”⁷. Następnym razem napisano, że „Wprawdzie młodzież akademicka [...] obchodziła niektóre uroczystości narodowe dorocznymi wieczorkami literackimi lub nabożeństwami żałobnymi, jak na przykład w rocznicę śmierci Kościuszki, Mickie-

⁵ K. Bąkowski, *Historia Czytelni Akademickiej krakowskiej i udział jej w sprawie budowy pomnika Adama Mickiewicza*, Kraków 1882.

⁶ Archiwum UJ (dalej: AUJ), S II 784 (Czytelnia Akademicka), Odezwa dyr. policji K. Englischa z 11 VI 1873 L. 628 i opinia prof. M. Zatorskiego z 17 VII 1873. Zob. też „Czas”, 1873, nr 132 (11 VI), s. 2.

⁷ Archiwum Narodowe w Krakowie (dalej: ANK), 29/247/0/-/1248: C.K. Dyrekcja Policji w Krakowie (dalej: DPKr), s. 274 (brulion raportu z 4 IX 1876).

wicza, Lelewela itp., obchody te jednak nie miały ani doniosłości politycznej, ani wybitnej cechy demonstracji”⁸.

Zdaniem organów policyjnych było to zasługą rektora Fryderyka Zolla, „Dr Zoll potrafił sobie bowiem wyrobić u tej młodzieży poważanie i zaufanie, które mu pozwalają działać na jej umysły w kierunku znanej lojalności i taktu tego profesora”. „Objawy niewłaściwe” pochodziły od kilku uczniów spod zaboru rosyjskiego, bo „galicyjskim uczniom odmówić nie można legalnego i oględnego zachowania”⁹. Gdy wysokich urzędników Namiestnictwa niepokoiły „przesadne idee niepodległościowe dążące do obalenia obecnego porządku”, szerzone zwłaszcza przez studentów przybyłych z Warszawy¹⁰, policja zapewniała, że jeden z nich (M. Wołowski) wprawdzie odwiedził we Lwowie źle widzianego przez władze Agatona Gillera, ale obecnie zajmuje się nauką, przygotowując się do rygorozów, co uczyniło go „więcej obojętnym na polu politycznym”. Mogło tak być też dlatego,

że młodzież akademicka z rodzin arystokratycznych i wyższych domów, należąca do Czytelni Akademickiej, a nie tająca się ze swoim wstrętem do wszelkich ruchów politycznych, bacznie śledzi wszelkie w tym kierunku zachowania się kolegów i tym sposobem hamuje i powstrzymuje objawy niewłaściwe¹¹.

Tak więc w opinii krakowskiej policji młodzież studencka zachowywała się w tym czasie odpowiednio. Sytuacja zmieniła się po

⁸ Ibidem, s. 293–294 (brulion raportu z 1 I 1877).

⁹ Ibidem, s. 299.

¹⁰ Ibidem, s. 277 (wezwanie z 10 IV 1877 do wyśledzenia dwóch studentów-obcokrajowców).

¹¹ Ibidem, s. 284–285 (brulion odpowiedzi z 11 IV 1877). O Wołoskim zob. I. Homola, *Kraków za prezydentury Mikołaja Zyblikiewicza (1874–1881)*, Kraków 1976, s. 218–235.

głośnym procesie Waryńskiego i towarzyszy (1880), który stał się dogodną trybuną dla działaczy socjalistycznych, a dla policji, sądu śledczego i prokuratury okazał się porażką (sędziowie przysięgli uwolnili oskarżonych od głównych zarzutów). Po roku 1880 niektórzy podsądni w tym procesie prowadzili dalej w Krakowie tajne kółka socjalistyczne, przy czym pomagali im studenci¹². W wyborach do zarządu Czytelni Akademickiej w listopadzie 1882 duże poparcie uzyskał student I roku Wydziału Lekarskiego Szczepan Jan Mikołajski, oskarżony z roku 1880. Na zebraniu wyborczym przedstawił się jako skrajny demokrat „dość niereligijny”, wobec czego obecny tam prof. Franciszek Kasperek, kurator Czytelni, oprotował kandydaturę i zagroził ustąpieniem ze swej funkcji. W rezultacie Mikołajski został tylko zastępcą członka zarządu, a prof. Kasperek – wyrażając wprawdzie zadowolenie z faktu, że Czytelnia „odciąga młodzież od lokali mniej przyzwoitych” – zawiadomił senat, że zachodzi uzasadniona obawa, iż się w niej szerzyć może „szkodliwy prąd socjalno demokratyczny [...] który niestety idzie częstokroć w parze z ateizmem i skrajnym materializmem, który w miejsce nieraz może zbyt gorących, ale zawsze szlachetnych uczuć patriotycznych wprowadza chłodne idee kosmopolityczne”. Profesor zaproponował regulacje prawne radykalnie zwiększające prerogatywy kuratora i senatu, łącznie z prawem usunięcia kandydatów wyborczych w stowarzyszeniach¹³.

5 listopada 1882 wybrano prezesem studenta prawa Jana Gwalberta Pawlikowskiego (1860–1939), który „na przedwyborczym zgromadzeniu [...] zaznaczył wyraźnie, że jest pozytywistą i szcze-

¹² J. Buszko, *Studenci krakowscy wobec ruchu socjalistycznego i ludowego (1880–1904)*, w: *Studia z dziejów młodzieży...*, s. 194.

¹³ AUJ, S II 784, pisma F. Kasparka z 8 i 16 XI 1882. Zob. też J. Myśliński, *Czytelnia Akademicka i Ognisko*, w: *Studia z dziejów młodzieży...*, s. 168.

głowo rozwinął całokształt swych przekonań”¹⁴. Pawlikowski już wcześniej należał do zarządu, podobnie jak jego kolega z gimnazjalnej klasy Józef Łuszczkiewicz, udzielający się ponadto w sekcji literacko-muzycznej¹⁵, w 1882 wybrany przez aklamację bibliotekarzem¹⁶.

27 listopada 1882 na dorocznym publicznym wieczorku miciekiewiczowskim w Sukiennicach prezes Pawlikowski wygłosił przemówienie zawierające deklarację programową zarządu, dystansując się od tradycji romantycznej i formułując hasła pozytywizmu i postępu. Mowa ta spotkała się z improwizowaną odpowiedzią profesora Stanisława Smolki, a kilka dni później z jej tezami polemizował w przemówieniu immatrykulacyjnym rektor, ks. prof. Józef Pelczar¹⁷. Treść wystąpień w Czytelni znamy z omówień prasowych, z których najciekawsze, aprobatywne dla wywodów prezesa jest bezimiennie sprawozdanie wydrukowane w warszawskim „Przeglądzie Tygodniowym”:

Czas romantyzmu – wedle słów mówcy – minął dla nas bezpowrotnie, dziś nie wierzymy w hasło: „rozumni szalem”, które da się tylko pojąć na tle gorącej epoki, w której było wygłoszone, bo gorzkie doświadczenie wykazało całą jego nielogiczność. Młodzież pragnie,

¹⁴ Z *Krakowa*, „Przyszłość. Organ poświęcony młodzieży polskiej”, 1883, nr 1 (I I), s. 9. Pawlikowski używał wtedy imienia Jan.

¹⁵ „Sprawozdanie z czynności Wydziału Czytelni Akademickiej w Krakowie”, 1882, s. 13 i 36.

¹⁶ AUJ, S II 784, pismo F. Kasparka z 8 XI 1882 (rozkład głósów).

¹⁷ Rektor przestrzegał przed indyferentyzmem religijnym, materializmem i Molochem socjalizmu. Zachęcał do skupiania się w Towarzystwie Wzajemnej Pomocy i w Czytelni Akademickiej, i do pilnego baczenia, „by się tam nie zakradły niedobre prądy”. J. Pelczar, *Mowa* [...] d. 1go grudnia 1882 r., „Czas”, 1882, nr 276 (2 XII), s. 1.

jak dawniej, pchać świat nowymi tory, ale do zapału musi dorzucić potężniejszą odeń jeszcze dźwignię – siłę.

Chodziło o siłę idei i rozumu, i metodę pozytywistyczną. Zdaniem korespondenta mowa prof. Smolki, „pierwsza protestacja przeciw nowym prądom, [...] redukowałą się w całości do jednego wielkiego zera”. Autor cieszy się, że „w caliźnie naszego życia umysłowego przejawiała się maleńka szparka, będąca dowodem, iż w [konserwatywnym Krakowie] coś się poruszać zaczyna, coś, co jest zadatkem życia”¹⁸. Korespondent lwowskiego tygodnika „Ziarno”, redagowanego przez Bolesława Czerwieńskiego, wy dobył z przemówienia akcenty socjalistyczne: „Młodzież czuje oddźwięk w swych sercach na hasła «wolności i równości» – powtarza w duszy za poetą: «że jej zadaniem wstrząsnąć bryłę świata»”. W tym samym artykule omówiono urządzony w Czytelnicy Akademickiej obchód rocznicy powstania listopadowego: „obok przemówienia p. Pawlikowskiego – mniej więcej tej samej barwy i tendencji, co na wieczorze mickiewiczowskim, – wyszczególniał się odczyt jednego z medyków, p. Łuszczkiewicza, zarówno świetną formą, jak zdrowym jądrem”. Referent wykazał, że powstanie „upaść musiało, bo nie było z nim największej siły narodu, ludu”¹⁹. Ta pozytywna ocena wystąpień Pawlikowskiego i Łuszczkiewicza kontrastuje z opinią redaktora o wieczorku ku czci Mickiewicza we Lwowie. Czerwieński, który dekadę wcześniej sam działał i publikował w czytelnicy lwowskiej wiersz *W osmnastą rocznicę skonu Adama*

¹⁸ *Młodzi w Krakowie*, „Przegląd Tygodniowy”, 1882, nr 51 (17 XII), s. 647–648.

¹⁹ W artykule wspomniano też „bezprogramową” mowę prof. Smolki i mowę rektora Pelczara. *Z Krakowa pisać do nas*, „Ziarno. Tygodnik literacki, artystyczny, naukowy i społeczny”, 1882, nr 11 (9 XII), s. 129–130.

Mickiewicza (1873)²⁰, napisał teraz: „Cóżemy się [...] dowiedzieli od prezesa Czytelni akademickiej p. Sawczyńskiego, który wygłosił wstępne przemówienie? Nic – zupełnie nic. Mowa była gładka, wygłoszona płynnie, ale oprócz utartych, po części zwietrzałych frazesów, i to wygłoszonych na zimno, nic w niej nie było”²¹. Z końcem grudnia 1882 Czerwieński z radością powitał zapowiadany nowy krakowski „dwutygodnik *Przyszłość*, organ młodzieży polskiej”²².

Publikowany od początku roku 1883 dwutygodnik „*Przyszłość*” formalnie nie był „organem młodzieży polskiej”, lecz „organem poświęconym młodzieży polskiej”, ponieważ nie firmowali go studenci, lecz mieszkający w Krakowie ceniony lekarz i społecznik Jan Jodłowski (1841–1919), były powstaniec i sybirak²³. Członkowie redakcji – Jan Pawlikowski i Józef Łuszczkiewicz – ujawnili się dopiero w ostatnim numerze (4 I 1884). Dzięki kamuflażowi pismo było niezależne od władz uczelni, w rzeczywistości jednak było redagowane i wypełniane przez młodzież akademicką. Drukowano tam m.in. referaty wygłaszane w Czytelni. Teksty, nawet największe, zwykle nie były podpisane. Należał do nich rozpoczęty wkrótce po śmierci Józefa Szujskiego wieloodcinkowy artykuł Paw-

²⁰ J. Spytkowski, *Bolesław Czerwieński (1851–1888)*, w: *Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu*, t. 1, Warszawa 1965, s. 469.

²¹ *Ziarnka*, „*Ziarno. Tygodnik literacki...*”, 1882, nr 10 (2 XII), s. 119.

²² Wnosił, że „będzie to pismo niezależne i szczerze postępowe” i cytował sformułowania z prospektu: „umysł zdrowy ukochać musi drogi pewne i proste, a nie dać się zwodzić ścieżkom obłudnym [...], ukochać on musi wolność i wiedzę oswobodzicielkę z więzów przesądu, dogmatu i doktryny... Zdrowie moralne [...] miłością każe ogarniać tłumy i w pochodzie ku przyszłości podeprzeć uciśnionych”. *Ibidem*, nr 13 (23 XII), s. 153–154.

²³ Dane życiorysowe zob. ANK 29/87: Spis ludności miasta Krakowa z r. 1880, Dz. I, t. 7, nr 427.

likowskiego pt. *Nad świeżym grobem*, drukowany anonimowo od lutego do maja, wydany w tym samym roku jako broszura *Kilka słów o „Stańczykach”*²⁴. Łuszczkiewicz w pierwszym numerze podpisał kryptonimem „Eł. Jot.” obszerną recenzję V tomu *Pism* Henryka Sienkiewicza (krytycznie recenzując również opinie Piotra Chmielowskiego o Sienkiewiczu)²⁵, następnie w lutym i marcu dwuczęściowy artykuł o T. T. Jeżu²⁶, a w sierpniu fragment większej całości, czyli powieści *Dobry chłopiec*²⁷. Bibliografia zawarta w przedwojennej monografii rodu Pawlikowskich przyznaje Janowi Pawlikowskiemu autorstwo kilkunastu bezimiennych tekstów i części tekstów w 19 numerach „Przyszłości”²⁸. Można przyjąć, że wiele z pozostałych napisał Łuszczkiewicz, w tym większość felietonów pt. *Głos wolny*. Pawlikowski zdawał w nich sprawę z obrad komitetu pomnika Mickiewicza, a drugi autor poruszał inne kwestie, np. polemik prasowych wokół „Przyszłości”. Styl Pawlikowskiego, który już wówczas interesował się poezją Słowackiego, był poważny, ze skłonnością do patosu, natomiast Łuszczkiewicz, piszący bardziej błyskotliwie i komunikatywnie, wykazywał skłonność do groteski. Wydaje się, że przedsięwzięciu wydawniczemu patronował Mieczysław Pawlikowski (1834–1903), ojciec Jana, właściciel Medyki i innych dóbr ziemskich, literat, redaktor i udziałowiec

²⁴ *Kilka słów o „Stańczykach”*. Przyczynek do dziejów i charakterystyki politycznego obozu, Kraków 1883, 56 s. Autorstwo według recenzji (P., *Jeszcze jeden cios*, „Prawda”, 1883, nr 38 (22 IX), s. 448), przytoczonej w „Przyszłości” nr 19 (1 X), s. 7–8.

²⁵ *Henryk Sienkiewicz i Vty tom pism jego*, „Przyszłość”, 1883, nr 1 (1 I), s. 3–7.

²⁶ T. T. Jeż, „Przyszłość”, 1883, nr 4 (15 II), nr 6 (15 III).

²⁷ *Urywek*, „Przyszłość”, 1883, nr 15/16 (15 VIII), s. 3–5.

²⁸ A. Włodarski, *Materiały do historii rodu Cholewitów-Pawlikowskich*, Warszawa 1929, s. 123.

„Nowej Reformy”. W każdym razie po zamknięciu „Przyszłości” właśnie Mieczysław Pawlikowski uregulował zaległe rachunki²⁹.

Pojawienie się „Przyszłości” zostało życzliwie przyjęte przez część prasy. Liberalna lwowska „Gazeta Narodowa” Jana Dobrzańskiego w grudniu 1882 streściła projekt napisany „z werwą i śmiało” i życzyła „Przyszłości” powodzenia³⁰. Nawet petersburski „Kraj” orzekł, że „prospekt nakreślony jest stylem jednym i pełnym młodzieńczej werwy i krewkości”³¹. Na podstawie pierwszego numeru warszawski „Kurier Codzienny” docenił „jasno wypowiedziane” w artykule wstępnym „żądanie pisma” i „postępową dążność”³². Aleksander Świętochowski był bardziej krytyczny, m.in. wobec artykułu Łuszczkiewicza o Sienkiewiczu³³. W Krakowie kronikarz „Nowej Reformy” – może Mieczysław Pawlikowski³⁴ – rekomendował „artykuły nacechowane bardzo wybitnie postępowymi dążnościami. Styl bez frazesów, ale mający wiele młodzieńczej werwy. Artykuły krytyczne nie bez wartości”. Artykuł wstępny zdaniem kronikarza „służy za odprawę tym, którzy już przed pojawieniem

²⁹ Biblioteka Jagiellońska, rkp. 11097 I: *Notesy Mieczysława Pawlikowskiego z lat 1879–1894*, t. 2, s. 61 (1884: „18/1 Jaś à conto 254,55 rachunku „Przyszłości”: 200 [złr.]”).

³⁰ *Przyszłość*, „Gazeta Narodowa”, 1882, nr 293 (23 XII), s. 3.

³¹ *Kraków*, „Kraj”, 1882, nr 24 (24 XII), s. 5.

³² „Nie ma tu frazesów, ale wiele młodzieńczego zapału”. *Literatura i dziennikarstwo*, „Kurier Codzienny”, 1883, nr 5 (5 I), s. 4.

³³ A. Świętochowski, *Liberum veto*, „Prawda”, 1883, nr 1 (6 I), s. 10.

³⁴ Pawlikowski w „Nowej Reformie” „obrał sobie kronikę [...]. Po paru latach, gdy pod jego kierunkiem wyrobiła się siła odpowiednia – objął redakcję felietonu”. T. Romanowicz, *Słowo wstępne*, w: M. Pawlikowski, *Pseudo. Plotki i prawdy*, wyd. 2, Lwów 1904, s. XIV.

się pierwszego numeru pomawiali pismo o niepatriotyczne dążności³⁵.

Mowa o nieprzychylnych głosach prasy konserwatywnej, np. „Gazety Krakowskiej i Reformy” (organu, w którego skład weszła zachowawcza część „Reformy”)³⁶. „Czas” w dużym recenzyjnym artykule stwierdzał, że redakcja „Przyszłości” jest „w ręku pewnej frakcji młodzieży akademickiej [...]. Tendencje tego pisma, zakreślone jaskrawo i stanowczo [każą] zapisać je z bólem” do pasywów nowego roku. Ideałem redakcji są zdaniem „Czasu” rosyjscy „profesorowie warszawskiego uniwersytetu, naślani z Kazania i tym podobnych ognisk umysłowego życia apostołowie skrajnego pozytywizmu”. Publikowany w pierwszym numerze list Darwina, „blisko pół roku temu odkryty”, ma tylko „zamanifestować nierelegijność i ateizm jako główny sztandar tej frakcji”. Jedyne „dla zamydlenia oczu, dających się łatwo zamydlić, służą strzępki frazesów patriotycznych”. „Zwróciliśmy obszerniej uwagę – piszą redaktorzy *Czasu* – na ten smutny objaw patologiczny, poczuwając się tym bardziej do tego obowiązku, że niektóre pisma, [...] zapewne bez przeczytania numeru *Przyszłości*, przyjęły go z żywą sympatią”³⁷. Jak widać, dla zwalczania studenckiego pisma użyto argumentów tożsamościowych (wyznaniowych i narodowych). Na inspirację rosyjską wskazywał też ultrakonserwatywny galicyjski korespondent warszawskiej „Gazety Polskiej”:

w „Przyszłości” [...] z każdego jej słowa wionie chłód doktrynerski, posunięta do ostatnich granic zarozumiałość i pewność siebie, oraz niepolski, importowany ze

³⁵ *Przyszłość, organ poświęcony młodzieży polskiej*, „Nowa Reforma”, 1883, nr 1 (3 I), s. 3.

³⁶ *Dwa nowe pisma*, „Gazeta Krakowska i Reforma”, 1882, nr 221 (20 XII), s. 4.

³⁷ *Przyszłość*, „Czas”, 1883, nr 3 (5 I), s. 2.

wschodu indyferentyzm narodowy [...]. Zarówno jak „Robotnik”, „Przyszłość” jest objawem patologicznym, a jak w pierwszym z tych pism widoczny jest wpływ genewskich i niemieckich socjalistów, tak w drugim każdy od razu pozna obcy nam duch młodego pokolenia wschodnich naszych sąsiadów³⁸.

Argument rosyjski nie był jedynym: zaniepokojeni profesorem Jagiellońskiej Wszechnicy widzieli w nowoczesnych prądach przejaw kosmopolityzmu zrodzonego nie w Rosji, lecz na Zachodzie³⁹. Była to diagnoza bliższa prawdy, ale o mniejszej sile rażenia.

Nowe pismo zwróciło też uwagę władz politycznych. Już po miesiącu Namiestnictwo wezwało dyrekcję policji do podania nazwisk studentów biorących udział w wydawaniu „Przyszłości”, a na początku marca objęto inwigilacją (kontrolą korespondencji) doktora Jodłowskiego⁴⁰.

W styczniu 1883 władze zarządziły wydalenie z Austrii dwóch „obcokrajowców” studentów medycyny zaangażowanych w agitację socjalistyczną: Aleksandra Zawadzkiego i Henryka Jarona. Zawadzki, który przybył na studia do Krakowa w sierpniu 1881, należał w 1882 do zarządu Czytelni Akademickiej i był zastępcą biblio-

³⁸ W. M., *Z Galicji, 14 stycznia*, „Gazeta Polska”, 1883, nr 14 (19 I), s. 2. Ataki na „Przyszłość” omawia „Przegląd Tygodniowy”, 1883, nr 4 (28 I), s. 50 i nr 6 (11 II), s. 69–70.

³⁹ Tak streszcza przemówienie S. Smolki z 5 XI 1882 korespondent „Przeglądu Tygodniowego”: „rozpoczęła się tyrada o «wstrętnych, mętnych, cywilizacji niechętnych» zasadach zachodu, o «kosmopolitycznych ideach» które, zdaniem mówcy „nawet gruntu znaleźć nie powinny na przesiąkniętych miłością swojszczyzny sercach młodzieży”. *Młodzi w Krakowie...*, s. 648.

⁴⁰ ANK, 29/247/0/-/206: DPKr, Dziennik podawczy 1883, poz. 133 (3 II), 203 (3 III).

tekarza⁴¹; w wyborach 5 listopada został „podstolim” czyli skarbnikiem. Zdaniem Jana Kostrzewskiego, komisarza policji prowadzącego dochodzenia przeciw socjalistom, właśnie Zawadzki dał inicjatywę do założenia pism „Robotnik” i „Przyszłość” i był współpracownikiem „Przyszłości”⁴². Jak doniosła „Nowa Reforma”, 28 stycznia „młodzież tłumnie zebrana odprowadziła obydwóch kolegów. O piątej znalazło się przy odjeździe wrocławskiego pociągu około półtora setki młodzieży na peronie, mimo że z wydaniem biletów na peron robiono trudności. Znać nie uważała młodzież kolegów tych za «obcokrajowych»”⁴³. Uczestnicy tamtych wydarzeń i historycy socjalizmu mieli później o Zawadzkim zdanie krytyczne. Ludwik Krzywicki, który w roku 1883 studiował w Krakowie medycynę, pisał, że Zawadzki był swego rodzaju „magnetyzerem: umiał wolę swoją narzucać osobom o wiele wyżej stojącym od niego pod względem umysłowym i moralnym”⁴⁴. Pomędzy Zawadzkim we Wrocławiu i sympatykami socjalizmu w Krakowie „toczyła się żywa korespondencja, w której wymieniano nazwiska, spowiadano się z zamiarów, słowem, zachowywano się jak przystało na sztubaków. Te listy miały później służyć jako dowody w akcji oskarżeniowej”⁴⁵.

⁴¹ Za jego kadencji ze szczyptych funduszów kupiono m.in. F. A. Langego *Historię filozofii materialistycznej* (Warszawa 1881–1882) i J. W. Draopera *Dzieje stosunku wiary do rozumu* (Warszawa 1882). „Sprawozdanie z Czynności Zarządu...” 1882, s. 16.

⁴² *Krakowski komisarz policji na służbie carskiego wywiadu*, red. L. Baumgarten, Kraków 1967, s. 25.

⁴³ „Obcokrajowcy”, „Nowa Reforma”, 1883, nr 24 (31 I), s. 3.

⁴⁴ L. Krzywicki, *Wspomnienia*, t. 1, Warszawa 1957, s. 257. Podobnie E. Haecker, *Historia socjalizmu w Galicji i na Śląsku Cieszyńskim*, Kraków 1933, s. 288; zob. też B. Limanowski, *Pamiętniki (1870–1907)*, Warszawa 1958, s. 278.

⁴⁵ Krzywicki, *Wspomnienia*, s. 258.

Jak wspomina Krzywicki, do swej znajomej w Krakowie pisał Zawadzki listy bardziej prywatne, a z powodu konspiracji wysyłał je na adres młodych działaczy. Pewnego razu, gdy prawdziwej adresatki nie było w Krakowie, pośrednicy przekonani, że rzecz może być bardzo pilna, w gorliwości swojej rozpieczętowali list i znaleźli tam „treść wcale nie rewolucyjną”⁴⁶. W listach zabranych podczas rewizji lub przechwyconych przez policję w lutym 1883 jest wymieniony także Józef Łuszczkiewicz, między innymi jako odbiorca listów przeznaczonych dla Walerii Wierzbickiej⁴⁷. Możliwe, że Łuszczkiewicz już wcześniej znalazł się w kręgu podejrzanych, bo na walnym zgromadzeniu Czytelni 18 stycznia zrzekł się funkcji bibliotekarza, a z enigmatycznej wzmianki w „Przyszłości” wynika, że uczynił to pod presją lub wskutek szantażu⁴⁸. 13 lutego aresztowano w Krakowie działaczkę socjalistyczną Wandę Cezarynę Wojnarowską i przyjaciela Zawadzkiego, studenta medycyny Kazimierza Janowicza, którego wcześniej zamierzano wydalić z kraju⁴⁹. Zawadzki, sam bezpieczny we Wrocławiu, wyrażał w listach nadzieję, że proces w Krakowie przysłuży się sprawie: Janowicz i tak „byłby wyrzucony; lepiej, że będzie ozdobą procesu – tylko trzeba dobrze zorganizować proces”. „Dla czego proces socjalistyczny da się wyzyskać? Przy zamkniętych drzwiach sądzić nie mogą,

⁴⁶ Ibidem, s. 258–259.

⁴⁷ *Krakowski komisarz policji...*, s. 31 i 36 (list z 15 II, znalezione 21 II).

⁴⁸ „Powody, które go do tego kroku zmusiły, były tak przykrych natury, że wolimy ich tutaj nie poruszać. Wyluszczył je ustępujący bibliotekarz w dłuższej mowie, która z jednej strony usprawiedliwiła zupełnie jego postępek, wykazując, że broni, której nań przeciwnicy używali, podjąć nie może, bo ona nie godna uczciwego człowieka, a z drugiej była nowym dowodem, jakich środków używają ci, którzy wraz z naszą ideą prześladowają jej przedstawicieli”. „Przyszłość” 1883, nr 3 (1 II), s. 8.

⁴⁹ ANK, 29/247/0/-/206, poz. 107 („względem wywołania z kraju”, 30 I), 149 i 150 (13 II).

tylko trzeba zaagitować, aby jak najwięcej młodzieży, publiczności przyszło. Kazik [Janowicz] nie powinien brać adwokata, a sam się bronić. Głównie mówić o zasadach”⁵⁰.

W listach znaleziono nowe nazwiska, w sumie więc w ciągu trzech tygodni aresztowano i przekazano do Krajowego Sądu Karnego 10 osób, w tym pięć pań i dwóch studentów (Janowicza i Łuszczkiewicza), ponadto wydalono z kraju trzech podejrzanych cudzoziemców, m.in. ucznia Szkoły Sztuk Pięknych Karola Geisnera⁵¹. Łuszczkiewicza aresztowano 22 lutego⁵², dzień po Wierzbickiej⁵³. 7 marca aresztowano jeszcze Marię Przygodzką, retuszerkę fotografii, u której znaleziono pisma „Robotnik” i „Przyszłość”⁵⁴. Przebiegiem dochodzenia interesował się sam namiestnik Alfred Potocki, dobrze zorientowany w sprawie⁵⁵. Około 7 marca Łuszczkiewicz i Maria Wojciechowska „zostali na wolność puszczeni po odebraniu przyrzeczenia”⁵⁶. Ostatecznie cztery osoby odpowiadały z wolnej stopy, pięć pozostało w areszcie, a jeden aresztowany (Adam Maurizio) został wyłączony do innego procesu. 23 maja sąd doręczył obwinionym akt oskarżenia o utworzenie tajnego koła socjalistycznego w Krakowie⁵⁷. Udział w tajnym stowarzyszeniu był występkiem (z § 285 i 287 kodeksu karnego i § 293 w przypadku cudzoziemców) zagrożonym znacznie niższą karą aresztu (§ 288–291, 294) niż zbrodnia „zakłócenia spokoju

⁵⁰ *Krakowski komisarz policji...*, s. 34 (list z 15 II), 41 (list z 24 II).

⁵¹ ANK, 29/247/0/-/1098: DPKr / [Dochodzenie przeciwko Marii Przygodzkiej], 1883, s. 13.

⁵² AUJ, S II 713 (Akta dyscyplinarne studentów 1870–1890), s. 33.

⁵³ ANK, 29/247/0/-/206, poz. 166.

⁵⁴ ANK, 29/247/0/-/1098, s. 15–16.

⁵⁵ *Ibidem*, s. 5, 25, 29.

⁵⁶ AN Kr., 29/247/0/-/206, poz. 244.

⁵⁷ *Krakowscy socjaliści*, „Nowa Reforma”, 1883, nr 116 (26 V), s. 3.

publicznego”, karana ciężkim więzieniem (§ 65)⁵⁸. Po trwającej trzy dni rozprawie, która wbrew oczekiwaniom Zawadzkiego była tajna⁵⁹ wyrok ogłoszono w niedzielę 24 czerwca. Trybunał uwolnił od oskarżenia Wandę Wasylewską i Łuszczkiewicza; pozostałych skazał na kary aresztu od dwóch tygodni do czterech miesięcy, a „cudzoziemców” również na wydalenie z kraju⁶⁰. Był to czwarty z pięciu procesów socjalistów w Krakowie w ciągu roku 1883⁶¹. Dochodzenia policyjne prowadził komisarz Jan Kostrzewski, będący również na usługach Rosjan, którego wyrazistą charakterystykę dał Emil Haecker w swojej *Historii socjalizmu w Galicji*⁶². Nie od rzeczy będzie dziś przypomnieć odpowiedź Kostrzewskiego na uwagę

⁵⁸ O zbrodnię z § 65 oskarżono wcześniej Waryńskiego i towarzyszy, a skazano tylko kilku z § 320 za fałszywy meldunek. *Krakowski komisarz policji...*, s. 77.

⁵⁹ Krzywicki napisał znacznie później, że „naturalnie proces był jawny”, prawdopodobnie jednak jawne było tylko ogłoszenie wyroku. Krzywicki, *Wspomnienia*, s. 259.

⁶⁰ Na areszt czteromiesięczny skazano krakowianina Jana Schmiedhausena (jednego z oskarżonych w procesie Waryńskiego) i Cezarynę Wojnarowską, na trzymiesięczny – Janowicza i Tomasza Wesołowskiego. *Proces socjalistów*, „Nowa Reforma”, 1883, nr 142 (26 VI), s. 3; *Krakowski komisarz policji...*, s. 86–87. W ANK w zespole C.K. Sąd Krajowy Karny w Krakowie (29/441) nie znalazłem akt tego procesu.

⁶¹ *Krakowski komisarz policji...*, s. 84–87; J. Buszko, *Dzieje ruchu robotniczego w Galicji Zachodniej (1848–1918)*, Kraków 1986, s. 105–108.

⁶² „Nie cofał się przed najprzewrotniejszymi środkami, przed znęcaniem się i kuszeniem, przed krzywoprzysięstwem, przed prowokacją. [...] W tropieniu socjalistów widział swe zadanie życiowe, drogę swojej kariery; uważał się za międzynarodowego policjanta w tym zakresie. [...] Nawet kiedy już dawno socjalizm wyżył się u nas wszelkich naleciałości konspiracyjnych i stał się jawnym ruchem masowym, Kostrzewski, jak maniak, wciąż jeszcze węszył za tajnymi stowarzyszeniami. Nadzwyczaj bogatą miał w tym względzie fantazję: na zawołanie wyrastały w niej tajne stowarzyszenia i rozrastały się do jakichś apokaliptycznych roz-

Ludwika Krzywickiego z roku 1883, że konstytucja nie pozwala na wydalenie go z Austrii w krótkim terminie paru tygodni: „Jeżeli pan mi będzie mówił o konstytucji, to jutro odstawimy pana do granicy”⁶³.

W aktach policyjnych nazwisko Józefa Łuszczkiewicza pojawia się ponownie sześć miesięcy później, gdy w papierach aresztowanej 19 grudnia 1883 w Krakowie „nihilistki” Marii Zofii Onufrowicz-Płoskiej znaleziono jego adres. W ostatni dzień roku Filip Zaleski, nowy namiestnik Galicji, równie jak jego poprzednik zainteresowany przebiegiem śledztw, wezwał dyrektora krakowskiej policji do udzielenia kilku informacji pominiętych w raporcie, pytając m.in. „co Pan Dyrektor zarządziłeś wobec Józefa Łuszczkiewicza”⁶⁴. W odpowiedzi czytamy, że nie znaleziono podstawy do wytoczenia śledztwa sądowo-karnego i jedynie powołano Łuszczkiewicza na świadka, zwłaszcza że aresztowana zeznała, iż adres Łuszczkiewicza miała tylko w celu zamówienia od niego pisma „Przyszłość” dla wysłania tegoż kilku osobom do Królestwa. „Nadto Józef Łuszczkiewicz, przeciw któremu w toku procesu karnego Aleksandra Zawadzkiego śledztwa zaniechano, dał swemu ojcu słowo, iż się agitacją socjalistyczną zajmował nie będzie, i dotychczas pomimo ścisłego nadzoru nie dostrzeżono, aby się swemu przyrzeczeniu przenievierzył”⁶⁵. Rzuca to pewne światło na wpływ Władysława Łuszczkiewicza na przebieg śledztwa i mechanizm uniewinnienia

miarów, sięgających od Newy do Genewy, zawsze oczywiście poprzez Kraków”. Haecker, op. cit., s. 177.

⁶³ Krzywicki, *Wspomnienia*, s. 259.

⁶⁴ ANK 29/247/0/-/1015: DPKr / [Proces socjalistów krakowskich w 1884], s. 97 (F. Zaleski 31 XII 1883 L. 12421 do dyrektora policji w Krakowie).

⁶⁵ Ibidem, s. 112–113 (dyrektor policji do F. Zaleskiego, 6 I 1884, bru-lion).

w procesie, a równocześnie wskazuje, że organy bezpieczeństwa mimo przyrzeczenia podejrzanego nie zaniedbywały inwigilacji.

Wysokie świadectwo w zakresie inwigilacji wystawia galicyjskim organom administracji terytorialnej sprawa Marii Jendlówny, późniejszej żony Józefa Łuszczkiewicza. W maju 1884 prezydium Namiestnictwa przesłało do dyrekcji policji w Krakowie przechwycony podejrzan list podpisany inicjałami M.J.⁶⁶ Autorka zdaje w nim sprawę ze swego pobytu w Starym Samborze, pyta o nowiny z Krakowa („Czy widziałas pana Łuszczkiewicza, młodego naturalnie?”) i wspomina o niedawnym wybuchu bomby przed budynkiem krakowskiej policji przy ul. Mikołajskiej pod oknem komisarza Jüttnera: „Czy do sprawy Itnera nie jest wmieszany kto z naszych? Co za nonsens!!!”⁶⁷. Komisarz Kostrzewski, dla którego przeznaczona była owa bomba, wyciągnął z treści listu wniosek, że „tak adresat jak adresant należą do partii socjalno-rewolucyjnej” i zwrócił się do starosty w Starym Samborze o ustalenie tożsamości tych osób⁶⁸. Odpowiedź starosty, sporządzona już po dwóch dniach, zadziwia bogactwem szczegółów, z których przytoczymy tylko część:

Autorką załączonego listu jest panna Jendl, córka c.k. notariusza z Liszek, zamieszkałego w Krakowie, i bawi tutaj od świąt wielkanocnych u jej stryja Dr. Jendl-Sausenhofen c.k. asystenta sanitarnego, a zięcia pana Franciszka Steyskala c.k. radcy wyższego sądu krajowego w Krakowie. Ta 18 letnia panna Jendl [...] ma

⁶⁶ ANK 29/247/0/-/207: DPKr, Dziennik podawczy 1884, poz. 283 (19 V).

⁶⁷ ANK 29/247/0/-/1082: DPKr / [M. Jendlówna – podejrzana o socjalizm], s. 12–15.

⁶⁸ Ibidem, s. 3 (brulion pisma do własnych rąk starosty, 19 V 1884, L. 283)

brata, którego jest słuchaczem medycyny w Krakowie, a ten znowu ma przyjaciela ścisłego, z którym ciągle obcuje. Ten przyjaciel chorował w ostatnim czasie wskutek jakiegoś skaleczenia przy sekcji trupa⁶⁹.

Wymieniony w piśmie student medycyny to Teodor Jendl (1861–1895), po Pawlikowskim prezes Czytelni Akademickiej. Przyjaciel skaleczony podczas sekcji to Józef Łuszczkiewicz.

Matka panny Jendl ma być emancypowaną i egzaltowaną kobietą, pełną socjalistycznych zasad, i ma brata, którego jest, czyli może był, inżynierem w Havre we Francji. U tego wuja w Havre i w Paryżu bawiła autorka listu panna Jendl przez 1 1/2 roku i powróciła stamtąd przejęta socjalistycznymi myślami i zasadami. [...] Ojciec panny Jendl sam prosił brata, tj. tutejszego asystenta sanitarnego Dr. Jendla, ażeby ją wziął do siebie i starał się wybić jej z głowy fałszywe zasady, lecz te już za bardzo wpoły się w nią, ażeby to w tak krótkim czasie było możliwe. [...] Panna Jendl [...] czytała książki z biblioteki tutejszej czytelni pań, lecz oprócz dwóch dzieł: „Emancypacja kobiet” i „Mieczem i ogniem” nazwała wszystkie inne głupstwem⁷⁰.

Ograniczone ramy tego artykułu obligują nas do bardziej sumarycznego potraktowania dalszych perypetii Józefa Łuszczkiewicza w Czytelni Akademickiej. Podczas jego aresztowania Czytelnia działała nadal pod kierunkiem Pawlikowskiego. Wielu studentów zapisało się do akademickiego „Koła oświaty ludowej”, które miało

⁶⁹ Ibidem, s. 9 (c.k. Starostwo w Staremmieście do policji krakowskiej, 21 V 1884, L. 94).

⁷⁰ Ibidem.

współpracować z niedawno utworzonym Krakowskim Towarzystwem Oświaty Ludowej. Do głośniejszych wydarzeń należało walne zgromadzenie około 1 marca z referatem studenta Franciszka Zaleskiego (Zalewskiego) o Marksie i socjalizmie. Zaleski „dowodził, że idee te nie mają podstawy u nas, bo nie ma ani kapitału ani pracy; w tym samym duchu przemawiali profesorowie Bochenek i Smolka”⁷¹. Smolka ponoć stwierdził, że „ze socjalizmem obznajamiać się teoretycznie powinien dzisiaj każdy wykształcony człowiek”. Sprawozdawca dwutygodnika „Przyszłość” – prawdopodobnie Łuszczkiewicz wypuszczony niedawno z zakładu przy ul. Kanoniczej – napisał, że nie zamierza iść za tą radą, bo nie ma wcale ochoty „kosztować na obiad więziennych pomysłów. Teraz najbezpieczniej zatykać uszy, jak gdzie o socjalizmie mowa”. Dodał, że różni „panowie” dopytują się już o miejsce pobytu Zaleskiego, który tylko z powodu tematu swego odczytu może zostać jako „obcokrajowiec” wydalony⁷². Tak się podobno rzeczywiście stało. Wstępną fazę nagonki prasowej oraz pacyfikacji Czytelni i „Przyszłości” przez władze polityczne i uniwersyteckie opisał Ludwik Krzywicki w lipcu 1883 w artykule *Z Krakowa w warszawskim „Przeglądzie Tygodniowym”*:

Był i tu ruch, co zmanifestował się szerzej i dobitniej. Było to przeszłego roku [...]. Zbierano się na odczyty, traktowano kwestie szerszej wartości filozoficzno-naukowej, utworzono koło oświaty ludowej, powstało

⁷¹ Sigma, *Kraków, 5 marca 1883*, „Gazeta Polska”, 1883, nr 56 (12 III), s. 2.

⁷² *Z Krakowa*, „Przyszłość”, 1883, nr 6 (15 III), s. 6–7. W kilku następnych numerach „Przyszłości” drukowano rozprawę pt. *Karol Marx*, podpisaną inicjałami Ł. B. Wilhelm Feldman przypisuje autorstwo E. Przewóskiemu (*Dzieje polskiej myśli politycznej w okresie porobiorowym*, Warszawa 1920, s. 51).

pismo „Przyszłość”. Życie tętniło, dość było być na posiedzeniach koła oświaty ludowej lub na odczytach J. Pawlikowskiego, prezesa czytelnicy akademickiej. Wnet jednak klika moralnego porządku zmiarkowała, co się święci; pospieszyła w obronie zagrożonego „patriotyzmu” [...]. Na odczycie np. Pawlikowskiego „o pozytywizmie” [19 I 1883] zebrano prawie całe ciało profesorskie i dalej huzia na Sopicę! Co temu biednemu pozytywizmowi nie zarzucono! Zarzucono mu wyziębianie uczuć, antypatriotyzm, nienaukowość (sic, prof. Rostafiński!), marzycielstwo; najdzielniejszym jednak był zarzut, iż pozytywizm nie jest nic nowego, a więc młodzież nie powinna bawić się w pozytywizm⁷³.

Daleko silniejszy – zdaniem Krzywickiego – był napad partii „moralnego porządku” na „Przyszłość”. Posadzono ją nawet o socjalizm, choć „Przyszłość” jest od socjalizmu daleka. Gdy krytyki niewiele pomagały,

udano się wtedy do środków pewniejszych – obco krajowców wydalano, w tym celu podobno jeden z tutejszych ludofilów specjalnie jeździł do Lwowa; przeciw pozytywizmowi wzbudzono opozycję w młodzieży, gromadząc pewną jej część około „Przeglądu Akademickiego”, nie cofnięto się przed zohydzeniem i spotwarzeniem przodowników ruchu postępowego.

⁷³ L. K. [Krzywicki], *Z Krakowa*, „Przegląd Tygodniowy”, 1883, nr 27 (8 VII), s. 338.

– Ruch powoli ustał. Odczyty stały się mniej uczęszczanymi; rozprawy o pozytywizmie zastąpiła estetyka⁷⁴.

Na początku roku akademickiego 1883/4 Pawlikowski już nie kandydował w wyborach. Słabo wypadł Klemens Bąkowski reprezentujący opcję konserwatywną, wybrano więc prezesem Teodora Jendla, a Łuszczkiewicz wszedł do zarządu. Przemowa prezesa elekta na wieczorku mickiewiczowskim, wydrukowana w „Nowej Reformie”⁷⁵, znowu stała się przedmiotem kontrowersji. W lutym 1884 prof. Smolka złożył kuratorię, a senat nie powołał nikogo na jego miejsce, okazując w ten sposób niezadowolenie z faktu, że „Czytelnia stała się ogniskiem żywiołów obalamuconych i niezdrowych”⁷⁶. W kolejnych miesiącach następowały w sprawie Czytelni liczne zwroty akcji, szczegółowo udokumentowane w archiwaliach⁷⁷. Jendl, źle widziany przez senat, ustąpił w maju⁷⁸; dyrektor policji uznał to za wyraz dobrej woli ze strony studentów, jednak oświadczył się „za wnioskiem rozwiązania Czytelni, aby tym sposobem uczynić zadość życzeniom Senatu”⁷⁹. Postanowienie o rozwiązaniu wydało Namiestnictwo 6 października. Już po miesiącu zatwierdzono statut nowej czytelni, napisany przez prof. Michała Bobrzyńskiego w porozumieniu ze studentami – delegatami wydziałów. Akceptując statut studenci nie wiedzieli jeszcze, że

⁷⁴ Ibidem. Zob. też *Z Krakowa*, „Przyszłość”, 1883, nr 15–16 (15 VIII), s. 9–10.

⁷⁵ „Nowa Reforma”, 1883, nr 274 (1 XII), 275 (2 XII), s. 3.

⁷⁶ AUJ, S II 784, s. nlb: Senat Akademicki Do JPP. Wacława Damskiego, Fr. M. Głuchowskiego i Jana Pawlikowskiego (projekt M. Bobrzyńskiego z 25 III i drukowany odpis z datą 26 III 1884).

⁷⁷ AUJ, S II 784.

⁷⁸ *Z czytelni akademickiej*, „Nowa Reforma”, 1884, nr 118 (22 V), s. 2.

⁷⁹ ANK 29/247/0/-/138: DPKr / Akta ogólne 1851–1893, s. 641 (Dyrekcja Policji 10 VI 1884 L. 354 do namiestnika).

przy wyznaczeniu kuratora senat oznajmił im „sposób sprawowania opieki”, czyli zapisane już uprawnienia kuratora silnie ograniczające Czytelnię⁸⁰. Skutki podstępnego manewru Bobrzyńskiego utrzymały się przez pięć lat. 11 listopada walne zebranie członków starej Czytelni, zwołane w celu rozdysponowania jej majątku, wyraziło życzenie, by statut jak najszybciej został zmieniony. Studenci odwołali się od reskryptu o rozwiązaniu stowarzyszenia⁸¹ i w maju 1889 doczekali się jego unieważnienia przez ministerstwo. Rozwiązano wtedy „nową” Czytelnię i przywrócono „stara”, z bardziej liberalnym statutem⁸².

Wybrany w listopadzie 1884 zarząd „nowej” czytelni, z przewodniczącym Szymonem Bernadzikowskim i sekretarzem Łuszczkiewiczem, po niespełna pięciu miesiącach ustąpił. W drukowanym oświadczeniu studenci napisali, że w każdym usiłowaniu stanął im na przeszkodzie statut: „przede wszystkim skrepował dzia-

⁸⁰ AUJ, S II 784, s. nlb: M. Bobrzyński, Wotum referenta z 27 X 1884 („W razie zatwierdzenia statutu należałoby czytelni oznajmić przy wyznaczeniu kuratora...”); ANK 29/247/0/-/138, s. 633–634 (Senat 2 XI 1884 do Namiestnictwa): „Wotum to, które Senat akadem. oznajmił Czytelni przy sposobności mianowania kuratora, nie weszło do statutu, ponieważ ono dotyczy praw i obowiązków Senatu określonych powszechnie obowiązującymi ustawami a po wtóre z powodu, że Senat akadem. musi zostawić sobie swobodę i możliwość zmiany, a względnie rozszerzenia zakresu władzy kuratora w razie zachodzącej potrzeby”.

⁸¹ ANK 29/247/0/-/138, s. 486–487 (Dyrekcja Policji 13 XI 1884 do Namiestnictwa). Ciekawym przyczynkiem do historii stosunków między władzami uczelni, studentami i policją jest wiadomość, że „na wyraźne żądanie rektora [...] Rydla na powyższym zgromadzeniu był obecny komisarz Jüttner, który o wszystkim bezzwłocznie złożył temuż ustne sprawozdanie”.

⁸² O kolejnych zajęciach zob. D. Miśko, *Historia założenia i rozwoju Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Kraków 1891, s. 150.

łałość najważniejszej dla Czytelni sekcji literacko-artystycznej” i uniemożliwił założenie odrębnego koła akademickiego w łonie krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludu, a kurator-rektor Zoll wielokrotnie uchylał decyzje zarządu⁸³. Następny zarząd, wybrany po ponad dwumiesięcznej przerwie, do którego Łuszczkiewicz już nie wszedł, oceniał później rok sprawozdawczy jako „pasma ustawicznych nadziei, pasmo, z którego znikwały jaśniejsze nitki, aż wreszcie została szara rzeczywistość, niezupełnie zadawalniająca”⁸⁴.

Już ponad rok wcześniej przestała wychodzić „Przyszłość”. W październiku 1883 redaktorzy zawiadomili czytelników, że z powodu innych obowiązków nie mogą wydawać pisma w dotychczasowej formule. Zapowiedziano zmniejszenie liczby numerów, w zamian za dołączenie dodatku z powieścią o objętości „najmniej około sześciu arkuszy”⁸⁵. Była to powieść Łuszczkiewicza pt. *Dobry chłopiec*, drukowana pod kryptonimem „Eł. Jot.”, osnuta na motywach życia studenckiego w Krakowie, swoisty *Bildungsroman*. Do numeru 20 dołączono pierwsze dwa arkusze, cztery kolejne miano dołączyć do numeru 21 w listopadzie⁸⁶, ale prokuratura je skonfiskowała⁸⁷ pod zarzutem występku przeciw moralności. Ostatni numer pisma (22) ukazał się dopiero 4 stycznia, bo redaktorzy oczekiwali na decyzję sądu w sprawie powieści. Zapadła ona dopiero w połowie stycznia i nie była korzystna. Zastrzeżenia

⁸³ AUJ, S II 784, s. nlb: Zarząd Czytelni 2 III 1885 „Do Walnego Zgromadzenia Członków Czytelni Akademickiej w Krakowie” (druk).

⁸⁴ „Sprawozdanie z czynności Zarządu Czytelni Akademickiej w Krakowie” 1884/5, s. 3 i 7.

⁸⁵ *Od Redakcji*, „Przyszłość”, 1883, nr 20 (15 X), s. 1.

⁸⁶ „Przyszłość”, 1883, nr 21 (15 XI), s. 1 („Część tego numeru stanowią 3, 4, 5 i 6 arkusz powieści *Dobry chłopiec*”) i 2 (*Sprostowanie*).

⁸⁷ *Prokuratoria skonfiskowała*, „Nowa Reforma”, 1883, nr 266 (22 XI), s. 2.

dotyczyły rzekomo szczegółowych opisów nieplatonicznej miłości bohatera („opis chwil samotnych z p. Różą równie plastyczny, jak opis zwycięstwa Jerzego w *Nanie*”). Jak doniósł z satysfakcją „Czas”, sąd nie uznał argumentów Redakcji „Przyszłości”, że zakończenie powieści miało przedstawić zgubność postępowania Karola i służyć za odstraszący przykład dla młodzieży⁸⁸. W egzemplarzu zachowanym w Bibliotece Jagiellońskiej, złożonym z dwunastu arkuszy, jak również w odcinku drukowanym w „Przyszłości”, nie zauważyłem momentów gorszących⁸⁹, z pewnością jednak można zaliczyć ten utwór do realistycznych. Łuszczkiewicz zajmował się realizmem w powieści również jako teoretyk⁹⁰.

*

Z omówionych powyżej materiałów można wyciągnąć dwa wnioski. Po pierwsze, że oprócz Władysława Łuszczkiewicza pojawił się w rodzinie inny zdolny i wszechstronny człowiek, aktywny na polu społecznym i obywatelskim. Pozostawił on po sobie wartościowy, choć dotąd zapomniany dorobek pisarski. Władysław Prokesch, również działający wtedy w Czytelni Akademickiej, napisał w nekrologu, że Józef Łuszczkiewicz podczas studiów praktykował w „Nowej Reformie” i pisał korespondencje do warszawskiej „Prawdy” i „Przeglądu Tygodniowego”⁹¹. Zbieżność treści z felietonami w „Przyszłości”, wydźwięk antyklerykalny i antystańczykow-

⁸⁸ „Dobry chłopiec” przed sądem, „Czas”, 1884, nr 13 (16 I), s. 3.

⁸⁹ Z wyjątkiem sceny w saloniku babuni na s. 170. *Dobry chłopiec. Napisał Eł. Jot.*, Kraków 1884, Nakładem Redakcji „Przyszłości”. Zamierzam tę ocalałą powieść udostępnić w Internecie.

⁹⁰ Zob. J. Ł., *Realizm w powieści. Szkic literacki*, „Ziarno. Tygodnik literacki...”, 1882, nr 9 (25 XI), 10 (2 XII) i 11 (9 XII).

⁹¹ W. Pr., *Dr Józef Łuszczkiewicz*, „Nowa Reforma”, 1909, nr 198 (30 IV), s. 2. W innym nekrologu mowa tylko o korespondencjach w „Prawdzie”: „Przegląd Poranny”, 1909, nr 122 (4 V), s. 3.

ski oraz często humorystyczne ujęcie wskazują, że Łuszczkiewicz mógł być autorem przynajmniej niektórych felietonów w „Prawdzie” Aleksandra Świętochowskiego publikowanych pod tytułem *Jasełka krakowskie* od roku 1881 do marca 1884, zwykle pod pseudonimem Prawdzic, a także poematu pod tym tytułem⁹². Weryfikacja autorstwa wymagałaby jednak bardziej szczegółowych badań⁹³.

Drugi wniosek dotyczy stosunku senatu do studentów. Otóż w latach 80. XIX wieku był to stosunek dość autorytarny. Krakowska policja, która w nowszej literaturze miała pod tym względem nie najlepszą prasę, bywała dla młodzieży bardziej wyrozumiała, jeśli tylko nie zachodziło podejrzenie wywrotowej agitacji lub innych naruszeń ustawy karnej. Do wspomnianych wyżej przykładów można dodać reakcję policji na wiadomość o wydarzeniach rozgrywających się na ul. Grodzkiej przed Collegium Iuridicum. Sto lat przed przeznaczaniem budynku na siedzibę Instytutu Historii Sztuki znajdowała się tam siedziba senatu. 8 listopada 1884 doszło podobno do happeningu, który tak opisał korespondent „Gazety Narodowej”:

⁹² Prawdzic, *Jasełka krakowskie. Satyry humorystyczne*, Kraków 1885. Nakładem księgarni K. Bartoszewicza. Identyfikacja autora w starym katalogu BJ jako A. Szczepańskiego jest błędna, o czym przesądza ujawniona w tekście orientacja polityczna. Recenzja zob. „Gazeta Narodowa”, 1885, nr 78 (5 IV), s. 3.

⁹³ W pierwszej korespondencji, pod innym tytułem i kryptonimem, autor pisze, że musi ukrywać swą tożsamość: „gdyby kiedykolwiek z mojej sprawozdawczej twarzy spaść miała maska, będę miał wrogów w c.k. starostwie, c.k. dyrekcji policji, [...] ha! nawet *Djabel* i p. Marian Sokołowski, uczony członek Akademii, stronić ode mnie będą jak od zapowietrzonego”. I. G., *Z Galicji*, „Prawda”, 1881, nr 1 (1 I), s. 6. Należy dodać, że autorstwo korespondencji z Krakowa w „Prawdzie” z tego okresu przyznano też innemu działaczowi Czytelni Akademickiej, Pawłowi Radeckiemu (1862–1918). „Nowa Reforma”, 1918, nr 581 (31 XII), s. 2.

Młodzież dowiedziawszy się, że senat [...] znacznie poobcinał statut nowej czytelnicy i ścieśnił nad miarę samoistność członków tego stowarzyszenia, zebrała się wczoraj licznie [...] i oświadczyła wśród cierpkich dla senatu przymówek, że woli mieć kuratorem komisarza policji niż takiego profesora z ramienia tegoż senatu. Około północy po skończonym komersie młodzież w liczbie kilkuset udała się w pochodzie gęsima na ulicę Grodzką ku Collegium Iuridicum, gdzie się senat zgromadza, a każdy przechodząc przed bramą gmachu, uderzał dwukrotnie o młot bramy wołając: *perreat senatus!* Dostało się przy tym i „Czasowi”, którego wspomniani profesorowie są współpracownikami⁹⁴.

Namiestnik Zaleski wezwał dyrektora policji, by mu natychmiast zdał sprawę o powyższych zajściach. Jak wiele innych, także i ta odpowiedź była uspokajająca: uczestnicy komersu wprawdzie omawiali pojedyncze paragrafy statutu nowej czytelnicy, „jednak w formie nader ogólnej krytyki”, a wydarzenia na ulicy miały inny powód:

O godzinie 10 młodzież rozeszła się w spokoju do domu, a tylko kilku z nich udało się jeszcze do restauracji [...] i po drodze – omawiając wypadki zaszłe w łonie Rady miejskiej z okoliczności rezygnacji Dr. Weigla z godności prezydenta miasta – objawili swoje niezadowolone z powodu przyjęcia rezygnacji przez głośniejsze wykrzyki „*perreat Zoll*”, który jako radca miejski należał do partii przeciwnej nieprzyjęciu rezygnacji.

⁹⁴ (h.), *Kraków, d. 9 listopada*, „Gazeta Narodowa”, 1884, nr 260 (11 XI), s. 1.

Gdy wykrzykniki te pochodziły jedynie od pojedynczych jednostek, na których równowagę nadmiar użytych napojów ujemnie oddziałał, przeto w całym tym zajściu nie było jakiegokolwiek demonstracji – ile raczej pewnej chwilowej nieprzyzwoitości dopatrzeć się należy.

Okrzyki „pereat senatus” nie były wznoszone⁹⁵.

*

Uspokojeni co do przebiegu wydarzeń na Grodzkiej, dodajmy tylko dwie informacje z dalszych dziejów Józefa Łuszczkiewicza. Otóż jako dyrektor szpitala w Sokalu dr Łuszczkiewicz doprowadził do otwarcia w tym mieście czytelnicy ludowej i wygłosił dłuższe przemówienie „o znaczeniu czytelnicy ludowej w ogóle”⁹⁶. W ten sposób zrealizował w innym miejscu cel, o który bezskutecznie zabiegał w Krakowie. Oryginalnym jego dokonaniem była też rowerowa wyprawa – do Hamburga i z powrotem⁹⁷.

Marek Zgórnjak

⁹⁵ APK 29/247/0/-/138, s. 585 (Zaleski 11 XI 1884 L. 10786 do dyrektora policji w Krakowie), 586 (odpowiedź policji z 13 XI 1884 L. 685).

⁹⁶ „Gazeta Narodowa”, 1892, nr 68 (19 III), s. 2.

⁹⁷ A. Zakrzewski, *Sanatorium Mariówka i medycyna, wspomnienia z pierwszej ćwierci XX wieku*, Wrocław 1975, s. 99. Zob. też J. Łuszczkiewicz, *Sanitarna administracja krajowa*, w: *Lwów. Jego rozwój i stan kulturalny oraz przewodnik po mieście*, red. J. Wiczkowski, wyd. Wydział Gospodarczy X. Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich, Lwów 1907, s. 272–281; S. Ciechanowski, *Dr Józef Łuszczkiewicz*, „Przegląd Lekarski”, 1909, nr 19 (8 V), s. 303.